

I am not
willing to blindly
follow the man if I see
it unfit for humanity.
I am not
as studios as I
wish to be.
I am not
a lie, a thief, or a
politician.

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Marzenie i pysk

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Marzenie i pysk

OD AUTORA

Oto, miły czytelniku, garść felietonów, których jesteś zazwyczaj dość chętnym odbiorcą. Tytuł, nieco ekspresjonistyczny, uprzedza cię dostatecznie, że znajdziesz tu różnorodność wrażeń: ujrzysz to głowę miękko skłonioną do cichego *marzenia*, to *pysk* rozwarty, kłótlivy, zaczepny, tak jak się godzi w obronie dobrej sprawy. Ale czeka cię nie tylko pomieszanie tonów; także i pomieszanie epok: obok rzeczy świeżutkich, prosto z igły, znajdziesz tu drobiazgi pisane przed laty kilku, niemal dokumenty historyczne! Zdradzę ci tego sekret, miły czytelniku.

W początkach mojej kariery pisarskiej byłem bardzo nieśmiały. Felietonów moich nie wydawałem wówczas oddzielnie; przemycałem je w poszczególnych tomach krytyk teatralnych, z którymi często nie miały nic wspólnego. Ponieważ groziło to pogrzebaniem wielu myśli, które mi są drogie (ot, taki niewinny sentymencik), przyszło mi do głowy wydobyć je z ukrycia i zamieszać między nowe. Jeżeli więc przypadkowo, zbyt pilny czytelniku, trafisz na artykułik, który ci jest znany, nie zzymaj się, ale odczytaj go jeszcze raz: pisarza — tak ktoś powiedział — którego nie warto przeczytać dwa razy, w ogóle nie warto czytać.

Zresztą, wzorem niektórych codziennych pism, obmyśliłem dla was, mili czytelnicy, nagrodę „za uważne czytanie”. Ten, kto trafi na coś, co już skądś zna, zechce łaskawie zawiadomić autora (Warszawa, Smolna 11) skąd; a między tych, którzy nadeślą trafne odpowiedzi, nastąpi rozlosowanie trzech kompletów pierwszych sześciu tomów *Biblioteki Boya* w wykwintnej oprawie. Termin do końca roku 1930.

A teraz, dobry czytelniku, przyjemnych marzeń i wesołego pyska.

BOY

Warszawa, w czerwcu 1930

CZYSTA POEZJA

Paru moich znajomych nakryto świeżo w domu gry. Trochę byli tym spłoszeni, ale ogłosili w pismach, że to nie był dom gry, tylko dom schadzek, a grało się jedynie dla zabawy, no i jakoś rzecz się załagodziła. Jedni się trochę gorszyli, drudzy się śmiali; co do mnie, wyznaję, że mnie to rozmarzyło. Zaraz wyjaśnię dlaczego.

Byłem... (niech się już wypowiadam kolejno z moich grzechów), byłem — dawno już temu — graczem. Graczem namiętnym, frenetycznym¹ i dość nieszczęśliwym. Nieszczęśli-

¹*frenetyczny* (z fr.) — tu: ekstatyczny, entuzjastyczny. [przypis edytorski]

wym, na szczęście, bo gdybym na nieszczęście był szczęśliwym, obawiam się, że byłbym został przy tym zajęciu. Byłem tedy graczem; mogę się przyznać, już jest przedawnienie. Za okoliczność łagodzącą niech mi posłuży rozdwojenie duchowe. Skazany na obkuwanie podręczników medycyny, od których myśl mi uciekała, a broniąc się przed oblegającymi mnie zainteresowaniami umysłowymi, które mi się wydawały szkodliwym zbytkiem wobec wiszących wciąż nad głową egzaminów lekarskich, nie umiałem znaleźć innego rozwiązania, jak tylko chowając głowę jak struś... do domów gry. Wtedy znikła medycyna, filozofia, literatura, z chwilą gdy ciągnąłem dziewiątkę (a choćby ósemkę) do figury, żyłem czystą poezją, bo na dnie zawsze byłem i jestem tylko poetą.

Mówiąc „domu gry” popełniam bezczelny eufemizm, bo właściwie były to spelunki przy kawiarni. Czasem, dla bezpieczeństwa, wprost pokoik w mieszkaniu właściciela tejże, gdzie zresztą za całe umeblowanie był stół do gry,

trochę krzesel i w kącie nocnik. Ten ostatni sprzęt był niejako symboliczny; miał oznaczać, że to jest mieszkanie prywatne, i że policja nie ma tam prawa wstępu. Miała co prawda od biedy to prawo, ale korzystała z niego rzadko, niejako zmuszona, w razie jakiejś poważnej denuncjacji². Raz, w czasie takiego najścia policji, wstawił się swoim naiwnym okrzykiem znany dobrze w ówczesnym Krakowie lekarz bez pacjentów, zwany po imieniu „Tyda”, a z przydomku „stary szmenda³”, gracz legendarny, obłąkany, mityczny, który wobec komisarza policji zgarniającego ze stołu pieniądze założył protest: „Panie komisarzu, ta setka stoi za piątkę...” (co znaczyło, że obstawił tylko pięć guldénów, a położył setkę z braku drobnych). Ale komisarz nie wydał mu reszty! Tylko gracze rozumieją cały wdzięk tego epizodu.

Tych spelunek było sporo. Kraków ówczesny — nie wiem, jak jest dziś — był podmino-

²*denuncjacja* — donos; zgłoszenie złożone stosownym władzom. [przypis edytorski]

³*szmenda* (z fr. *chemin de fer*: bakarat) — przen.: gracz, karciarz. [przypis edytorski]

wany grą. Przyczyną była może bieda. Nic nie można było zarobić, nic wykombinować, pensja w tym biednym urzędniczym mieście nikomu nie wystarczała, chyba na to, co niezbędne, a któż może żyć tym, co niezbędne? Drugą przyczyną to było ubóstwo już nie pieniędzy, ale życia. To był Kraków z epoki *W sieci*⁴, gdy młodzi tłukli głowami o mur. Smutek, ciasnota, beznadziejność... Jeden Wyspiański umiał to przeczarować na Sztukę, inni wyli z desperacji. Otóż, kiedy się przekraczało próg spelunki, znikał na jej progu mały, śmieszny Kraków: wchodziło się w wielkie zaklęte królestwo gry. Bo namiętność jest jedna, czy jej terenem Paryż, Londyn, wielkie miasto portowe czy nadwiślański gródek, talia kart wszędzie jest jednaka, stawka wysoka czy niska, dla tego, kto ciągnie kartę, to w danej chwili wszystko jedno. Karciarnia była w maleńkim Krakowie niby eksterytorialna ambasada potężnego szatana. Trudno o silniejszy kontrast niż ten,

⁴*W sieci* — tytuł modernistycznego dramatu Jana Augusta Kisielewskiego (1876–1918); sztuka ukazuje konflikt między wrażliwością i potrzebami artysty a normami moralności mieszczańskiej. [przypis edytorski]

jaki był między martwą i pustą ulicą ówczesnego Krakowa a wnętrzem jaskini gry. Miało się uczucie, jakby za obróceniem pierścienia w bajce lub wymówieniem zaklętego słowa otwierał się sezam wzruszeń, przeżyć, nadziei... Długi stół bakarata, przy którym głowa przy głowie — zwłaszcza przez kilka dni po „pierwszym” — cisnęli się gracze; ciągnąca się czasem kilka dób bez przerwy partia, przy której partnerzy zmieniali się, wychodzili, wracali, szli do domu, do biura, wracali znowu, ci sami lub inni, a tylko „szmenda” (*chemin de fer*⁵) niestrudzona obiegała wkoło, tylko raz po raz rozlegały się sakramentalne zaklęcia czarów. Od pierwszego wejścia chwyta po prostu za włosy astralna⁶ ręka gry, dreszczyk przebiega po krzyżach. Stanowczo w tym jest coś więcej niż te pieniądze, które się rozgrywa: to powietrze przesycone wszystkimi możliwościami, całą energią potencjalną szansy, niespodzianki, występku i nieszczęścia, energią, która jest uta-

⁵*chemin de fer* (fr.) — odmiana bakarata, gry hazardowej. [przypis edytorski]

⁶*astralny* — gwiazdny; tu: kosmiczny. [przypis edytorski]

jona w talii kart. Prawda, ta sama talia może służyć do pocziwego brydża i do wściekłego baka⁷, ale to tak samo, jak ładna stenotypistka⁸ może być skromną pracownicą w biurze, a demonem zniszczenia na dancingu.

W chwili kiedy to wspominam, zaciągam się tym powietrzem, widzę ten stół, te twarze, podniecone lub szare, zmęczone czuwaniem, oczy błyszczące lub tępe, oblicza wesole lub napiętnowane rozpaczą. Bo elementy spotykały się tam najrozmaitsze; student przegrywający czesne lub pensyjkę miesięczną, aktor-humorysta wpadający tam z objazdu po prowincji, obok urzędnika, który miał kilkoro dzieci w domu, a pensję tak obdłużoną wszelakimi zaliczkami, że co miesiąc wypadało mu dopłacać magistratowi, w którym pracował, dwa guldeny. Cóż taki mógł robić jak nie grać: za co, licho go wie! Obok tego suchotnika goniącego ostatkiem tłusty, zbogacony rzeźnik, rumiany,

⁷*bak* — właśc. bakarát, hazardowa gra w karty. [przypis edytorski]

⁸*stenotypistka* — maszynistka, tj. kobieta zarabiająca przepisywaniem tekstów na maszynie. [przypis edytorski]

wesoły, opanowany nagle przez biesa⁹ gry, od którego stawał się coraz chudszy, coraz smutniejszy, aż jednego dnia powiesił się za sklepem. Obok niego inny — nikt nie wiedział, jak się nazywa — co to kogo obchodzi, pracuje przy pogłębianiu dna Wisły, stąd zwą go po prostu „pogłębiacz”. Obok inny, niewiadomego zajęcia, albinos, wołają go „biały”: otrują się jednego dnia sublimatem i konał trzy tygodnie. Obok jakby złowrogi symbol, przedsiębiorca pogrzebowy w czarnym tuzurku z płową hiszpańską bródką, zjawiający się tylko „po pierwszym”, ciągnący isticie demoniczne „passy” i zostawiający złupionych graczy, aby się gryźli między sobą o resztki. Inny... Może Ryś Ordyński mi przypomni więcej albo Wicio... (nie wymieniam nazwiska szanowanego w przemyśle i w literaturze).

Ileż zresztą tych twarzy widzę przed sobą! Jedni przygodni, którzy płacili mniej lub więcej kosztowne frycowe i nie wracali już, inni którzy trwali w spelunce lata, żyć nie mogli

⁹bies — diabeł, demon. [przypis edytorski]

bez jej powietrza, chodzili błędni, gdy wieczór minął bez partii. I tylko między tymi stałymi wytwarzało się koleżeństwo podobne, jak musi się wytwarzać między recydywistami w więzieniach, braterstwo w namiętności — żółtodziób był tam „na ty” z siwowłosym starcem — koleżeństwo scementowane wzajemnymi usługami kredytu, który dawał im olbrzymią przewagę nad grającym za gotówkę frycem. Bo „nóżki na stół” obowiązywały tam bezwzględnie; ewangeliczne „głos słyszę, ale osoby nie widzę” było uświęconą a szyderczą odpowiedzią na wszelkie słowo niepoparte srebrem lub banknotem. Swoją drogą, dzięki temu gra w tych norach była rzetelniejsza niż w niejednym pańskim klubie, gdzie czyha na naiwnych rozbójnicze lub samobójcze „słowo honoru”... Nie trzeba dodawać, że w tej kompanii niemałą część stanowiły niebieskie ptaki, szulerzy zawodowi, figury dziwnego przemysłu, kompania iście szekspirowska, której nie brakło i Falstaffa. Był nim żelazny medyk, syn słynnego szpicla, z ogromną, niekształtną głową: ten był mistrzem w jo-

wialnym wyzyskiwaniu rozkoszy „kibica”. Skoro usiadł przy kim i tubalnym głosem zarechotał: „Karta lubi dym! — natychmiast przesądny gracz częstował go cygarem. Ta mieszanina żywiołów, zbiorowisko figur charakterystycznych, silnie zarysowanych, znamiennych przez swoje powiedzenia, manie i obyczaje, czyniła ze spelunki rodzaj osobliwego klubu, gdzie nawet bez gry zajmującym było spędzić kilka chwil.

Jeśli czego żałuję, to tego, że nie prowadziłem dzienniczka owych czasów, że nie notowałem epizodów, anegdot, kapitalnych powiedzeń, ostrych jak brzytwa, ujmujących filozofię gry i życia w bezwiednych aforyzmach, których nie powstydziliby się najtęższy pisarz, a których autorem bywała namiętność lub rozczarowanie. Tam, w atmosferze nerwów napiętych jak struny, słowo musiało być zwięzłe; gracz, który „szczebiotał”, denerwował wszystkich i był znienawidzony. Po „szczebiotaniu” poznawało się nowicjusza. Za to dobry dowcip, lapidarny

aforyzm spotykały się z milczącym uznaniem. Dobra szkoła literacka; no a szkoła życia!!

I ta ostrość atmosfery, w której można było zaciągnąć się narkotykiem kryminału, nie opuszczając ram społeczeństwa, w równym stopniu może nęciła jak sama gra. Przejycia, na których wspomnienie jeszcze się zimno robi, i sceny, z których jeszcze śmiać się chce. Było coś podniecającego w tym spleceniu dramatu z farsą. Adwokat (skończył później samobójstwem), który, mieszkając w Krakowie, taił swój nałóg przed żoną w ten sposób, że niby to wyjeżdżał w interesach, jechał wprost do spelunki z kuferkiem i grał z rozkładem jazdy pod ręką, aby wiedzieć, kiedy z rzekomego miejsca podróży ma wrócić do domu. Zwykle spóźniał się na kilka fikcyjnych pociągów: „Psiakr... kurier z Tarnowa już przyszedł, no ale mam jeszcze osobowy” etc. — Pamiętam znów, jednego wieczora rozmowa toczyła się o ślubie młodego lekarza, stałego bywalca spelunki, który tego dnia się ożenił i nazajutrz miał wyjechać z żo-

ną na prowincję. Naraz zjawia się ów kompan we fraku, z bukiecikiem ślubnym. Zostawił żonę u rodziców, zaszedł do karciami... pożegnać się. Od niechcienia siadł do baka, no i do rana przegrał wszystkie pieniądze, które mu teść dał na zapłacenie długów i na instalację. Przegrawszy ostatniego guldena, rozplakał się i błagał, aby mu oddali pieniądze, bo inaczej sobie w łeb strzeli. Cóż było robić, wściekali się, wymyślali od szantaży, no i oddali mu prawie wszystko... A nuż sobie naprawdę w łeb strzeli, dochodzenie, skandal...

Ale pamiętam i mniej sielankowe epizody. Stary emeryt opanowany grą zaczął przychodzić codziennie na ferbla. Nazywano go patriarchalnie „dziadzio”. Otóż dziadzio cierpiał na padaczkę — epilepsję — i prawie co wieczór miał parę ataków; ale w takiej formie, że nie spadał na ziemię, tylko tracił przytomność, oczy stawiał w słup i siedział, trzęsąc się, na krześle. Trwało to parę minut, po czym odzyskiwał sam z siebie świadomość. Nie grałem z nim nigdy, ale często przyglądałem się tej

partii. Gracze byli tak oswojeni z jego chorobą, że nie zwracali na nią uwagi, nie przerywali gry, tylko mówiło się wówczas tasującym, pokazując starego: „Dziadziowi nie dawać kart”. I opuszczali go na parę tur, po czym znów dawali mu karty jak zwykle; można sobie wyobrazić, że w tym stanie dziadzio był pewną ofiarą! Ta partia ferbla z półtrupem, drgającym na krześle i chwytającym karty trzęsącymi rękami, skoro odzyskał pierwszy ślad przytomności, to jedno z bardziej niesamowitych wrażeń, jakie pamiętam... Raz kiedy siedziałem, „kibicując” i patrząc na taką scenę, jeden z graczy, chłopiec z „dobrego domu”, nachylił się do mnie i rzekł: „Dziadzio ma szczęście, że trafił na porządną partię, bo gdzie indziej to by mu po prostu pieniądze z pularesu zabrali”. Powiedziane to było zupełnie naiwnie, z niejaką dumą z własnego dżentelmeństwa.

Ach, te „blaski i nędze” życia graczy, te ich emocje! Mógłby coś opowiedzieć o tym Ludwik Solski, którego jeden z „paczki” obudził raz w domu o piątej rano z błaganiem o poży-

czenie pieniędzy, ponieważ ma w ferblu cztery króle — karta pewna jak mur! — a nie pozwalają mu „na pysk” odbić. Gracze tymczasem czekali, pilnując kart, aż wróci. Wrócił, odbił, partner odbił z powrotem, głupia historia, ale jak tu na cztery króle nie dodać, no i pokazało się, że tamten miał cztery asy. W rezultacie beknął — Solski, który sam z dobroduszną wyrozumiałością opowiadał to, odgrywając cudownie całą scenę. Sam Solski miał lepszą partię, u przeora na Skałce...

Jeszcze jeden obrazek. Jeden z graczy wygrywa znaczną kwotę. Telegrafuje do brata, którego miał w Grybowie, aby natychmiast przyjechał, że go bierze na swój koszt do Monte-Carlo. Brat w Grybowie (nigdy nie był zagranicą) pakuje manatki i bez tchu pędzi radośnie do Krakowa. Nim dojechał, szczęśliwy gracz zdążył już wszystko przegrać, czekał na brata na peronie, pożyczył od niego pieniędzy i następnym pociągami odesłał go z powrotem do Grybowa.

Gra jest tym straszliwa¹⁰, że wyżera zdolność interesowania się czymkolwiek. Pamiętam, jak przyjechała wówczas do Krakowa słynna aktorka japońska Sada Yakko. Sensacja! Ludzie zamawiali na miesiąc naprzód miejsca, i ja kupiłem sobie bilet. Kiedy zbliżała się godzina teatru, grałem w baka; wysiłkiem woli (skoro już był bilet!) oderwałem się od partii i poszedłem. Naraz, zaledwie się zaczął spektakl, uczułem taką jałowość wrażeń, że deptając po nogach sąsiadom wydarłem się z krzeseł, darowałem bilet komuś kto stał smętnie pod teatrem i popędziłem z powrotem do kart. Siadłszy przy stoliku, odetchnąłem pełną piersią; cóż za różnica: tam nędzny surogat, tu poezja w stanie czystym...

Ogłupienie grą przechodzi w najniebezpieczniejszą fazę, kiedy zaczyna trącić finansowym platonizmem. Dochodzi się do tego, że wszystko jedno jak, z kim, po czemu, byle grać. Pamiętam taki okres wręcz patologiczny, kiedy, splekany w poważniejszej partii, za parę poży-

¹⁰*jest tym straszliwa* — dziś: jest przez to straszliwa. [przypis edytorski]

czonych srebrników tłukłem się o grosze z dwoma austriackimi oficerami, Czechami, którzy, w podobnym mojemu stanie ducha, czekali wyniku dochodzenia z powodu jakichś nieporządków w kasie i zabijali czas w ten sposób. I potrafiliśmy tak do białego rana... Leniwy powrót do domu, zimna herbata i jakaś książka przy łóżku, *Lalka* Prusa albo *Parerga* Schopenhauera; — rozkosz! Ale na to, aby móc czytać, trzeba wrócić goluteńkim, inaczej myśli się o jutrzejszej partii.

Świt... Ileż razy go oglądałem! Żaden pracowity rolnik, żaden cierpiący na bezsenność skowronek nie ogląda tyłu wschodów słońca co gracz. Często, wracając i przemykając się do swego pokoju na pięterku, słyszałem ze ściśniętym od wstydu i roztkliwienia sercem, jak ojciec jeszcze coś komponuje, nucąc przy fortepianie. Raz obróciłem się dziecinnie w tę stronę i szepnąłem z czułością: „Przepraszam”. Sumienie gryzło mnie bardzo. Pamiętam szczególnie jedną noc, przez którą rznąłem w karty

we dwójkę z młodym Asnykiem (strzelił sobie później w łeb w Paryżu); formalnie słyszałem głos, który mówił z wyrzutem: „Synowie takich ojców”... Ale gdybym miał dziś robić ścisły rachunek sumienia, nie żałuję chwil spędzonych w ten sposób. Zawdzięczam im dużo; nie wiem, czy bez tej szkoły edukacja moja byłaby dość serio. Trzeba się z tym pogodzić, że najczęściej tym człowiek wychodzi na ludzi, czym sprawiał zmartwienie¹¹ rodzicom...

ROZMYŚLANIA PRZED POPIELCEM

Tak się złożyło, że dopiero teraz przeczytałem Artura Górskiego *List do nauczyciela w sprawie szkoły antyreligijnej*. Kwestia ta musi interesować każdego, kto w Polsce żyje i myśli. Wprawdzie nie można powiedzieć, aby przeżycia religijne w Polsce naprawdę zajmowały wiele miejsca, ale tyle spraw przemyca się pod firmą religii, tyle osób czy stronnictw żeruje

¹¹tym człowiek wychodzi na ludzi, czym sprawiał zmartwienie — dziś popr.: dzięki temu człowiek wychodzi (...) przez co sprawiał (...). [przypis edytorski]

na niej, że wszystko, co jej tyczy, nabiera wagi. Nieraz zastanawiałem się więc, czemu poziom wszystkiego niemal, co wywiesza u nas godło religii, jest tak przerażająco niski; czemu każde klerykalne pisemko zieje ciemnotą, perfidią i nienawiścią? Nie mnie jednego to uderzało. Niedawno temu wybitny krytyk, sztandarowy katolik ubolewał nad tym w swoim artykule, przeciwstawiając naszym stosunkom szerokie i kulturalne nastawienie, jakie ma do spraw społecznych i literackich wierzący obóz katolicki we Francji. Skutek tych rozważań był nieoczekiwany: inny, jeszcze katoliciejszy¹² literat, uzurpujący sobie funkcję rewizora, rzucił się na owego krytyka, zdenuncjował¹³ go, przyprawił o utratę skromnej posady, obrzucił go tyloma zniewagami i insynuacjami¹⁴, że wynikiem był pojedynek na pistolety

¹²*katoliciejszy* — dziś popr.: bardziej katolicki; tu: forma żart. [przypis edytorski]

¹³*zdenuncjował* — dziś popr. forma: *zadenuncjować*; złożyć na kogoś donos, oskarżyć kogoś. [przypis edytorski]

¹⁴*insynuacja* (z łac. *insinuare*: wśliznąć się, wkraść się) — przypisywanie a. wmawianie komuś (często sugerowane nie wprost i ze złośliwą intencją) czynów

(zapewne za indultem¹⁵). I kiedyś się zastanawiał, jak mówię, nad tymi smętnymi stosunkami, pomyślałem, że kto wie, czy przyczyny tego nie trzeba by szukać w szkole, tylko w cokolwiek innym sensie, niż się to zazwyczaj czyni.

Kiedy się mówi o szkole „religijnej”, i obrońcy jej, i przeciwnicy zwykle ujmują rzecz tak: szkoła religijna to wzmożenie ducha religijnego w społeczeństwie; szkoła bez nauki religii to dla religii szkoda. Traktuje się to jako pewnik. Tymczasem łatwo być może, iż rzecz ma się wręcz przeciwnie i że religia nie ma silniejszego wroga niż właśnie nauczanie jej w szkole. Ma tego świadomość sam Górski, gdy pisze:

„Trzeba wyznać, że nauka religii, tak jak jest dzisiaj postawiona w szkole, nie daje młodzieży wiele korzyści. Ani nie budzi duszy religijnej, ani nie rozwija jej skrzy-

a. poglądów sprzecznych z prawem, niemoralnych itp. w celu zdyskredytowania tej osoby. [przypis edytorski]

¹⁵*indult* — specjalne zezwolenie wydawane w kościele katolickim przez wyższe władze duchowne (papieża, biskupa), uchylające w drodze wyjątku obowiązujące przepisy prawa kanonicznego (tj. religijnego); indulty dotyczą np. zawarcia małżeństwa przez osoby niepełnoletnie a. blisko spokrewnione, nadzwyczajnych warunków udzielania sakramentów itp. [przypis edytorski]

deł. Ponadto wprowadza do umysłu element intelektualnych sprzeczności i w ten sposób zasiewa ziarna, z których wyrasta zwątpienie, matka niewiary...”.

Formuła ta jest może zbyt oględna. Kiedy Górski pisze, że nauka religii „daje niewiele korzyści”, można by raczej powiedzieć, że z punktu czysto religijnego nauka ta wyrządza nieobliczalne szkody. Również nasuwa wątpliwość owo zastrzeżenie: „tak jak dzisiaj jest postawiona”... Czy tylko dzisiaj? Czy może być, czy będzie kiedy lepiej postawiona? Bo że za moich czasów — niezupełnie dzisiejszych — nie była postawiona inaczej, to fakt. I o tym właśnie chciałem kilka słów pomówić. Takie autentyczne świadectwa więcej mogą się przyczynić do rozjaśnienia sprawy niż gołosłowne dyskusje.

Sądzę, że można by ująć rzecz tak. Wszystko, co jest w nas uczuć religijnych, ma swoje źródło gdzie indziej; wszystko, co daje szkoła, jest powolnym i systematycznym tych uczuć

niszczeniem. Nie będę mówił o pierwszym, dziecinnyim zetknięciu się bodaj z dziesięciorgiem przykazań i o naiwnych pytaniach małych bęb-
nów, co znaczy „nie cudzołóż” i „pożądać żony bliźniego swego”. Prawdziwy konflikt zaczyna się w gimnazjum. Mówię wedle tego, na co patrzałem. Do każdej lekcji odnoszą się uczniowie rozmaicie, zależnie od przedmiotu i osobistych zamiłowań; ale do jednej lekcji odnośnienie jest jednomyślne, to znaczy z jednomyślną niechęcią: do nauki religii. Na myśl o niej młode szczęki rozdziawiają się rozpaczliwym ziewaniem. I ani rusz nie chcą jej uznać za naukę. Tautologie katechizmu w rodzaju: „Dlaczego Bóg jest wszechmogący? — Bo wszystko może” sprzeciwiają się pojęciom o nauce nawet malców, jak również zawile wywody na temat, że Bóg, choćby chciał, nie mógłby być doskonalszy niż jest etc. Od tego się zaczyna; po czym każdy rok szkolny ma swój przysmaczek. Płaskie streszczenie historii Starego Testamentu; jeszcze potworniej płaskie ujęcie Nowego, który zadawany, wydawany, podpowiadany i kla-

syfikowany jest czymś doprawdy urągającym cudowi Ewangelii. Potem Historia Kościoła, przy której ironiczną zabawą uczniów jest konfrontowanie jej z równocześnie wykładaną historią powszechną. Niby to naiwnie, z głupia frant zgłaszają się uczniowie z podręcznikiem Historii Kościoła do nauczyciela historii i proszą o wyjaśnienie następujących się sprzeczności i wątpliwości. Ach, te „wątpliwości”! Dla jednych są one psotą, dla innych tragicznym przeżyciem. Zaczynają one oblegać od początku, od owego klasycznego „jak Bóg może być wszechwiedzący i wiedzieć, że człowiek zgrzeszy, i skazać go na piekło, i zarazem być najmiłościvszy” etc. Któż przez to nie przeszedł i kogóż zdołała w tym uspokoić oschła dialektyka prefekta! Ale najsilniejszym elementem destrukcyjnym jest nauka dogmatyki wykładana starszym już chłopcom. Legiony młodzieży zeznają jednomyślnie, że nauka dogmatyki była dla nich przełomem, ruiną ich wiary. Nie wiem, jak jest dziś, ale trudno sobie wyobrazić coś bardziej niezdarnego niż podręcznik, z które-

go uczono nas dogmatyki. Podawać te rzeczy chłopcom w wieku, gdy młody mózg kosztuje pierwszych rozkoszy i pierwszych tryumfów ścisłego myślenia, w wieku, gdy zmysł krytyczny najbardziej jest wyostrzony, to doprawdy szaleństwo! Genialny Pascal mógł porzucić naukę i powiedzieć sobie: „trzeba się ogłupić”, ale uczniowi piątej klasy nie wolno się ogłupić... Nauka dogmatyki daje zresztą pretekst do groźnej zabawy. Ulubioną rozrywką uczniów staje się przypieranie księdza do muru za pomocą swoich „wątpliwości”. Mieliśmy w porze dogmatyki wyjątkowo tępego katechetę, mimo że doktora teologii; ten lubił rozwiązywać zwycięsko wszelkie wątpliwości i zachęcał wręcz, aby z nimi występować. A oto przykład, jak się rozprawiał np. z aktualną wówczas dla nas teorią Darwina, ewolucją gatunków, kwestią pochodzenia człowieka etc. „Głupi jest twój Darwin: wsadźże kurę do chlewka i trzymaj ją sto lat, zobaczysz, czy się z niej zrobi prosię” — tak odpowiadał ów doktor teologii. Na tym poziomie wszystko.

I jest tutaj coś więcej, coś, co może jest najważniejsze. Czy może być coś niebezpieczniejszego niż to stałe zetknięcie młodzieży z księdzem na platformie niechęci i nudy, w atmosferze przymusu, trzeźwości i prozy, niż to wydanie go na pastwę uczniakom bez pomocy najsilniejszych atutów religii, jej tajemnicy, powagi i poezji? Cóż za próba! I o ileż trudniejszy jest tutaj dobór ludzi niż przy jakichkolwiek innych funkcjach kapłańskich! Ksiądz odprawiający mszę, skoro raz włoży ornat, może być, jaki chce, jest wówczas kapłanem spełniającym najwyższą tajemnicę; toż samo ksiądz dysponujący umierającego; ksiądz słuchający spowiedzi, choć nie orzeł, ma za sobą wzruszenie konfesjonału, rola jego zresztą jest raczej bierna. Ale wystawić pierwszego lepszego księdza na łup obserwacji, na ogień chytrych dysput pięćdziesięciu mniej lub więcej sprytnych, złośliwych, a przede wszystkim znudzonych chłopaków i kazać mu być ambasadorem religii odartej ze swych splendorów, wyrwanej z uroczystych mroków kościoła — podawanej w formie

racjonalistycznej i pseudo-ścislej nauki! Nie ma trudniejszego doboru ludzi niż tutaj, a nie ma pono czegoś bardziej przeciętnego niż przeciętny katecheta. O ile nie gorzej... Biorę mój przykład. Chodziłem do gimnazjum, które uchodziło za wzorowe; mieliśmy w niższych klasach katechetę, o którym już raz wspominałem, a który po kilkunastu latach „pracy pedagogicznej” otruł się pewnego dnia z obawy przed skandalem... W wyższych klasach mieliśmy księdza tępego prostaka, bez wychowania, bez inteligencji, bez powagi, na którego uczniowie patrzyli z lekceważeniem i z którego czynili sobie po prostu zabawkę, judząc go i przywodząc do absurdów swymi chytrymi dysputami. Bezlitosna zabawa z tego sługi religii była jedynym urozmaiceniem owych morderczych lekcji: i cała klasa, bez różnicy, brała w tym udział! Oto dwa typy, pod których przewodnictwem duchownym przebyłem całą prawie szkołę.

*

Ale zostańmy przy przeciętnych typach; ileż tu trudności! Skoro katecheta będzie łagodny, pobłażliwy, natychmiast chłopaki zaczynają czytać pod ławką, uczyć się lekcji na następne godziny, handlować markami¹⁶, nawet rżnąć w karty. Jeżeli będzie surowy, przedmiot jego będzie znienawidzony. To samo zdarza się przy innych przedmiotach, powie ktoś. Nie, to zupełnie co innego: przy łacinie lub matematyce chodzi ostatecznie o to, aby się ich uczyć, a co sobie uczeń o nich myśli, jaki jest uczuciowy stosunek ucznia do przedmiotu, o to nauczyciel mniej się troszczy; gdy, przeciwnie, ostatecznym celem nauki religii jest właśnie ten stosunek uczuciowy.

I to jeszcze nie wszystko. Ten sam nauczyciel religii, który stawia stopnie, rozdaje kary i dyskredytuje się w oczach uczniów dysputami, w które go wciągają, w niedzielę wkłada ornat i odprawia mszę, mszę obowiązkową, na której obecność jest kontrolowana, nieobecność karana. Ba, miałem katechetę, który

¹⁶*marka* — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

sam, czy to obracając się „do ludu”, czy nawet w lustrach ołtarza umiał kontrolować zachowanie uczniów w czasie mszy i wciągał je do stopni! Czy można obrać skuteczniejsze środki, aby mszę odrzec z wszelkiej tajemnicy i zrobić z niej katorgę więzienną?

Nie mówię o „egzortach¹⁷”: tu już pióro omdlewa; wszelki opis byłby za słaby...

Tak więc proces niszczenia w dziecku religii przez jej nauczanie można oznaczyć niemal ze ścisłością. Bolesny proces. Ileż nocy przepłakanych, ileż godzin przeleżanych krzyżem, w których malec opędza się daremnie zwątpieniu! Aż w końcu wszystko odpada. Zapewne, że z niejednego odpadłaby wiara dziecięca i tak, ale nie ulega wątpliwości, że nawet wówczas stosunek do spraw religii pozostałby nieskończenie lepszy, szlachetniejszy, niż bywa dzisiaj. Szkolna nauka religii nie tylko odbiera religię, ale obrzydza ją. Płatek po płatku oskubuje ją do cna z jej godności. I trwa ta praca osiem lat!

¹⁷*egzorta* (z łac. *exhortatio*: napomnienie) — kazanie, zwł. skierowane do młodzieży szkolnej. [przypis edytorski]

Komu nie da rady *Stary Testament*, temu poradzi dogmatyka, kogo nie wykończy dogmatyka, z tym się upora straszliwa „Etyka”, a dopełnia dzieła spowiedź gimnazjalna, odprawiana hurtem, w atmosferze niechęci, buntu, cynizmu, demoralizacji. Ekspediują ją wypożyczeni księża byle jak, nie mając często możliwości zdać sobie sprawy z wieku chłopca. Pamiętam, jak mnie, dziesięcioletniego malca, niewinnego jak zeszłoroczna Malicka, przypierał ksiądz natarczywymi pytaniami „czy nie było jakich nieskromnych dotknięć”, przy czym zupełnie nie wiedziałem, o co mu chodzi? Zaintrygowany, zwierzyłem się koledze i... dowiedziałem się. Potem chłopczyna dowiaduje się ze zgrozą, że są tacy, którzy się spowiadają za kolegów, za parę groszy lub za tutkę cukierków, oddając fałszywą kartkę, bo cała treść gimnazjalnej spowiedzi to oddanie owej wymaganej przez władze szkolne „kartki”. Zrazu patrzy się ze zgrozą na świętokradcę, bojąc się mu rękę podać, potem malcy oswajają się z istnieniem tego procederu. Chłopcy pożyczają sobie wza-

jem karteluszków z grzechami, wskazują sobie księży, którzy spowiadają łatwo i szybko, uczą się podrzucać kartkę księdzu, który nie dowidzi. Przymus spowiedzi, to masowa produkcja świętokradztwa, bluźnierstwa. Jaka wytwarza się stąd atmosfera, świadczy fakt, który zdarzył się za mej pamięci w wyższej od mojej klasie: fakt wyplucia hostii! Nie można było dojść, kto się tego dopuścił, podejrzenie padło na notorycznego „ateistę”, którego wypędzono ze szkoły, tymczasem popełnił to zupełnie inny chłopiec, którego nazwisko kilku znało, ale przez honor szkolny milczeli, on zaś nie przyznał się, znosząc, aby ukarano niewinnego. Znałem później sprawcę tego czynu: był — nie zmieniwszy zresztą zbyt zasad — redaktorem klerykalnego pisma...

Zatem co zdolniejsze, inteligentniejsze odpada od wiary. Zapewne niektórzy wracają do niej po latach. Ale nie dzięki szkole, raczej pomimo szkoły. Kiedy czytam uwagi Artura Górskiego, widzę w nich echa własnych przeżyć tego pisarza, mającego tak głęboki instynkt wia-

ry, a który karierę pisarską zaczął od głośnego procesu wytoczonego mu o obrazę religii i o bluźnierstwo. Nie zna tych wstrząsów większość tych, których w ogóle te kwestie ani ziębią, ani grzeją i którzy przez rutynę przestrzegają czysto formalnych wymagań religii, sprowadzonych zresztą do minimum. Pozostają przy religii chłopcy raczej tępi lub niezupełnie normalni, często w osobliwy sposób kojarzący dewocję ze zwyrodnieniem moralnym. Później w szeregach obrońców religii grasują półświadomi lub świadomi spekulanci, często zresztą skombinowani z poprzednią odmianą. Tych jest legion w naszej publicystyce klerykalnej lub pół-klerykalnej i stąd jej okropny poziom. Klerykalne nasze pisemka umieją tylko wciąż opowiadać o masonach i o tym, że Wolter wypił swój nocnik przed śmiercią. Opowieść tę słyszałem od katechety w szkole i znów wyczytałem ją kilka dni temu!

I myślę, czy w tym braku poważnego stosunku do religii, w tym frymarczeniu nią, w tym doprawdy obskurnym poziomie intelektualnym,

który jest hańbą katolicyzmu u nas, nie tkwi opłakany wpływ szkoły w tej mierze. Być może, iż przy laicyzacji szkoły, religia zachowałaby swoją tajemnicę, swoją poufność, swoją wstydlivość, swoje dostojeństwo. To pewna, że religii nie dała szkoła nikomu, odebrała ją niejednemu. Przyczynia się może do podtrzymania statystyki urzędowych katolików, do podtrzymania oficjalnej obłudy. Jeżeli o to idzie, to inna sprawa. Ale jeżeli chodzi o istotną treść, w takim razie sędzę, że trzeba by zacząć rozważać kwestię pod innym niż dotychczas kątem. Zamiast łączyć naukę religii w szkole z samą religią, raczej trzeba by stwierdzić, że pierwsza jest negacją drugiej i jej zniszczeniem.

ROZMYŚLANIA WIELKOPOSTNE

I

Ofensywa klerykalizmu (niewiele mającego wspólnego z religią) na wszystkie dziedziny naszego życia staje się tak gwałtowna, że da-

nie jej odporu stanowi w obecnej chwili jedną z najważniejszych pozycji w kształtowaniu naszej przyszłości. Nasze klerykalne pisma dają nam przedsmak obskurantyzmu z najgorszych czasów dawnej Polski, jak gdyby dla zilustrowania, dokąd nas chcą prowadzić. Toteż gdy jeden z moich polemistów pisze mi z powodu *Rozmyślań przed Popielcem*, że:

„słuszną byłoby rzeczą po środzie popielcowej posypać sobie głowę popiołem i ze słowami »*memento mori*¹⁸« wziąć się do prawdziwych rozmyślań wielkopostnych”,

doprawdy, gotów jestem usłuchać wezwania, mimo że, Bóg mi świadkiem, uciech karnawału nie nadużyłem, a nawet zgoła nie użyłem. Usłucham tedy, z jedną tylko poprawką: nie ze słowami „*memento mori*”, ale „*memento vivere*¹⁹”.

Materiału do rozważań dostarczają mi zresztą aż nadto moi czytelnicy. Po każdym felietonie otrzymuję tyle relacji potwierdzających

¹⁸*memento mori* (łac.) — pamiętaj o śmierci. [przypis edytorski]

¹⁹*memento vivere* (łac.) — pamiętaj, aby żyć. [przypis edytorski]

mi prawdę wyrażonych opinii, że gdybym je chciał przytaczać, nie starczyłoby miejsca. Ale jedną wizytę chcę opowiedzieć, gdyż dała mi szczególnie do myślenia. Odwiedził mnie mianowicie pewien ziemianin, zdecydowany antypatyk²⁰ „Kuriera Porannego”, który bierze do rąk tylko w niedzielę, przez starą przyjaźń dla mnie. Przyszedł tedy i rzekł mi, w skróceniu, w te słowa:

„Czytałem twój felieton o religii w szkole; godzę się z tobą najzupełniej. Ale to, co poruszyłeś, to jedynie cząstka drobna i może nie najważniejsza. Gdybyś się przejechał po naszych wsiach! Jeżeli szkolna nauka religii odstręcza dziecko od wiary, cóż dopiero powiedzieć o wpływie przeciętnej plebanii na lud! Jeżeli chłop trzyma się religii, to raczej pomimo księdza niż przez księdza; trzyma się jej przez tradycję, obrzędy, etc. Poziom duchowy i etyczny księży, sprzeczność między tym, co głoszą z ambony (gdybyś ty słyszał te kazania!), a tym, co mówi ich życie, jest tak rażąca,

²⁰*antypatyk* — nie lubiący czegoś; por. *antypatia*. [przypis edytorski]

że ślepego musi uderzyć. Ksiądz, lichy zresztą uposażony, troszczy się głównie o okładanie haraczem swych owieczek, a przede wszystkim i nade wszystko jest po prostu przedsiębiorcą pogrzebowym w swojej parafii, znajdując w tym smutnym akcie największą sposobność do ciągnięcia korzyści. O skutkach celibatu lepiej nie mówić... Co do mnie, jak mnie tu widzisz, musiałem się pozbyć z parafii, w drodze interwencji u biskupa, już trzech księży zupełnie niemożliwych, ale kiedy z podobną sprawą przyszedłem po raz czwarty, biskup zniecierpliwił się i rzekł: »Pan widzi tylko swoją parafię i zdaje się panu, że pan wszystko osiągnął, kiedy się pan pozbył złego księdza. Ja wiem, że on jest nieodpowiedni, ale co ja z nim zrobię? Mogę go tylko przenieść gdzie indziej. Otóż z szerszego punktu widzenia czy on będzie tu, czy gdzie indziej, to zupełnie wszystko jedno, a tylko się robi zamęt. Dawajcie nam do seminariów lepszy materiał, to będziecie mieli lepszych księży«. Tak rzekł ksiądz biskup”.

Nie wchodzę w to, czy sąd mego ziemianina, człowieka raczej spokojnego i zrównoważonego, odczuwającego żywo potrzebę religii u ludu, wypadł zbyt czarno. Może źle trafiał, może zbyt uogólniał swoje doświadczenia — nie wiem. Mnie uderzyło co innego: mianowicie dwie okoliczności, nad którymi się człowiek nie dość zastanawia, jak nad wszystkim, do czego przywykł. Mianowicie owe słowa biskupa: „Ja wiem, że on jest nieodpowiedni, ale co ja z nim zrobię”... Dużo rzeczy tłumaczą te słowa. Bo jeżeli weźmiemy inne zawody, jakże starannie (stosunkowo) przesiewa się je przez sito. Urzędnik, wojskowy, kasjer — czy inny pracownik świecki — skoro się okaże nieodpowiedni lub niegodny położonego w nim zaufania, wówczas może być usunięty; niech próbuje szczęścia w innym rzemiośle. Jedynie w tym zawodzie, wymagającym najwyższej miary ludzkiej, sposób ten nie istnieje. Kto jest księdzem, jest nim na zawsze; a skoro nim jest, trzeba go zatrudnić. Jaskrawy przykład tego cytowałem w *Dziewicach konsystorskich*, jak księdza noto-

rycznie najgorszego prowadzenia, po apostacji i przelotnej skruszce, mianowano... katechetą w szkole żeńskiej i jedynie sprzeciw władzy świeckiej — sprzeciw ze względów moralnych — udaremnił nominację. Coś trzeba było z nim zrobić! Czyli że nie ma innego sposobu, tylko przesuwanie tam i z powrotem tego materiału, jaki jest.

A jaki jest? Widocznie nietęgi, skoro biskup zirytowany woła: „dawajcie nam lepszy”. W istocie, aby sobie zdać sprawę z tego „materiału”, wystarczy sięgnąć do własnych wspomnień. Ze szkolnej ławki zna się tych, którzy później, obleczeni w sukienkę duchowną, staną się nietykalni. Jest to niewątpliwie materiał bardzo pośledni, zarówno pod względem inteligencji jak charakteru; mniej zdolni synowie wieśniaków, znęcani łatwym chlebem lub wiejskim „ambitem”, często zniewoleni biedą. I oto taki kilkunastoletni chłopiec robi wybór, czyni postanowienie, które rozstrzyga o jego życiu, postanowienie jakże poważne co do na-

stępstw, nieodwołalne! Inni mogą w dalszych studiach rozpatrzeć się w sobie, w swojej naturze, skłonnościach i zdolnościach; on nie. Bo przypuśćmy, że taki chłopiec w seminarium straci owo często aż nazbyt wątpliwe „powołanie”, które go tam zawiodło. Nie ma dla niego powrotu, gdzież pójdzie, gdzie się obróci? Tym bardziej po święceniach. Z powołaniem czy nie, będzie do końca nosił swój stygmat kapłański, będzie się szamotał, męczył, aż w końcu zacznie widzieć w tym zawodzie interes taki dobry jak inny.

Jeżeli się weźmie pod uwagę te dwie okoliczności, lichotę materiału i niemożność pozbycia się go, ulepszenia, oczyszczenia, nie byłoby nic dziwnego, gdyby ze wszystkich zawodów kler nasz najwięcej pozostawiał do życzenia i gdyby się okazało, że stoi bodaj najniżej pod względem etycznym, przynajmniej w stosunku do wymagań, jakie mamy prawo mu stawiać.

Nie byłoby nic dziwnego, to pewna. Raczej dziwić by się należało, gdyby było inaczej.

Wystarczy na to jedna rzecz, o której też się nie mówi i nie myśli, tak bardzo się z nią ludzie oswoili, a która, gdy się nad nią zastanowić, przejmuje grozą: celibat. Nie dla sposobu, w jaki ten czy ów ksiądz go dochowuje; ale dla konsekwencji, jakie on pociąga, dla sytuacji, w jakie wciąga kapłana, dla wpływu, jaki ma na kształtowanie charakteru.

Bo jak właściwie ma się ta sprawa? Kiedy wystawiano w Krakowie *Klątwę* Wyspiańskiego, te same koła duchowne, które przez kilkanaście lat nie dopuszczały tego utworu na scenę, widząc, że walka jest przegrana, wzięły *Klątwę* niejako pod swój patronat, powitały ją uroczystym artykułem. W artykule tym uderzał jeden komentarz: klerykalne pismo objaśniało mianowicie, że mylne jest mniemanie świeckiej publiczności, iż każdy ksiądz składa śluby czystości: ślub czystości składa zakonnik, ale nie świecki ksiądz. Jeżeli popełnia grzech nieczystości, grzeszy — jak każdy inny, może trochę więcej — ale nie łamie ślubów; olbrzymia różnica! Bardzo subtelne i pocieszające

rozdzielenie; ale społeczeństwo obchodzi w tej sprawie co innego; nie stopień grzechu księdza, ale strona społeczna tego grzechu. Czy może kto nie widzieć, ile tragicznych konfliktów on wydaje, w jakie wprowadza kolizje? Przypadek dał mi w ręce — jako że mimo woli stałem się czymś w rodzaju znachora chorób społecznych i ludzie zgłaszają się do mnie z najdziwniejszymi rzeczami — otóż, przypadek dał mi w ręce akty jednej takiej okropnej sprawy. Młoda kobieta przyszła w tych dniach do mnie i opowiedział mi swoje dzieje, dała mi odpis swojej skargi zaadresowanej do najwyższej władzy kościelnej. Oto jej historia w krótkości, wedle tej skargi:

Osiemnastoletnia dziewczyna funkcjonuje „w bieli²¹” w pewnym kościele. Wikary owego kościoła obserwuje ją bacznie. Pewnego razu wzywa ją pod jakimś pozorem do swego pokoju. Powiada jej, że ją kocha za to, że jest uczci-

²¹*funkcjonować w bieli* — należeć do tzw. *bielanek*, tj. dziewczęcej służby liturgicznej działającej przy parafii; nazwa pochodzi od białych strojów, jakie noszą dziewczynki, uczestnicząc w nabożeństwach, mszach, procesjach i różnych uroczystościach kościelnych. [przypis edytorski]

wa i dobra dziewczyna; po czym namawia ją, aby mu się oddała. Dziewczyna wskazuje wizerunek Chrystusa, zasłaniając się grzechem. Ksiądz zapewnia ją, że grzechu mieć nie będzie; pada na kolana, przysięga na rany Chrystusa, na prochy ojców, na honor, że jeśli mu będzie powolna, będzie się nią opiekował całe życie. Dziewczyna, która „wierzyła kapłanom jak świętym”, zniewolona, ulega. Stosunek trwa. Naraz dziewczyna dowiaduje się, że wikarego przenoszą, właśnie w chwili, gdy ona uczuła się matką. Idzie do księdza; ten odpowiada, że przenoszą go za karę, i że nie chce o niej słyszeć. Nakłania ją, aby poszła do akuszerki spędzić płód. Dziewczyna wzdraga się z obawy przed grzechem i przed niebezpieczeństwem. Wówczas ksiądz powiada, że jej kupi dwie pastylki sublimatu, aby się otrują, ale na ulicy, nie w jego mieszkaniu. Wreszcie ucieka przed nią. Dziewczyna jedzie za nim, wśród tego ro- ni. Udaje się do kurii biskupiej ze skargą; przyrzekają jej porozumieć się z księdzem i uzyskać dla niej pomoc; sprawa się wlecze. Znow j-

dzie do księdza. Ksiądz wzywa policji z tym, że przyjechała obca kobieta i chce go zabić. Aresztują ją, po zeznaniach wypuszczają. I ciągnie się ta sprawa długo; ksiądz ściąga dziewczynę do mieszkania drugiego księdza, wymuszają z niej za pomocą obietnic podpis, że się zrzeka pretensji; świadek jest jeden, dorabiają podpis drugiego; gdy podpisała, wyrzucają ją za drzwi, idzie do kurii, kuria nie chce już z nią gadać: wszak podpisała zrzeczenie! Znów jedzie do parafii nękać księdza: ten w szale dławi ją, woła kościelnego, krzyczy, że trzeba zawołać łobuzów, aby ją utopili, okręcają jej głowę, biją ją, ona leci na policję, gdzie lekarz stwierdza ślady paznokci na szyi etc. „Ważniejszych szczegółów nie wymieniłam (pisze ta kobieta w swojej nowej skardze do najwyższej instancji), za które ksiądz X. nie powinien być ani godziny księdzem. Na żądanie odpowiednich władz szczegóły te mogę ujawnić ustnie, a nawet zeznać pod przysięgą...”.

Istne *Dzieje Grzechu!* W jakąż otchłań występków pociągnął biednego księdza pierwszy

błąd, występków, z których świętokradztwo jest najłżejszym... A teraz przypuśćmy nawet, że część tego wszystkiego nie byłaby prawdą, że byłaby przesadą, zmyśleniem tej dziewczyny: czyż mniej tragiczne jest położenie księdza, który za chwilę słabości wciąż musi drzeć przed szantażem, przed skandalem? Ileż takich spraw może się spiętrzyć w ciągu jednego życia; pięknych scen widownią staje się plebania! Oto co kosztuje celibat. Czy rozwiązuje się tak czy inaczej, dobrodusznie czy tragicznie, sądzę, że niebezpiecznie byłoby wglądać w poufne perypetie przeciętnego kapłana. Nie sam pierwotny grzech jest tu groźny, ale to, co pociąga, to, co może uczynić z człowieka, do czego może doprowadzić księdza, może nie gorszego od innych, ot, przeciętnego człowieka, ofiarę systemu. To już nie jest sprawa wewnętrzna Kościoła. Sam celibat wystarczyłby, aby z armii kleru uczynić w społeczeństwie niebezpieczne siedlisko demoralizacji, zawsze zresztą kryte przez władze duchowne. Bo i co mogą zrobić? Prze-

nieść księdza z jednej parafii do drugiej, jak odpowiedział biskup memu ziemianinowi.

A teraz zważmy, w świetle tych „dwóch pastylek sublimatu”, sposób, w jaki sfery duchowne odniosły się do poruszonego przeze mnie tematu *Piekła kobiet*. Kiedy, opierając się na opiniach najpoważniejszych członków społeczeństwa, prawodawców, poruszyłem doniosłą kwestię społeczną, nie było zniewagi, jakiej by mi oszczędzili, oni, którzy najmniej mają prawa mówić o tym. Bo jeżeli dla kogo problem ten istnieje, to dla ofiar celibatu.

Gdybyż to wystarczało grzmieć i wydawać przez *Katolicką Agencję Prasową* okólniki, w których zohydza się uczciwego pisarza za to, że porusza rzeczy bolesne, zapewne, ale które są faktem i którym nikt nie ośmiela się przeczyć! Tak samo jak wszystkie zniewagi, jakimi mnie obrzucono po *Dziewicach konsystorskich*, nie zmieniły faktu, że handel katolickimi rozwodami pod firmą unieważnień jest siedliskiem świętokradztwa i korupcji, tak samo poruszone dziś

przeze mnie bolączki nie przestaną istnieć, choćby się odpowiedziało nowymi obelgami.

Jednym z najpospolitszych sposobów, używanym od niepamiętnych czasów, jest wmówienie w publiczność, że nie to jest niemoralne, co niemoralne stosunki stwarza, ale że niemoralny jest ten, który je ujawnia i wskazuje. A drugi sposób, to utożsamienie sprawy księżej ze sprawą Boga, kleru z religią. Ale to zużyty sposób. Wyspiański był jednym z naszych najbardziej religijnych pisarzy: otóż dwa razy występuje w jego utworach ksiądz; raz jako lichwiarz wiejski — do spółki z Żydem — drugi raz jako źródło zgorszenia publicznego, biedna i ciemna ofiara celibatu.

Macie oto, moi ojcowie, rozmyślania wielkopostne. Widzicie, że macie dużo, bardzo dużo do roboty. Dużo pracy nad sobą, pracy nad tym, aby pogodzić swój ustrój z potrzebami dzisiejszego świata, z pojęciami świeckiej bodaj uczciwości. Zanim z tym nie dojdziecie do porządku, za wcześnie może wyciągać ręce po władzę w odrodzonej Polsce. Zaczynjcie napra-

wę Rzeczypospolitej od siebie; starajcie się pełnić godnie waszą rolę duszpasterzy, to już dość piękne i trudne zadanie.

II

Cytowałem kiedyś anegdotę o sędziwym gramatyku, Antonim Małeckim, który gdy mu gbur na ulicy uczynił brzydką propozycję, odruchowo poprawił jego wadliwą wymowę: końcowemu „pę” brakło ogonka! To jest nawyk profesjonalny. Tak i ja. Ilekroć otrzymam list z obelgami, mimo woli łapię się na tym, że interesuje mnie przede wszystkim poprawność metafor, lapidarność lub niedołęstwo stylu, poziom intelektualny.

Nie znaczy to, abym dostawał same listy z obelgami; przeciwnie, moja codzienna poczta przedstawia oryginalny charakter. Masę podziękowań od kobiet, od nauczycielstwa, od karcjarzy, od romanistów... Ale i wymyślań też jest sporo. Otóż jednego dnia w gromadce listów spotkały się dwa stanowiące tak wymow-

ny kontrast, że muszę je tu przytoczyć. Motto można by dać: „styl to człowiek”.

Jeden, podpisany imieniem i nazwiskiem:

„Wielce Szanowny Panie! Pozwoli pan mocno i szczerze uścisnąć dłoń pańską za śmiałe wystąpienie przeciwko gwałtownemu atakowi naszego kleru na wszystkie dziedziny naszego życia społecznego. Tylko pan... (*komplementy, które opuszczam*)... będzie mógł ten atak wytrzymać i niech pan wierzy, że my, przeciętna inteligencja, staniemy murem i będziemy bronić pana jako naszego duchowego wodza. Nigdy jeszcze kler katolicki tak buńczucznie nie podnosił głowy jak w obecnych czasach. Tylko pan... (*komplementy*)... może wytłumaczyć naszemu zacofanemu społeczeństwu o małomieszczańskim poziomie, że walka z klerem nie jest walką z religią. To, co pan pisze o poszczególnych księżach, to tylko znikoma część tego, co w rze-

czywistości dzieje się w wiejskich parafiach, a zwłaszcza na kresach zachodnich. My rozumiemy społeczne znaczenie pańskich felietonów i jeszcze raz składamy panu nasze gorące podziękowanie. Tylko niech pan nie cofa się, za panem stoją setki tysięcy. W imieniu zwolenników pana

N. N., katolik”.

Drugi list bezimienny (cytuję w skróceniu):

„(...) czyni pan na wszystkich wrażenie nierogatego zwierzęcia czworonożnego, które lubi się tarzać w błocie (...). Powinien pan od razu śmiało i otwarcie przyznać się, że jest pan ateistą i komunistą (któremu prawdopodobnie płacą za tę krechę robotę komunizowania Polaków), że jest pan chamem i grubianinem, rozpustnikiem, który nie cofa się przed niczym (...).

Niech pan nie wygłupia się w dalszym ciągu, bo i tak wszyscy uważają pana za wariata. Lepiej dać spokój tym artykułom... budzą wstręt i obrzydzenie do człowieka, który umie używać tylko wyrazów ordynarnych (bo inne w słowniku jego nie istnieją), który demoralizuje Polaków w chwili, gdy najbardziej jest im potrzebny hart ducha i czystość duszy.

Nie jest pan Polakiem!!! Jest pan najemnikiem Rosji, płatnym za swoją zgubną i niszczącą działalność na terenie Polski.

Bądź dalej chamem, ateistą, ale nie ucz tego innych: jesteś głupi (jak osioł!), ale nie przelewaj swej głupoty w umysły innych ludzi (...).”

Uderzyła mnie w tych dwóch listach różnica stylu. W ogóle niepokoi mnie, że ilekroć odbieram list od takiego samozwańczego obrońcy wiary i tradycji, poziom jego jest taki, że zgroza przejmuje, co by było, gdyby owe czci-

godne hasła miały zwyciężyć w tym specyficznym ujęciu. Czy cała Polska zaczęłaby pisać w ten sposób? I przyszło mi na myśl, że nieszczęśliwe musi być wychowanie, które wydaje takie owoce.

Powie ktoś, że wychowawcy nie odpowiadają za takich uczniów. Owszem. Bo oto sięgnijmy do źródła. Ja nie same listy dostaję, ale co dzień także porcję drukowanego słowa. Otóż ilekroć dostanę wycinek z klerykalnego pisemka, odnajduję ten sam właśnie styl. Chcecie próbki?

„(...) Jeżeli Boya rzeczywiście natchną takie wątpliwości, to szkoda, że nie wejdzie głębiej sam w siebie, gdyż po rozważnym zastanowieniu się musiałby on dojść do wniosku, że on jest największą świnią między poetami i największym poetą między świniami...

Jego tragedią było, że nigdy nie był w twardych rękach, ale ciągle ciąkany i chuchany. Rasowy koń arabski ma dopiero

wówczas pełną wartość, jeżeli jest ujeżdżony. Koń nieujeżdżony nie przedstawia żadnej wartości. Pozostawiony sam sobie, wałęsa się, gdzie mu się podoba i robi szkodę, do pożytecznej pracy nie da się użyć, a jednym realnym z niego pożytkiem jest nawóz. Tak samo jest z Boyem”.

W tym tonie „polemizują” stale nasze klerikalne organy. A zważcie, że to jest jeszcze próbka bardzo łagodna; porównanie z rasowym koniem arabskim jest stosunkowo dość pochlebne; zwykle jest mowa o „zboczeńcu”, którego czeka koniec w szpitalu i tym podobne zbożne chrześcijańskie życzenia. Otóż, jeżeli sami ci, którzy narzucają się nam na wychowawców, piszą w ten sposób, czegoż spodziewać się po ich wychowankach?

Skoro już jesteśmy przy dokumentach, mam pokusę przytoczyć jeszcze jeden, będący żywą ilustracją moich poprzednich felietonów. Niedole nauczyciela szkoły powszechnej, który pragnie niecić w uczniach zapał do nauki:

„Przynosi się do klasy np. Winawera, wycina się z prasy codziennej i pism naukowych wiadomości przyrodnicze, zachwyca się nieobliczalnymi możliwościami ludzkimi... Roznosi się wiadomość, że nauczyciel niby to w Boga wierzy, ale potem to powiada, że ludzie niedługo na księżyc polecą albo i na słońce. Dowiaduje się o tym ksiądz i wzywa takiego nauczyciela publicznie do spowiedzi. Przed kilku laty starał się jeden ksiądz wytłumaczyć, że w gimnazjum Lelewela stał się cud... bo ktoś tam nie zginął, mimo iż w sali wybuchł granat (słynne wypadki podczas egzaminów maturalnych). Nie uwierzyłem w cud, twierdząc, że nie zginęło również 50 innych ludzi znajdujących się w tej sali w tym samym czasie. »I pan chciał religii uczyć! — usłyszałem na to. (Bo w naszych szkołach często nauczyciel uczy religii.) — Taki człowiek!« — Do końca roku ksiądz nie podawał mi ręki i nie wchodził do kancelarii, gdy ja tam byłem. A ileż to

razy z takich rzeczy wynikają plotki, interwencje, a nierzadko wędrówka na kraj co najmniej powiatu. I jakże tu żyć? Czy zachować przymierze z »Bogiem« i pleść głupstwa, i baczyć, by promyk światełka nie dotarł do głów moich adeptów? Gdzież sumienie, gdzież uczciwość?

(...) Nam, nauczycielom szkół powszechnych, za wyznanie albo nawet za »podstuchanie« naszych poglądów grożą rugi, a za niezbyt odległych grabskich rządów niejednokrotnie i utrata kawałka chleba.

Nie od rzeczy też będzie, jeżeli wspomnę o niejakiem odprężeniu chwilowym pod tym względem. Toteż ze strachem, z prawdziwym strachem przyjęliśmy wiadomość, że oto rzucono się na naszego zwierzchnika, na naszego ministra. A my, którzy mamy często zatargi ze swymi władzami i radzi jesteśmy, jeżeli nieludzki zwierzchnik ustępuje, tym razem krzyczymy gwałtu i jak najkategoryczniej protestujemy na naszych zjazdach, zebraniach, przeciwko

napaściom na osobę obecnego ministra oświaty, na niezależność szkół, na chęć przewodzenia nami przez ciemny i zacofany kler... Toteż zrozumie Szanowny Pan, dlaczego tak wiele oczekujemy od Pana, wierzymy bowiem, że jeśli pan się zabierze do tej kwestii, »załatwi« ją pan pomyślnie jak tyle innych i oczyści życie szkolne z głupoty i demoralizacji (...)

Mój Boże! Oczyścić życie z głupoty i demoralizacji!... Tylko tyle! Stanowczo za wiele sobie po moich wątych siłach obiecują. I gdybyż tylko o duchowe rzeczy chodziło! Są i inne sprawy, grubo fizyczniejsze, a o tym, doprawdy, nie wiadomo, jak pisać.

Kiedy swojego czasu pozwoliłem sobie na kilka niewinnych żartów na temat pewnej kwestii, rozległ się w pismach klerykalnych jedno-głośny chór: „Boy zboczeniec! do sanatorium! apostoł homoseksualizmu” etc.! Nie pamiętam czegoś tak humorystycznego, jak to rozwścieczenie zakutych głów, niezdolnych zrozumieć

żartu, gry intelektualnej, rewizjonistycznego paradoksu. Sumienie mam pod względem „normalności” tak czyste, tak dalece nie zgrzeszyłem w tym kierunku nawet myślą, nie tylko uczynkiem, że bawiłem się serdecznie tą kampanią, nawet wtedy, kiedy podburzone paniusie w Bydgoszczy starały się przeszkodzić odczytowi, który tam wygłosiłem o cnotliwej pisarce sprzed lat trzystu, pani de La Fayette. Kampania ta miała natomiast ten skutek, że zwróciła moją uwagę na ów przelotnie muśnięty temat: zacząłem dostrzegać dziwne rzeczy! Dwuznaczne moje wspomnienie z czasów szkolnych obudziło wspomnienia innych osób, zupełnie analogiczne w tej mierze. Ale czy potrzeba aż wspomnień! Lada dzień rozpocznie się w jednym z miast w Poznańskim olbrzymi proces przeciw prefektowi oskarżonemu o deprawację młodych chłopców: proces ten — o ile go nie zdołają zatuszować — ujawni zdumiewające wprost swoim naiwnym cynizmem szczegóły, których niepodobna prawie tu przyto-

czyć, ale którymi, ostatecznie, na żądanie mogą służyć...

Fakty, fakty, dziś, wczoraj! Z powodu kampanii podjętej świeżo przeciw dygnitarzowi państwowemu jedno z pism ogłasza znowuż relację pewnego procesu z roku 1914, w której obrońca stwierdził na podstawie skarg całej miejscowości, że

„duchowny pasterz tej miejscowości w najwstrętniejszy sposób demoralizuje i rujnuje zdrowie całego szeregu chłopców”,

gdzie o naszym klerze mówi w tych słowach:

„ta kasta, to zwarta, silna grupa, zespolona jedną myślą, by pod żadnym pozorem nie pozwolić na obniżenie swego autorytetu”;

I gdzie czytamy w końcu w mowie obrońcy:

„Panowie, za tą zasłoną, którą celibat kryje, dzieją się niejednokrotnie wprost niepojęte dla normalnego człowieka rze-

czy. I tylko podczas procesów sądowych uchyla się rąbek tej zasłony. W danym wypadku dowiedzieliśmy się, powtarzam, więcej, niż zdrowy, niezwyrodniały człowiek pojąć może”.

Czymże są, wobec takiej enuncjacji, moje niewinne „rozważania wielkopostne” na temat celibatu?

Ale co to pomoże stwierdzać fakty choćby co dzień. Znów mnie nazwą zboczeńcem, bezbożnikiem — i tyle. Wciąż to samo: nie ten gorszycelem, kto czyni zgorszenie, ale ten, który przeciw niemu protestuje...

Ja rozumiem, że trzeba „osłaniać autorytet” i że najwygodniejszą drogą jest gromić, lżyć, wyklinać tego, który by pragnął oczyszczenia atmosfery. Ale, doprawdy, czy to jest moment, aby w chwili gdy nasz kler tyle pozostawia do życzenia obyczajowo i intelektualnie, w chwili gdy tyle ma konfliktów z ustawami państwowymi, z pojęciami nowoczesnego świata, z ludzką etyką wreszcie, czy to jest mo-

ment, aby ten sam kler silił się narzucać swoją supremację w dziedzinie, w której najmniej jest do tego powołany, w dziedzinie oświaty? Nie ma często księdza tam, gdzie trzeba poświęcenia, miłości bliźniego, cnót ewangelicznych, ale chce gwałtem być dyktatorem w sferze, która absolutnie przekracza jego kompetencję! Toż szkoła ma głowy rozjaśniać, nie zaciemniać, ma dawać rzetelne podstawy życia, a nie obłudną formalistykę!

To jest bardzo osobliwy świat i ma swoje zupełnie odrębne prawidła. Pewien znajomy mój, malarz, który pracował przy restauracji wiejskiego kościoła i mieszkał jakiś czas na plebanii, opowiadał mi taką odpustową scenę, której był świadkiem. Czterej księży grali w karty i zasiedzieli się przy kartach i kieliszku poza dozwoloną (ze względu na jutrzejszą mszę św.) godzinę: po czym całkiem naiwnie jeden klęknął kolejno przed drugim i wyspowiadał mu się z tego grzechu. I w kilka minut wszyscy byli w porządku. Mając pod ręką taki

sposób, czyż nie jest się ponad wszelkim ludzkim i boskim prawem?

Zapewne, wielka to moc, władza odpuszczania grzechów... Właśnie jedno z pism cytuje list pasterski arcybiskupa salzburskiego *O czci kapłanów*. Czytamy tam o potędze kapłana, wyżej nad królów i cesarzy: „co wiąże lub rozwiązuje, to posiada znaczenie także w niebie”. „Gdzież, najmilsi, nawet w niebie jest potęga podobna?...”. Tej mocy nie mają ani anioły, ani archanioły, ani nawet Maria, Królowa niebios — ma ją tylko jeden kapłan:

„A gdy ze zdumieniem słucham pytania świętego Dionizego, zali można jeszcze nazywać człowiekiem tego, którego Bóg wybrał spośród ludzi a nad zastępy wzniósł tak wysoko, którego Bóg tak ściśle ze sobą zespolił, dając mu władzę nawet nad Sobą, o najmilsi, czyliż dziwić się będziemy, gdy roczniki Kościoła świętego nam odpowiadają, że wszyscy, którzy na kapłana spoglądali oczyma wiary, tak wysoką cześć mu oddawali?”

Tak mówi list pasterski. W istocie, jest to wielka i podniosła tajemnica wiary. Ale nieporozumieniem byłoby rozciągnąć ją na całe życie księdza i na wszelką jego działalność. Z chwilą gdy kapłan zdejmuje ornat lub stulę, często zostaje ciemny, prosty i ułomny człowiek, który dla bardzo świeckich pobudek „poszedł na księdza”, który w seminarium nie bardzo się oświecił, a czasem zdemoralizował, i który aż nazbyt wiele daje przyczyn do krytyki i ostrożności, zwłaszcza w dziedzinie oświaty. W żadnym zaś razie nie może być jej kontrolerem, on, który często sam kontroli potrzebuje.

A co czynić, pyta w dalszym ciągu swego listu arcybiskup, jeśli kapłan jest niegodny swego świętego posłannictwa? „Modlić się (odpowiada) za takiego nad wyraz nieszczęsnego kapłana, a godności kapłańskiej nawet w takim wypadku cześć okazywać”.

Godność kapłańską czcimy, modlić się za was możemy, ale — rządzić wam Polską nie damy. To sobie wyperswadujcie.

III

Prawie niepostrzeżenie przeszła sprawa niezmiernej wagi dla naszej przyszłości. Mówię o kasacji wyroku w sprawie ks. Jastrzębskiego. Rzecz charakterystyczna przy tego rodzaju sprawach. Proces przygotowany starannie, celowo, wszczęty z wielkim rozgłosem — rzeczoznawcy, świadkowie, tłumy publiczności, dzienniki wypisują całe szpalty. Zapada wyrok skazujący starego księdza ewangelickiego na więzienie za danie ślubu (do czego jego wyznanie w zupełności go uprawniało) eks-księdzu katolickiemu, zresztą figurze spod ciemnej gwiazdy. W apelacji wyrok zatwierdzono. Znów sensacja, znów okrzyki tryumfu całego kleru. Ale nim doszło do najwyższej instancji, sprawa się zużyła, zapomniano o niej po trosze i oto świeżo ledwie kilkadziesiąt wierszy drobnego druku doniosło, że... Sąd Najwyższy wyroki obu instancji uchylił, uznając w zupełności niewinność oskarżonego, a bezpodstawność skargi. A wszakże dopiero ten wyrok stał się prawomocny i przekreślił tamte poprzednie. Błąd sądowy zyskał

tryumfalny rozgłos, naprawienie błędu odbyło się po cichu.

A tymczasem ten petitowy²² wyrok — wraz z jego obszernym umotywowaniem — jest dla naszego życia państwowego wcale nieobojętny. Inicjatorom procesu chodziło o to, aby z naszych sądów zrobić policję dla strzeżenia przepisów kanonicznych jednego wyznania, z podeptaniem zasad innych wyznań, rzekomo równouprawnionych. Dwie instancje dały się powolnie użyć do tych celów, aż trzecia — najwyższa — założyła weto. Stwierdzono w wyroku, że celibat nie jest żadnym zobowiązaniem wobec państwa, że jest po prostu kanonicznym przepisem i to wprowadzonym dość późno, bo dopiero dziewięćset lat temu, nieobowiązującym nawet w całym kościele katolickim. Państwo nie ma żadnego powodu wkraczać w jego obronę, tak jak policja nie ma obowiązku pilnować, czy ktoś je w piątek bułkę z szynką, czy też — dla umartwienia — z kawiozem.

²²*petitowy* — pisany *petitem*: drobną czcionką. [przypis edytorski]

Skoro zatem postawiono kwestię celibatu na właściwym miejscu, tym samym można o niej mówić. Spyta ktoś: po co, wszak to jest wewnętrzna sprawa Kościoła. Niezupełnie. Obchodzi ta rzecz i społeczeństwo; i to ze wszystkich punktów widzenia. Nie przeczę, że to jest kwestia trudna i drażliwa, ale ten bardziej zasługuje, aby ją przedyskutować. Wiem, że to jest gruby nietakt, pogwałcenie form towarzyskich; co gorsza, czuję, że się tym po prostu ośmieszam; ale co mi tam, poświęcę się.

Trzeba tedy zacząć od początku, nie lękając się zarzutu naiwności. Przede wszystkim więc, co znaczy celibat kleru? Nikt nie wierzy, aby on był równoznaczny z pojęciem czystości. To by znaczyło tyle, co wierzyć w bociany, czego Kościół nie nakazuje. Celibat znaczy po prostu bezżeństwo; znaczy, że istnieje cała klasa ludzi młodych lub w sile wieku, postawionych poza nawiasem życia społecznego we wszystkim, co dotyczy najelementarniejszego instynktu i jednego z najsilniejszych ludzkich dążeń.

Nie ulega wątpliwości, że z punktu widzenia organizacji celibat przedstawia — dla Kościoła — znaczne korzyści. Główne argumenty za celibatem to żołnierska karność, oddanie tylko Kościołowi: armia gotowa na skinienie, niemająca innych węzłów, innej rodziny.

Drugi argument, wysuwany niekiedy, to tajemnica spowiedzi. Słusznie czy nie, uważają, że stan małżeński księdza narażałby na szwank tę tajemnicę i że małżonka znalazłaby sposoby poznania sekretu co najmniej swoich przyjaciółek. To jest argument z rzędu mniej poważnych.

Trzeci dotyczy osoby domniemanych żon. O ile samych księży można ująć w rygor, przynajmniej zewnętrzny, o tyle — dziś zwłaszcza, w epoce wyzwolenia kobiet — dość trudno byłoby narzucić ich żonom takie lub inne obyczaje; jeszcze trudniej utrzymać je w karności małżeńskiej. Nie byłoby właściwe zapewne, gdyby się słyszało na balu — lub, o zgrozo, w dancingu! — takie rozmowy: „Kto jest ta pani, która ma takie ładne plecy i tak dużo ich

pokazuje?” — „To kanonikowa X” — „A ta, która tak wymownie tańczy bluesa z tym młodym bubkiem?” — „A, to separowana prałato-wa Y”.

Zapewne, to są argumenty. Powaga sukienki samotnego człowieka, nieznającego nic oprócz swej religii, ma swoje piękno i swój *prestige*. Ale godzi się zważyć, ile to kosztuje. Ściśle biorąc, dla kapłana istnieją tylko dwie drogi: być świętym albo być drabem. A świętość jest trudna i też nie jest bez niebezpieczeństw.

Bo jeżeli uznamy pokątne miłostki za stan niemoralny i często pchający w sytuacje bardziej jeszcze niemoralne, dziwne nam się wyda, że ten właśnie, który ma być stróżem moralności u innych, skazany jest przez całe życie na sytuacje nieprawidłowe. Inni mogą być mniej lub więcej niemoralni; on — musi. Dla innych to jest sprawa prywatna; dla niego publiczna.

U ludzi świeckich miłość, choćby niepoświęcana, może mieć wdzięk, poezję, może być połączona z dobrą wiarą, złe skutki jej mogą

być naprawione. Co rok wiosna splata ręce, łączy usta iluż par; niejedną parę po chwili upojenia czeka rozczarowanie, niejedna kobieta gorzko opłaci swoje zapomnienie; ale była w tym bodaj złuda szczęścia, bodaj chwila szczerości. Inaczej zupełnie u księdza. On nie spotyka się z płcią odmienną w miejscu przeznaczonym na zabawę, na tańce, na widowisko; nie może zalecać się do kobiety na przechadzce w wieczór letni. Zetknięcie jego z kobietą jest prawie wyłącznie połączone z jego funkcjami kapłańskimi; stąd każdy błąd nieuchronnie prawie łączy się u kapłana ze świętokradztwem. Słowa jego muszą być zawsze obłudne; on nie może mieć nawet złudzeń uczciwości; oświadczenia muszą zawsze być szeptane w owym języku namaszczonej a cynicznym, który tak genialnie Molier oddał w wyznaniach Tartufa. A gdy grzech trwa, gdy się powtarza, musi zniszczyć nieodwołalnie albo wiarę, albo spokój duszy. Taki nieszczęśnik nie ma już w swoim wnętrzu nic do stracenia. Nie może naprawić błędu, nie może naprawić krzywdy, jaką wyrzą-

dza. Jeśli jest uwodzicielem, musi być twardy i bezwzględny wobec następstw błędu. W najlepszym razie czyhają na niego zawodowe wyzyskiwaczki, które, zdając sobie sprawę z jego położenia, kuszą go, a potem szantażują, przywodząc go do rozpaczki groźbami i wymaganiami. Pełno takich oblega konfesjonały. Czarno i ponuro jest w duszy tego, który ma nieść ludziom spokój i ukojenie.

Jeżeli każdego człowieka zmysły mogą wciągnąć w przepaść, o ileż bardziej kapłana. Rzadko, stosunkowo bardzo rzadko, sprawy te, starannie i solidarnie skrywane, wychodzą na jaw; ale czyż mniej przez to istnieją? Najlepsze instynkty człowieka, wrodzone potrzeby czułości, kochania, drążą sobie jakże niebezpieczne drogi! W zetknięciu z młodzieżą nieraz wciągają księdza w grzech przeciw naturze. Płyną te uczucia często z najidealniejszych pobudek, a kończą się na ławach sądowych. To znów do rozpaczki przywiedziony ksiądz nie znajduje nic prócz... pastylek sublimatu dla swojej kochanki, jak w cytowanej niedawno przeze

mnie skardze dziewczyny do kurii biskupiej. Świeżo czytam znowuż inny wypadek w dziennikach. Dziewczyna przynosi księdzu dziecko, aby się nim zajął: widocznie ma prawo do tego. On odmawia, dziewczyna porzuca dziecko na plebanii. „Wyrodną matkę” — czytamy — osadzono w areszcie. A „wyrodny ojciec”? Ten wstąpi w niedzielę na ambonę i będzie grzmiał i karciał zepsucie. Ale wszak na wsi wszystko jest publiczne; toteż starzy kiwają głowami, młodzi śmieją się...

Gdybyż bodaj grzech był łatwy! Ale mimo wszystko jest on dla kapłana utrudniony. Stąd myśl wciąż jest przegrzana zmysłowością, która tak łącno czai się w zapachu kadzideł. A czy może być obojętny ten stan u człowieka, który spowiada młode dziewczęta lub który jest prefektem w szkole?

Ale przyjmijmy nawet drugą ewentualność, że kapłan jest człowiekiem świętym, że jest męczennikiem swego powołania. Czyż możemy przyjąć, że nie powoduje to poważnych następstw

psychicznych? I czyż taki kapłan, heroicznie, siłą swej woli, wydarty z jednej z najistotniejszych spraw życia, może być w tych sprawach sędzią i doradcą?

Ale te wypadki są, przypuszczam, rzadkie. Większość kapłanów to ludzie i mężczyźni jak inni. I doprawdy wciąż trzeba podziwiać tę umowę towarzyską, która pozwala im zabierać głos w najdrażliwszych kwestiach, w ten sposób jakby sami byli o sto mil ponad nimi. Niedawno w domu pewnego adwokata w Warszawie zainicjowali księza debatę na temat *Piekła kobiet*. Oczywiście w sensie uświęconej obłudy. Ale czy sami powiedzieli, jak oni sobie radzą? Sądzę, że to byłoby najciekawsze.

Ktoś, kto zna dobrze stosunki, mówił mi z całą pewnością, że istnieją księza rzymskokatolicki żonaci. Oczywiście potajemnie. Jeden ksiądz daje drugiemu ślub. Grzeszy, oczywiście. Wyspowiada się z tego innemu księdzu (a może nawet temu właśnie, któremu dał ślub?), dostanie pokutę, tajemnica spowiedzi obowiązuje, a ślub tymczasem jest. Nie biorę za tę re-

lację odpowiedzialności, choć rzecz wydaje mi się możliwa i zupełnie logiczna. Wszak „Nie cudzołóż” — to przykazanie Boga, a „Nie żeń się” — to tylko przepis kanoniczny, więc ludzki; czyż szczerze wierzący ksiądz może się wahać w wyborze?

Oczywiście trudno dowiedzieć się, jak jest naprawdę, bo świat to bardzo zamknięty, szczerść jest tutaj rzadka. Z jednym wyjątkiem. Bo oto jeden z najrozkoszniejszych paradoksów obyczajowych! Ksiądz, któremu nie wolno iść do teatru, może jeździć do uzdrowisk i mieszkać w pensjonatach zaludnionych przez młode, nudzące się i rozigrane kobiety. Ksiądz, któremu nie wolno iść do Teatru Narodowego na Claudela lub na Chestertona, może spędzać upalny lipiec i sierpień w takim haremie... Nie twierdzę, aby stąd wynikało coś zdroźnego, ale to fakt, że nawiązuje się tam zabawna poufałość między księżmi a kobietami. Wspólność sukienki. I kobiety, i księża skazani są poniekąd na obłudę; stąd księża czują się swobodniejsi, szczerzy, łatwo zwierzają się młodym kobietom.

A że znów kobiety mają zaufanie do... Boya, powtarzają te zwierzenia mnie. Ileż ja takich rozmówek słyszałem powtórzonych na ciepło! Najrozmaitsze. Niektóre rozczulające naiwnością, inne cyniczne, odpychające.

Typy, typki... Jeden ksiądz (dość znaczna figura kościelna), zgorzkniały, bajroniczny. Kobieta go zawiodła. Kochał ją (opowiada) bez pamięci; gotów był dla niej rzucić sukienkę kapłańską; koledzy jego ze zgrozą (powiada) patrzyli na obłęd, który go pochłonął. Topił w nią pieniądze, wyciskał je skąd mógł. I naraz, gdy sakiewka się wyczerpała, ta kobieta, która go łudziła miłością, porzuciła go: chodziło jej tylko o pieniądze! I mówił ów ksiądz to wszystko jak najnaturalniejsze rzeczy w świecie, jak najbardziej świecki człowiek; ani na sekundę względy stanu nie przyszły mu na myśl. I siedział z ową ledwie znajomą damą, która przyjmowała jego zwierzenia na deptaku, i mścił się na swych kolegach; na widok każdego księdza miał w zanadrzu anegdotę: „Widzi pani tego

draba, on tu przyjechał za tą a za tą: zna ją u siebie co noc”, etc.

„Czemuż ksiądz tego wszystkiego nie rzuci?” — spytała w końcu owa dama, znudzona jego skargami. „Rzucić? Teraz? — zaśmiał się gorzko — gdy jestem już blisko kariery, dla której przemęczyłem się tyle lat!”.

Inny, znowuż odmienny typ: dobroduszny, zażywny, chłop na schwał, wyrwany ze swojej parafii i niewiedzący, co począć w tym uzdrowisku z... nadmiarem swego zdrowia. Skarżył się owej pani, że nie może sypiać w pensjonacie: nocny ruch panujący rzekomo w sąsiedztwie, ciągle „wędrowniki narodów”, doprowadzają go do rozpacz! Nic zabawniejszego niż ta odwrócona spowiedź, w której dama — niczym przy konfesjonale — dawała księdzu zbawienne rady: „Niech ksiądz nie myśli o takich rzeczach, niech się ksiądz czymś zajmie, niech ksiądz używa więcej ruchu” etc. A księżulo tylko wzdychał!

To są wesołe strony sprawy. Ale bywają i smutne, i te, to — *piekło kobiet*. Nic bardziej

ponurego — powtarzam — niż sprawy miłosne księdza. Sytuacja, którą Wyspiański wziął za punkt wyjścia dla swej tragedii, jest jeszcze najniewinniejsza, najuczciwsza: a i ta ma tytuł *Kłątwa!* Cóż dopiero rzecz o innych! Ale te toną najczęściej w mroku, ledwie z rzadka wypływają przed sądy, bo strzeże ich — solidarność.

Znów spyta ktoś, po co ja poruszam tę sprawę? Cóż ten Boy ma pretensje reformować Kościół! Czemu nie? Czasem Bóg mizernego człowieka czyni narzędziem wielkich rzeczy. Tu nie chodzi zresztą o żadne dogmaty. To jest po prostu przepis kościelny. Wprowadzono go w jedenastym wieku; od tego czasu niejedno się zmieniło; co było dobre wtedy, może nie być dobre dziś. Kiedy to ustanawiano, nie miało głosu społeczeństwo, nie pytano go o zdanie, tak samo jak Karol Wielki nie prosił swoich pastuchów o zatwierdzenie budżetu ani o kredyty na defensywę²³.

Mnie w tym wszystkim przeraża najbardziej jedno. Kto wie, czy nie z tego celibatu,

²³*defensywa* — tu: obronność państwa. [przypis edytorski]

z tego zatamowania najtkliwszych wzruszeń serca, świętych praw ojcostwa, uczuć rodzinnych, wynika ta wrogość kleru do wszelkiego życia. Bo że ta wrogość istnieje, to fakt. Można być pewnym, że każde dążenie ludzi do tego, aby życie uczynić znośniejszym, miłszym, aby trochę poprawić warunki bytu na ziemi, napotka zawsze najgwałtowniejszy sprzeciw kleru. Zdałoby się, że ci ludzie w duchu — i może bezwiednie — wciąż mówią: „Męczcie się, jak my się męczymy; dusicie się, jak my się dusimy”. Tym tłumaczą się te fanatyczne wycieczki kleru przeciw wszystkiemu, co trąci najniewinniejszą bodaj radością czy swobodą, te śmieszne kruczaty przeciw... znakowi świata pracy — krótkim sukniom czy krótkim włosom, to szukanie we wszystkim pokus szatana, zrozumiałe u ludzi w istocie wciąż nękanym pokusami, wciąż obleganych wizją grzechu. Byłem raz w Łomży, gdzie miałem odczyt o literaturze francuskiej, a tego samego dnia popołudniu odbywały się regaty wioślarskie, przy czym wioślarki występowały oczywiście z nagimi ramionami;

nazajutrz ksiądz wygłosił kazanie, w którym oba te fakty — mój odczyt i regaty — objął wspólną klątwą. Śmiano się trochę i tyle. Ale nie zawsze na śmiechu się kończy. W Łomży się śmiano, w Kaczanówce niedawno przyszło do strzałów. Bo nigdy nie wiadomo, w jakim kierunku obróci się ta siła nienawiści i z jaką mocą wybuchnie. I gdzie granica między stanem normalnym a nienormalnym, tam gdzie anormalność życia jest nakazem, a normalność zbrodnią.

Tak więc, sprawa celibatu nie jest tylko sprawą wewnętrzną Kościoła. Wobec roli, jaką grają u nas księża, nie może być rzeczą obojętną to gniazdo nieodzownej obyczajowej obłudy. Im większy kontrast między nimi a nowoczesnym życiem, które dąży do rzetelności, do naturalności, tym gwałtowniejsza ich walka, aby to życie, które im się z rąk wymyka, powstrzymać w biegu, aby narzucić swoją supremację; aby stworzyć stan rzeczy, w którym nikt by nie miał prawa żądać od sługi bożego z ni-

czego rachunku. Stąd i metody walki zaciekle, brzydkie, które sprawiają, że słowo „klerykalny” stało się synonimem szpetoty, synonimem złej wiary. Ale jakkolwiekby wypadł czyjś pogląd w tej mierze, sędzę, iż byłaby pora zrobić jakiś bilans, zdać sobie sprawę, ile społeczeństwo kosztuje fikcja celibatu i fikcja owej czystości kapłańskiej. Ostatecznie jesteśmy dziś — pod każdym względem — w zaraniu nowego życia. Rewidujemy wszystko, wszystko musimy tworzyć na nowo. Nie widzę powodu, czemu by się społeczeństwo nie miało wypowiedzieć w tej sprawie.

JASKÓŁKA PLATONIZMU

Zagrano w Warszawie sztukę *Śmieszni kochankowie*, która zeszła po dwóch przedstawieniach z afisza; fakt niebywały! Sztuka niezbyt udana, to pewna: ale problem obyczajowy, o który się ociera — interesujący. Ale widocznie i ten problem był u nas nieaktualny, a tym samym... niemoralny. Świadczy to, że jesteśmy dopiero

w pełni upojenia zdobytymi swobodami życia, dalecy od przesytu i związanych z nim idealistycznych tendencji. I dlatego ci kochankowie, marzący o związku dusz wolnym od udziału ciała, wydali się naprawdę śmieszni i nieprzyzwoici. „Czemu nie włączcie zaraz do łóżka, tylko wyprawiacie jakieś komedie”, wołali na nich nasi poważni krytycy. „Czyż w miłości (pytał najczcigodniejszy z nich) istnieje coś innego od posiadania”?

A jednak istnieje. Jeżeli Miłość pośród swoich wielkich świętych czci imiona Tristana i Izoldy, Romea i Julii, niemniej pięknym blaskiem jaśnieje w jej kalendarzu pamięć Heloizy i Abelarda. To byli, co się zowie, *śmieszni kochankowie* i imiona te do dziś dnia wywołują dwuznaczny uśmiech na usta: i to zwycięstwo nad śmiesznością to najwyższe zwycięstwo miłości. Całe heroiczne okresy miłości były oparte na rozdziale miłości i posiadania. Laura miała ośmioro dzieci z innym, cóż nas to obchodzi? Dla nas jest kochanką Petrarcki, który może nigdy jej ust nie dotknął ustami. Rozdział ten ist-

niał w epoce rycerstwa na „dworach miłości”. Rycerz wiązał wstążkę swojej damy u szyszaka i szedł bić dla jej miłości niewiernych lub zgoła każdego, kto by zaprzeczył, że ona właśnie jest najpiękniejszą i najcnotliwszą damą chrześcijaństwa. Ginał gdzieś na obczyźnie, wymawiając jej imię. Wśród tego dama wychodziła za mąż, miała może amantów... A kiedy jej odniesiono skrwawioną wstążkę, oblekała żałobę. Jurny renesans wyparował ten mistycyzm miłosny. Ale znów odżywa. W *Pałacu Rambouillet*, „Wykwintnisie”, które wskrzeszają kult miłości, stawiają *platonizm* jako pierwszy jej warunek. Wiedzą, że bez tego warunku zabawa zbyt szybko się kończy: kończy się dzieckiem, zamiast rozkwitać wciąż nowym sonetem lub madrygałem. I mężczyźni chętnie poddają się tej dyscyplinie; rozkosz tych delikatnych zabaw jest im daleko droższa niż proste posiadanie, które jest nikomu niedziwne. Ośmieszono biedną *Krainę Czułości*, poszła w zapomnienie; znów przyszedł po niej okres królowania zmysłów. Ale w pełni królestwa rozkoszy widzimy

tę tragiczną paradoksalną miłość Julii de Lepinasse i biednego de Mora. Ubóstwiają się; kiedy na parę dni przyjdzie się im rozstać, wymieniają co godzinę najpłomienniejsze²⁴ listy; nic nie stoi na przeszkodzie ich szczęściu; oni sami postawili twą miłość tak wysoko, że *posiadanie* byłoby jej profanacją. Ale natura bierze straszliwy odwet na śmiesznych kochankach: gdy chory de Mora wyjeżdża, aby ratować — dla Julii — uciekające życie, Julia, nie przestając go ubóstwiać, wyegzaltowana jego listami, jego wspomnieniami, spada jak dojrzwały owoc w ramiona byczka (owoc z byczkiem, cóż za metafora!), który ją wziął całkiem po prostu na kanapce w łoży Opery.

A potem Romantyzm! Cóż za wymysły, cóż za wyrafinowania, byle cierpieć, byle być nieszczęśliwym w miłości! Kochać a kochać nieszczęśliwie, staje się niemal synonimem. Idealizm miłosny jest w powietrzu, udziela się najtrzeźwiejszym. Zgoła nieromantyczny autor pa-

²⁴najpłomienniejszy — dziś popr. forma: najbardziej płomienny. [przypis edytorski]

miętników z lat 1818–1825, dr Stanisław Morawski, tak pisze o swojej młodszej miłości: „Jedno jej ustami wymówione słowo: *Kocham cię* posadziłoby mnie, jak Bóg żywy, natychmiast na samym wierzchu piramidy egipskiej. Bodziec do tych wyższych w dalszym życiu działań, które by niezawodnie świetnym uwieńczone były skutkiem, zdruzgotane i starte na proch przez nią zostały. Ona broniła ciała. Co mi jej ciało! Ciało miałem dosyć! Ja chciałem jej duszy, jej duszy podobnej wówczas do mojej duszy...”.

Ale każda prawie miłość, chociaż później zakwita pełnią zmysłowego szczęścia i najczęściej wędnie w rzeczywistości, czyż nie posiada swego okresu nieśmiałych żądz, cichego zachwyty, obaw i nadziei? Czyż nie chce przeżyć swego Romantyzmu? To okres, który rodzi najpiękniejsze kwiaty miłości, najdelikatniejsze ich zapachy, kiedy pragnienie, niestudzone, nieograniczone niczym, zdaje się być nieskończonym, nie mdleje ani na chwilę. Toteż z jaką lubością kobieta umiała (bo już nie umie!) przedłużać

ten okres, jak długo walczyła z sobą, nim położyła mu koniec, mając mniej lub więcej jasne przeczucie, że początek szczęścia w miłości bywa początkiem jej umierania, jest często jej detronizacją...

Otóż w sztuce *Śmieszni kochankowie* można wyczytać jeden symptom właściwy naszej epoce: uproszczenie stosunków między mężczyzną a kobietą. Uproszczenie to grozi tym, że okradnie ludzkość o jedno z jej najpiękniejszych wzruszeń. Znika to, co jest warunkiem *krystalizacji* (że przypomnę stary termin Stendhala) miłosnej: *przeszkoda*. Te przeszkody przewidziała sama natura, każąc się bronić samiczce i przedłużać okres zalotów. Składały się na nie dawniej najrozmaitsze warunki: religia, nacisk społeczeństwa, inna „technika życia”, większa daleko niż dzisiaj obawa wszelkich następstw, co wszystko razem zamykało się w dość anachronicznym dziś pojęciu „cnota”; i wreszcie — w jej braku — ów nieokreślony kobiecy punkt honoru, który, nawet nie broniąc się zasadniczo, czuł się w obowiązku przeciągnąć obro-

nę do najdalszych granic. W najbardziej osławionym z niemoralności okresie XVIII wieku notowano — ze zgorszeniem — *cztery tygodnie* jako obowiązkowy czas starań o względy kobiety. Uderzcie się w piersi, piękne czytelniczki: czy zawsze nakładacie tak długą kwarantannę? Bo dawniej nawet życie najściślej prywatne i tajemne było właściwie publiczne: przy powszechnym braku dyskrecji, przy mnogości służby i w ogóle ciasnocie ówczesnego światka, incognito nie istniało: dlatego nawet najtajemniejsze²⁵ sprawy regulował wszechwładny konwenans.

Dziś wyzwolił się świat niemal ze wszystkiego, co mogło pętać miłość i stawiać jej tamy. Powiedzcie mi, gdy dwoje ludzi bardzo się sobie podoba, jakąż może być przeszkoda, aby nie padli sobie od razu w ramiona? Czym się tu bronić, czym bodaj motywować zwłokę? W oceanie wielkomięjskiego życia jeden czy drugi grzeszek wpada jak kamień w wodę. Równouprawienie mężczyzn i kobiet, ogromne rozszerze-

²⁵najtajemniejszy — dziś popr. forma: najbardziej tajemny. [przypis edytorski]

nie strefy tych ostatnich jako kandydatek do stanu... miłosnego, też zmieniło charakter tego stosunku. Coraz mniej ma kobieta szans, aby oporem swoim lub cnotą przywiązywać mężczyznę na długo. Z drugiej strony mężczyzna, otrzymując dość łatwo to, po co rękę wyciągnie, nie znajduje pokarmu dla swej utajonej, a tak przyrodzonej i potężnej *potrzeby cierpienia*; wciąż zrywa owoc miłości, zanim dojrzał; niszczy jej kwiaty w pączku zbyt szybkim posiadaniem, żyje nad-intensywnym życiem ciała, a okaleczonym życiem duszy...

I z tej gleby wyrasta paradoks sztuki młodego autora. Spotyka się dwoje młodych, którzy czują, że jest im przeznaczone się kochać. Miłość ich, *gdyby miała czas*, rozwinęłaby się cudownie; bo w chwili, gdy się spotykają, jest to dopiero *projekt na miłość*. Jak kipi ta miłość w młodym chłopcu, kiedy musi walczyć bodaj z drobiazgiem, z tym, aby się dowiedzieć, kto ona jest etc. Ale oto ona przychodzi sama ku niemu: dojrzała w jego oczach płomień, wyczuła bicie serca i jej własne serce odpowie-

działo przyspieszonym biciem. Oboje są młodzi, wolni, bez przesądów, cóż im broni być szczęśliwymi, po co odwlekać?... I w chwili gdy to ma się spełnić, czują żal, aby tak morderwać tę pierwszą, uroczą fazę miłości i nie nacieszyszy się nią, przejść do finału. Chcieliby wypić swoją miłość całą, smakować ją powoli, cierpieć, przede wszystkim cierpieć... I wpadają na śmieszny w istocie pomysł, aby sztucznie, wolą swoją stworzyć te zapory, których by potrzebowała ich miłość, aby dojść do maksimum napięcia. Pomysł oczywiście groteskowy: pięknie jest na przykład mieć babcię i czcić ją, ale jeżeli się jej nie ma, niepodobna jej wypożyczyć! Dlatego i pomysł kochanków kończy się groteskowo. Ale przeprowadzić taki pomysł na scenie to zamiar bardzo karkołomny; skiksował też rozdźwiękiem między autorem a publicznością. Co do mnie, chciałem tu zaznaczyć jedynie to, co mnie w tego rodzaju teatrze najbardziej interesuje: mianowicie pewien rys obyczajowy. Powstała ta sztuka w innym środowisku niż nasze; w zbyt kownym, kosmopo-

litycznym życiu wielkiej stolicy, gdzie przesyt rodzi widocznie takie nikłe tęsknotki idealistyczne. U nas życie płci, skrępowane dotychczas tysiącnymi pętami, zaledwie się dorwało trochę szczerości i swobody: jesteśmy w fazie jego apoteozy, renesansu. Polak, kiszony żywcem w fałszywej barchanowej cnocie dawnej Polki, wdzięczny jest dzisiejszej za jej prostotę, jej koleżeństwo miłosne, za jej szybkość decyzji i wdzięk w zgodzie lub odmowie. Na razie nie chce cierpieć: nie ma na to czasu, upaja się swą nową młodością. „Młodość rozkosz i wita, i żegna z weselem — jak skromną ucztę, którą dzielim z przyjacielem”, powiada Mickiewicz. I dlatego ci marzący o czystości *śmieszni kochankowie* wydali się nie tylko śmieszni, ale wyuzdani i cyniczni. Za wcześnie dziś u nas na jaskółki miłosnego idealizmu.

1926

ZMIERZCH KOCHANKA

Oglądaliśmy w ostatnim czasie dwie sztuki, z których każda była ciosem zadany *Kochankowi*, przez wielkie „K”. I rzecz znamienna: obie powstały w ojczyźnie miłości, we Włoszech. Autor jednej, Chiarelli, ośmieszył kochanka bez litości i pohańbił go; drugi, Pirandello, okrutniejszy jeszcze, ośmieszył go i zabił.

To było nieuniknione. Jest w świecie prawo odwetu. Prędzej, później musiało przyjść do porachunku za te tryumfy, jakie kochanek tak długo uzurpował sobie na scenie kosztem zohydzonego, ośmieszonego, maltretowanego męża. „Nadejdzie wreszcie dzień zapłaty” powiada pieśń gminna. Tryumfalny pochód kochanka możliwy był póty, póki on był symbolem, raczej ambasadorem nieśmiertelnej Miłości niż sobą, niż jednostką. Tak było w starej komedii: Kochanek to była miłość, instynkt, wdzięk życia, opromieniony tęczą krótkiej chwili pragnienia: miłość nieskazona żadnym kom-

promisem, żadną rachubą, wieczność żądzzy życia, przeciwstawiona zwycięsko małym porządkom świata. Mąż — często dla dekorum przedstawiony pod postacią „opiekuna”, iżby rzecz mogła się zakończyć moralnie — to była proza — obowiązek, przymus.

Kochanek był młody, piękny i szczodry, mąż stary, niechlujny i skąpy; kochanek pełen inwencji, gorliwy w dzień, czuwający w nocy, mąż senny, zgryźliwy i ślepy. Kochanek nazywał się Klitander czy Damis, nosił jedwabny płaszczyk, szapdkę i długie kędziory, a widzimy go zawsze w chwili, gdy oblega i zdobywa swoją Angelikę czy Rozynę. Z chwilą uwieńczenia pragnień — kurtyna zapada.

Ale nowoczesny teatr, wyrosły na realizmie życia, nie mógł się zadowolić tą konwencją. Przenosimy się z nim na grunt rzeczywistości: nie zaloty do nieokreślonej *lubej* stają się tematem, ale *romans z mężatką*, tak długo opromieniony poezją owocu zakazanego, marzenie każdego młodzieńca, symbol męskiej dojrzałości, jedyna niemal forma miłości, jaka w pewnej

epoce istniała w literaturze. Grzech, występki, szal! Poezja wiarołomstwa długo tłucze się po scenie.

Aż naraz niby świst bata — ostra, bezlito-
sna *Paryżanka* Becque'a. Pamiętacie tę pierw-
szą scenę *Paryżanki*? Kurtyna się podnosi: gwał-
towna scena małżeńska. Typowa scena: on za-
zdrośny, uprzykrzony, głupi, nudny; ona szczwa-
na, impertynencka, wzgardliwa: rzekłbyś scena
z *Grzegorza Dandin* Moliera. Naraz, w najbar-
dziej zaognionym momencie dyskusji, ona kła-
dzie palec na ustach: „Cicho! mąż!”. I wchodzi
ten trzeci — mąż! Ta kłócąca się, ta nielubią-
ca się para małżeńska to byli — kochankowie!
To bilans romansu; bilans poezji grzechu! Miał
on zapewne swój miodowy miesiąc, jak miewa
go małżeństwo. Ale co z niego zostaje? Ro-
mans staje się drugim małżeństwem, z tą róż-
nicą, że bez dzieci, bez wspólnych węzłów, da-
jących sens trwałemu związkowi, w zamian za
to z przymusem regularnych schadzek w try-
wialnie unormowanych odstępach! Czy może
być coś bardziej płaskiego niż ta miłość dwa ra-

zy na tydzień, o stałych godzinach? Jeżeli małżeństwo jest płaskie, ten mieszczański romans jest płaski do kwadratu, jest męczący, niewygodny, załgany! Przy nim małżeństwo staje się dla kobiety oazą, dom miejscem wytchnienia! Tak mówi komedia Becque'a

Powstaje szereg sztuk odsłaniających bezlitośnie mechanizm romansu. Żałosny obraz! Romans to, prędzej czy później, kajdany cięższe od małżeńskich i trudniejsze do zerwania. Małżeństwo po wygaśnięciu miłości ma jakiś sens, jakąś użyteczność, ale czym jest romans po wygaśnięciu miłości? A wszak to była forma społeczna niemal uświęcona. I były te stosunki — i jak często! — w których miłość od dawna wygasła z obu stron, a które trzymały się lata całe przez jakiś fałszywy wstyd, punkt honoru, niemoc, któż wie co zresztą!

Wszystko bez mała było łgarstwem w tym stosunku opartym na podziale, poniżającym, wyzutym z godności. Miał on zemstę w samym sobie: musiał strywializować kobietę. Dysproporcja między frazesem a rzeczywistością, mię-

dzy egzaltacją słów a rutyną treści, musiała stać się nie do wytrzymania.

Ofensywa na kochanka postępuje dalej. W grotesce *Dardamelle* czyli *Rogacz* autor nie bierze go nawet w rachubę, nie daje mu żadnej fizjonomii: to jakiś wykładnik psycho-fizjologicznych potrzeb kobiety... W *Śmierci kochanków* Chiarellego obnażone jest zakłamanie dwojga ludzi, pustka form wielkiej namiętności, usurpowanych dla lada tandetnej miłości. Coraz częściej w „trójkącie małżeńskim” komiczną figurą jest kochanek. Co najmniej zmiana stylu staje się rzeczą konieczną. *Śmierć kochanków* godzi w śmieszność dawnego stylu, w którym przez brak talentu i oryginalności grzęzną kochankowie.

Niemało zawiniła tu literatura. A właściwie winy były wzajemne. Kochankowie obelgiwali literaturę, a literatura kochanków. Aż naraz uczyniono to wielkie odkrycie, że jeżeli małżeństwo ma niewiele wspólnego z Miłością, romans ma go jeszcze mniej! A koszta te-

go odkrycia zapłacił kochanek, bo kobieta zawsze się jakoś wykupi ze sprawy. Ona wyszła od biedy z wdziękiem, on wyszedł na błazna. O ile w dawnym teatrze mąż miał nieodmiennie głupią minę przy kochanku, o tyle w nowym coraz głupszą zaczyna mieć kochanek przy mężu. A i kobieta zaczyna się orientować, że ta miłość, jaką budzi, i rola, jaką odgrywa, nie jest tak bardzo zaszczytna...

W *Grze* wreszcie Pirandella mąż przygwaźdza romans włoskim sztyletem: staje się ironicznym obserwatorem, odzierając ten romans z tajemnicy, z poezji. Trywializując go, zadaje śmiertelny cios kochankowi, zanim go pošle na śmierć jako człowieka. Widzimy biednego Klitandra czy Damisa takim może, jakim był zawsze: pustym, głupim, lichym. Cały swój wdzięk czerpał w kontraście tyrana: z chwilą gdy nie ma tyrana, nie ma i kochanka.

Czuć to w tej świetnej *Grze* Pirandella, w stosunku Sylii do Leona. Czym jest dla niej ten mąż, czy go kocha, czy go nienawidzi — nie wiemy. Co do tamtego drugiego natomiast —

nie mamy żadnej wątpliwości: jest dla niej niczym. To tylko... kochanek. To słowo tak chlubne, tak pełne poezji niegdyś, stało się wyrazem podrzędnej profesji, jakiegoś „dochodzącego” funkcjonariusza miłości, coś w rodzaju felczera, który przychodzi stawiać bańki.

Wszystko to to są nowe i godne uwagi symptomy na drodze szczerego i godniejszego spojrzenia na życie. Faktem jest, że Kochanek ma w ostatnich czasach bardzo „złą prasę” i ten objaw, tak pocieszający dla moralności publicznej, godziło się zanotować.

Tak jest w literaturze, w teatrze. A w życiu? To znów co innego. Czy o nim piszą tak czy inaczej, źle czy dobrze, zapewne kochanek będzie nadal kwitnął w życiu, bo łatwiej go ośmieszać i obrzydzać, niż wymyślić na jego miejsce coś nowego. Ale jedno zbankrutowało niewątpliwie, to poezja dawnego klasycznego *romansu*. Może życie stało się lekkomyślniejsze, płochsze; „igraszki trafu i miłości” święcą w nim swoje tryumfy bardziej niż kiedykolwiek. Ludzie łatwiej biorą się, rzucają, przy czym zuży-

wa się mniej wielkich słów. Miłostka kwitnie śmieiej, zuchwałej. Ale niewątpliwie rzadszym niż dawniej stało się owo latami trwające publiczne oszukaństwo na zimno, znudzone samo sobą, to biuro miłości skrzepłej i gnuśnej, ten klasyczny *Kochanek* w dawnym stylu, który potrafił spiętrzyć wszystkie śmieszności samca, biurokraty i męża!

1924

O DON JUANIE

Minęły już przedstawienia *Don Juana* Zorolli, dlatego bez obawy zaszkodzenia temu pięknemu widowisku, można powiedzieć, że kobieta, która, znęcona tytułem, poszła je oglądać, doznała zawodu. Don Juan! Wyznaj, śliczna pani, iż kiedy słyszysz to imię, jakiś luby a niepokojący dreszcz przebiega ci po ciele, wnętrzności twoje pulsują, ciepły baryton wnika do dna duszy kuszącą serenadą, usta twoje szepczą miękko „nie”, a całe ciało twoje powtarza „tak”

w rytm leciutkiego menueta. O jakże daleko byliśmy w teatrze od tego wszystkiego! Sere-
nady? Słodkie słówka? Aha, właśnie! Brudna
szynkownia, brzęk kieliszków, kobieta jako przed-
miot plugawych zakładów! Jesteśmy zresztą na-
ocznymi świadkami jednego podboju Don Ju-
ana, widzimy go przy robocie. Założył się, że
uwiedzie przeciwnikowi narzeczoną i to w wilię
ślubu: zadanie godne zaiste wielkiego uwodzi-
ciela. Ale oto jak się to odbywa. Przede wszyst-
kim denuncjuje rywala przed policją, aby go
unieruchomić w więzieniu; następnie przeku-
puje duennę²⁶, zakrada się do mieszkania i tam
po ciemku, udając swego rywala, dostaje się
w objęcia panny. Cóż za chamstwo, prawda?
Tego typu są wszystkie jego czyny. *Robi ko-*
biety tak jak karambole i tyle troszczy się o bi-
cie ich serca, co bilardzista o leciutkie drze-
nie duszyczek z kości słoniowej, mieszkających
zapewne w każdej takiej białej kulce. A kiedy
wreszcie spływa na niego Łaska miłości, koniec
Don Juana; pierzcha jego zuchwalstwo, zaczy-

²⁶*duenna* — przyzwoitka. [przypis edytorski]

na mówić o czystości, o pięknie duszy, gotów jest uszanować swą lubą... To wszystko to nie to, o czym marzycie, prawda?

Czyżby narodowy poeta Hiszpanii sfalszował legendę? Przeciwnie, oddał ją aż nadto wiernie; jedynie może uszlachetnił ją romantycznie: bo Don Juan z autentycznej legendy jest z kobietami bardziej konsekwentnym chamem. Zawód nasz, rozczarowanie, wynikają stąd, że ów Don Juan z dawnego mitu zgoła nie był tym, czym go z biegiem lat później uczyniono; owym arcytypem kochanka, ba „kobieciarza”, którego imię stało się dziś potocznym godłem. Dawny Don Juan to junak, rębacz, to wcielenie buty, pychy, to nabój szalonej, nieokiełzanej energii, idącej we wszystkim do ostatnich krańców, do zbrodni, do bluźnierstwa. Hazard to jego żywioł, w którym żyje jak salamandra w ogniu. To, że obok gry, wojny, pojedynków, butelki i kobieta musiała się znaleźć w litanii jego pięknych czynów, to naturalne; po pierwsze jest młody i jurny, po wtóre czyż może być efektowniejszy cel turnieju junactwa? Ale ko-

bieta ta jest zwłaszcza czymś, czego ktoś broni, co trzeba komuś odebrać, punktem znaczącym, wygraną, lewą w kartach.

Później z wolna się to przemienia. Jak, dużo by o tym mówić. Ewolucja Don Juana jest jednym z najciekawszych zjawisk literatury: byłoby to piękne studium do napisania, oczywiście nie dla profesora. Jak daleko posunęła się ta ewolucja, świadczy fakt, że w ostatniej swej wersji (Lenormand) Don Juan stał się mężczyzną o nieświadomym pędzie homoseksualnym, który, przez tragiczną omyłkę płci, szuka — oczywiście nadaremnie — zaspokojenia w kobiecie: stąd jego niestałość... Cytuję to raczej dla osobliwości, na marginesie, mimo że ma to swój sens. Ale główna, zasadnicza różnica jest ta, iż Don Juan stał się z biegiem czasu symbolem na wskroś erotycznym, czym w pierwotnej swej postaci nie był. *Bluźnierstwo*, oto w dawnej legendzie główny motyw jego winy i kary, oto co w pobożnej Hiszpanii dawało osobliwą grozę jego losom. Osią tej legendy jest dramat *świętokradcy*, nie uwodziciela; nawet u Zorilli

rywal Don Juana, don Louis, wcale nie gorszy łotrzyk od niego, potraktowany jest z dobroliwym pobłażaniem. O te damskie sprawy nie robiono by tyle hałasu!

Odbywająca się stopniowo przemiana symbolu jest poniekąd owocem rosnącego pacyfizmu społeczeństw. W miarę jak układ społeczny staje się bardziej praworządny, nadmiar indywidualizmu zmienia koryto. Już za Ludwika XIV junak dawnego typu uchodziłby za bandytę. Furia temperamentu, męska ambicja czy próżność zaczynają bardziej szukać ujścia w kobiecie: coraz bardziej z akcesorium staje się ona celem. I metody jej zdobywania muszą się przystosowywać do nowoczesnych warunków. W epoce, gdy kobieta była strzeżona jak rzecz, stawiała się własnością tego, kto był dość śmiały, aby po nią sięgnąć. Nie miała wyboru. Nowy Don Juan musi się bardziej liczyć z jej wolą, trafić do jej chęci, zwłaszcza, iż w miarę zmniejszania się niebezpieczeństw rzemiosła, coraz więcej spotyka się z „konkurencją”.

Bo z drugiej strony, pacyfizm rozszerza kadry Don Juanów. W epoce, gdy kobiet strzeżły żelazne kraty i wrzeczadze, zbrojne pacholki i straszna zemsta zazdrosnego męża lub srogiego ojca, kariera uwodziciela nie wszystkim była dostępna. Trzeba było być urodzonym zabijaką, aby się puszczać na tak drogie kupowanie wątpliwego szczęścia; a typ zabijaki zawsze pono był dość odległy od owego typu „artysty na kobiecie”, jak dziś chcemy widzieć w Don Juanie. Podejrzewam, że prawdziwy amator kobiet, który chciał sycić swoje marzenia, nie narażając co chwila głowy i nie dokazując owych heroicznych cudów waleczności, krył swe gorące serce nieraz raczej pod sukienką duchowną niż pod zbroją... Z dwóch nieśmiertelnych typów Moliера, bodaj że Tartufe wydaje mi się większym kobieciarzem niż Don Juan, a jego zmysłowe, szelmowskie, dewocją ciała przesycone oświadczyzny złożone Elmirze, podobniejsze są do stylu dzisiejszego uwodzicielstwa niż zimny i zuchwały styl molierowskiego Don Juana. Otóż w miarę jak kariera — że tak powiem

— Don Juana stawiała się nie tak niebezpieczną — stawiała się tym samym dostępną znacznie szerszemu kręgowi mężczyzn: obok osiłków i rębaczy wychyliły głowę różne typy, i ludzie z sercem, i ludzie z mózgiem, i ludzie z wyobraźnią... Znaleźli się i ci, dla których kobieta jest nie tylko bramką do wzięcia na footbalu junactwa, ale jest całym światem, przedmiotem wyłącznego zainteresowania, ich pasją. Z jednej strony tedy ewolucja samego typu, z drugiej rozszerzenie kadr stwarzają *nowego Don Juana*.

Mimo to (pisałem to przed laty z okazji *Don Juana Rittnera*) problem donjuanizmu jest wciąż w gruncie dość złożony. Można by rzec, że istnieją wyjątkowe organizacje, w których odczuwanie kobiety wybujowało tak, jak np. sensacje kolorów u malarza lub tonów u muzyka. Ale jest tu pewna zasadnicza różnica. Muzyk, malarz, noszą swój świat wrażeń we własnej duszy i panują w nim do woli. Artysta na kobiecości natomiast zależny jest od *instrumentu*, którym jest kobieta: musi (o tyle o ile

przynajmniej) uzyskać zgodę swojego Stradivarius, nim go dobędzie z puzdra i ujmie natchnioną dłonią. Otóż tutaj rzecz się komplikuje: obok warunków psychicznych występuje kwestia warunków fizycznych. Dusza płomienista, oddychająca miłością kobiety, ba, wszystkich kobiet, zdolna je pojąć, zdolna spalić je swym żarem, oddająca im wszystkie włókna swego czucia, może być zamknięta w niewydarzonym ciele; może się kojarzyć z chorobliwą nieśmiałością. Przykłady: Rousseau, autor *Nowej Heloizy*, Stendhal, autor traktatu *O miłości*. Z drugiej strony, w każdym salonie widzimy ładnych i tęgich chłopców, którym kobiety gromadnie idą w ręce (tzn. pozwalają się uwodzić) i którzy liczą na tuziny swoje zdobycze, mimo że w gruncie rzeczy ani ich kobieta zbyt nie interesowała, ani nie mają o niej wiele pojęcia. Ta ironiczna rozbieżność uzdolnień jest może przyczyną, że kobiety są na ogół tak mało zadowolone z mężczyzn.

Ale wszak musi się zdarzyć od czasu do czasu, iż przymioty ciała, duszy i serca skoja-

rzą się w osobie jednego człowieka? Zapewne; ale ten rzadki feniks gotów mieć może to dziwactwo, iż będzie widział więcej szczęścia w ramionach jednej kobiety, którą kocha, niż w trudach upędzania się za stoma innymi, których nie kocha: i to zatem nie byłby Don Juan! Don Juan tedy, klasyczny Don Juan, ta postać niemal mityczna, musi stanowić skojarzenie osobliwych warunków. Obok elementarnych przymiotów bujnego kochanka jest w nim coś z artysty, a coś ze sportsmena. Mówi o kobiecie jak poeta, a poluje na nią jak na dzika; z kaprysem fantasty łączy pedantyzm zbieracza! Z ciekawością amatora oschłość zawodowca. Zadaje sobie nieskończenie wiele trudu, aby kobietę zdobyć, ale nie korzysta z tej zdobyczy; nie ma czasu poić się wonią kwiatu, który rozwinął z pączka: trzeba mu iść dalej, wciąż dalej! W rezultacie, kosztuje może z kobiety tylko tego, co w niej najbanalniejsze i najmniej osobiste; przechodząc, sieje ziarno miłości, które zbierać będą inni, mniej świetni, ale mniej spieszący się od niego. Jest instytucją

użyteczności publicznej. I dlatego słuszną jest owa tkliwość kobiet, jaka towarzyszy mu aż do schyłku życia: powinny by się wszystkie znaleźć na jego pogrzebie, niosąc wieńce z napisami: *Niestrudzonemu...*, *Zasłużonemu...* Drugie tyle wieńców powinien by otrzymać od swoich następców w sercu tych kobiet.

Porównałem Don Juana do wielkiego artysty; ale czyż nie można by go porównać także do wielkiego wodza, polityka, do wielkiego inżyniera? I tu ujawnia się pewien tragizm tej postaci; jej specyficzny rys, na który nikt, zdaje mi się, dotąd nie zwrócił uwagi. Wszędzie, gdzie czyn wznosi się na wyżyny geniuszu, staje się już sprawą ducha, który tworzy śmiałe plany, obmyśla je, ożywia swym wewnętrznym ogniem, sama zaś materialna realizacja szczegółów zdana jest pomocniczym rękóm. Napoleon sam nie nabijał armat, genialny inżynier sam nie obciosuje kamieni, wielki dyplomata nie kopiuje aktów.

Otóż on, Don Juan, musi robić wszystko osobiście: jakże to ścieśnia sferę jego działań!

Cała ekonomia talentu, geniuszu polega wszak na tym, aby go zużyć do tego, co potrafi *tylko on sam*, a zwolnić od reszty, gdy tymczasem każdy podbój Don Juana zaczyna się od wysokiego arcyzmu, a kończy na tym, co w rezultacie mógłby robić każdy!

Gdybyż tylko to! Ale oto spójrzmy dalej: sędziwy wódz może odnosić zwycięstwa na polu bitwy, mimo że ręka jego nie udźwignęłaby miecza; wielki uczony patrzy, jak dzieło jego prowadzą dalej uczniowie. Sztuki Don Juana przekazać się nie da; tragiczną zaś igraszką losu, im bardziej rośnie jego kapitał wiedzy, doświadczenia, arcyzmu, subtelności, tym bardziej wątleje siła ich realizacji; i przychodzi moment, w którym ten wielki człowiek może sobie powiedzieć już za życia: *Qualis artifex pereo*²⁷!

1925

²⁷ *Qualis artifex pereo* — jakież artysta ginie w mej osobie (miały to być ostatnie przed śmiercią słowa Nerona). [przypis edytorski]

MIŁOŚĆ I PRZYJAŻŃ

Mimo że od kilku lat pełnię funkcję recenzenta teatralnego, czuję się w teatrze bardziej widzem niż krytykiem. Teatr jest wciąż dla mnie tą latarnią magiczną, która rzuca na ekran projekcje ludzkiej duszy, ludzkiej doli: i wyznaję, iż te obrazy interesują mnie więcej niż system samej latarki, jej mechanizm... Zawsze wychodzę z teatru zamyślony nad życiem, rzadziej nad teatrem.

Grano na jednej z naszych scen sztukę (*Pan swego serca*), której treścią jest konflikt między miłością a przyjaźnią. Przyjaźń! To słowo, które raz po raz pada tam ze sceny, zabrzmiało mi jakoś fałszywie; i kiedy rzuciłem tym słowem o biurko niby sztuką monety dla spróbowania dźwięku, wydało dźwięk pusty.

Przyjaźń jest, można powiedzieć, uczuciem szczątkowym. Bywają takie szczątkowe pozostałości jak w organizmach, tak w uczuciach.

Ojciec chrzestny to był wszak niegdyś ważny tytuł, połączony z realnymi zobowiązaniami; słowa: *stryj*, *wuj* ileż straciły ze swego sensu, odkąd sukcesja przestała być główną podstawą dobrobytu. Najdalsze powinowactwa miały swoje nazwy i swoje znaczenie, którego dziś nie odzyskują nawet w epoce strucli świątecznych.

Podobnej dewaluacji uległo słowo i pojęcie *przyjaciel*. Od niepamiętnych czasów odgrywał on w ustroju społecznym ogromną rolę. Był to człowiek, na którym budowało się w każdej potrzebie, oczywiście z prawem wzajemności. Jemu zawierzało się ważne depozyty, jemu oddawało się pod opiekę żonę, wyjeżdżając w niebezpieczną podróż: on starał się o pieniądze na wykup, kiedy się człowiek dostał do niewoli. Jego dom, jego szabla, sakiewka to były rzeczy, na które się liczyło niezawodnie; toteż jak ważną rzeczą był wybór przyjaciela, jak się hodowało dobrą przyjaźń! Ileż traktatów napisali w tym przedmiocie dawni mowaliści!

Później zmieniło się to znacznie. Rozproszkowanie, a zarazem postępujące zorganizowa-

nie społeczeństwa, tak jak zjadło rodzinę, tak samo zjadło poniekąd i przyjaźń w tym antycznym pojęciu. Uczyniło ją mniej nieodzowną. Poszczególne funkcje przyjaźni zostały zautomatyzowane, objęły je instytucje. Depozyt chowa się w *safie*, ważny list przesyła się pocztą za recepisem, do odebrania przesyłki służy dowód osobisty, a nie pierścień. Poza tym rolę przyjaźni objęła luźna kamaraderia zawodowa lub towarzyska, oraz to tak nieokreślone, a tak wiele mówiące słowo: „stosunki”. Słowo *przyjaciel* stało się czymś wstydlivym, może przez na wpół świadome poczucie kontrastu między pierwotnym znaczeniem tego słowa a jego dzisiejszą treścią. „Mój przyjacielu” stało się zwrotem lekceważąco obojętnym, niemal tak, jak: „mój człowieku”. Tak to dewaluują się słowa, uczucia...

Gdy tak z jednej strony słowo i pojęcie *przyjaźni* traci na treści, z drugiej strony barwi się ono dla sceptycznej i niestrudzenie dociekającej nowoczesnej analizy nowymi odcieniami. Mężczyzna, kobieta, miłość, płęć jakże rozsze-

rzyły się te pojęcia dla nas, którzyśmy przeszli Weiningera, Freuda, Gide'a, Prousta... Niemal już ścisłym pewnikiem psychologicznym jest fakt, że zróżniczkowanie płciowe duszy niekoniecznie idzie równym krokiem ze zróżniczkowaniem organów ciała. Nie posuwając się aż do chorobliwego wężenia w każdej męskiej sympatii zbrodniczych symptomów, inaczej wszakże już patrzymy na te sprawy. Rozkładamy rzeczy proste, kojarzymy rzeczy na pozór odległe. Dawne formułki nie wystarczają nam, słowa zwietrzały, stężałe pojęcia rozlały się w kapryśną falę stanów duszy. Pod skorupą naszej ubogiej świadomości tętni rytm podświadomej tajemnicy. Cała niemal psychologia przebudowuje się od podstaw.

I dlatego, mimo iż Raynal w swoim „dramacie przyjaźni” nie daje temu uczuciu innego znaczenia niż banalne i utarte, mimo woli czytamy tam między wierszami inny, nienapisany dramat. Wówczas dopiero utwór ten nabiera kolorów życia. Ze sfery dialektyki obowiązków, dramat ten przenosi się w sferę ta-

jemnic płci, w owe graniczne strefy mętnych i nieświadomych siebie uczuć.

Czy on jest tak bardzo panem swego serca, ten Henryk, urodziwy mężczyzna budzący żywe sympatie w kobietach i drażniący je swoją obcością, sam zaś skupiający wszystkie siły swego serca w przyjaźni męskiej? Ta jego przyjaźń do Jana nie ma żadnych motywów, które by ją tłumaczyły socjalnie: jest to przyjaźń oparta na samorodnym pociągu, pełna owej delikatnej czujności, tkliwości, jakie znamionują miłość. Ma kochankę; chciałby ją kochać, ale nie umie... I pierwszą kobietą, dla której zbudzi się czucie tego wyfraczonego sfinksa, będzie ta, którą pokocha jego przyjaciel, o której mówił mu przed chwilą z płomiennym zapalem. Czemu ona właśnie? Czemu pod jej spojrzeniem drgnęło serce Henryka? Może w nieświadomym marzeniu usta jego spotykają na jej ustach gorące wargi przyjaciela... I rozegra się pojedynek między rodzącą się miłością a wierną mimo tej niewierności przyjaźnią; i przyjaźń zwycięży. Henryk widział przyjaciela w rozpa-

czy: pojmuje, że przyczyną odmiany, która przywiodła jego Jana do tego stanu, jest nagła, nieodparta miłość tej kobiety do niego, Henryka. Co począć? Zdradzić przyjaźń czy uciec, czy ostrzec przyjaciela? Żadne z tych zbyt męskich rozwiązań nie przyjdzie na myśl Henrykowi: on pójdzie po linii zgodnej z jego dwoistą naturą, z nieświadomie erotycznym podłożem tej przyjaźni... Staje się stręczycielem tej, którą sam kocha; w tak wzruszających słowach maluje jej miłość i cierpienie przyjaciela, z takim żarem namiętności sili się ją pchnąć w jego ramiona, aż i ją zarazi swoją frenezją poświęcenia: ona, „normalna” kobieta, ulega fascynacji tego *kompleksu* i godzi się zamknąć niejako ów niezdrowy trójkąt. A kiedy w końcu zbyt naprężona sytuacja pęka, kiedy kobieta buntuje się przeciw narzuconej roli i biegnie po linii prostego swego instynktu w ramiona Henryka, Jan zaś w ich oczach strzałem z rewolweru odbiera sobie życie, Henryk namiętnym ruchem rzuca się na jego ciało, z krzykiem: „Ja ciebie nie zdradziłem”. Biedny „pan swego ser-

ca”! Może dopiero w tej chwili zrozumiał to swoje serce, którego tak mało był panem!

Cały ten dramat psychicznego „obojnactwa” napisany jest mimo woli, bezwiednie. I to właśnie jest najciekawsze, że młody autor, przeciwnie, ma swego bohatera za pełnego mężczyznę, ba, za wcielenie męskości, za człowieka ze stali. Wierzy po prostu w przyjaźń. Tego rodzaju nieporozumienia, takie samoistne życie postaci, splot ich istotnych pobudek, niezależny od woli i wiedzy autora, to jedno z bardzo znamiennych i nierzadkich zjawisk w literaturze. We wspomnieniu świeżo poświęconym pamięci Conrada francuski pisarz Lenormand (autor granej u nas sztuki *Samum* i paru „freudowskich” dramatów) przytacza swoją z nim rozmowę, w której zagadnął pisarza, czy szaleństwo Almayera w głośnej jego powieści pod takimże tytułem nie ma źródła w nieświadomej jego miłości do córki, miłości kazirodziej w swojej istocie, a przyczajonej poza miłością ojcowską? Conrad zaprzeczył żywo; kiedy jednak Lenormand punkt po punkcie za-

czął analizować utwór i wydobywać przekonujące momenty, Conrad zamilkł, widocznie zakłopotany, po czym odwrócił rozmowę.

Intencje sztuki Raynala są tedy inne niż to, cośmy poza nimi wyczytali. I rzecz dziwna: właśnie dlatego, że to wszystko pojmowane jest w niewinności ducha, sprawia na nas wrażenie cokolwiek nieprzyzwoite. Przyczynia się do tego i obsada. Kiedy kruczowłose efeb pan Leszczyński tuli w swych kształtnych ramionach jasnowłosego efeba pana Węgierkę, wyznaję, iż doznawałem uczucia dziwnego zażenowania. Być może, iż gdyby ten utwór był dziełem śmiałej analizy, zapuszczającej się w obce dotąd teatrowi tajniki ludzkiej duszy, gdyby świadomie ważył się na ujęcie tych stref granicznych płci i uczuć, wówczas może intencja artysty i myśliciela oczyściłaby go siłą swej powagi z tych drażliwości, które tu rodzi mimo woli rezonująca czułościowość.

Czy strefy te staną się kiedy dostępne dla teatru? Wątpię. W teatrze, gdzie zbiorowa dusza stwarza normalną „przeciętną”, gdzie wsty-

dliwość tej zbiorowej duszy jest czulsza, drażliwsza niż wstydlliwość pojedynczego widza, zostaniemy prawdopodobnie raczej przy zdecydowanie rozgraniczonych *M* i *W*, że posłużę się terminologią Weiningera. Subtelniejsza i ściślejsza analiza tych tak zajmujących pasów granicznych zostanie raczej dziedziną powieści.

Tyle jest pewne, że badanie duszy ludzkiej wchodzi w nową fazę. Nowe kompleksy pojęć wciskają się, jak widzimy, w powieść, na scenę, nawet bez wiedzy autora. Tam, gdzie wszystko zdawało się już dobrze znane, wszystko staje się znów nowe, ciemne; tajemnica odzyskuje swoje władztwo nad człowiekiem. Cóż za szczęśliwa „koniunktura” dla poezji, dla literatury!

1925

TEATR CZYSTY I NIECZYSTY

Istnieje spory odłam teatru, który można by nazwać *teatrem miłości*. Wielu lekceważy ten teatr, przeciwstawiając mu powagę *wielkiego te-*

atru, który — powiadają — urodził się z *misteriów*. Ale można by mniemać, że i tamten urodził się z misteriów: ze starożytnych misteriów Afrodyty. Tym samym ma widoki, że będzie istniał wiecznie.

Cała rzecz w tym, że teatr ów przybrał w naszej epoce pewien specjalny charakter. Stał się przeważnie teatrem *wiarołomstwa*. I to jest dla ludzi biorących serio nawet teatr przykre; przykrą im jest ta atmosfera kłamstwa, poniżenia, igrania z ładem społecznym, ta obraza pewnej schludności moralnej i fizycznej. Śmiech czy wzruszenie zostawiają tu osad niesmaku.

Faktem jest, że ilekroć ktoś napisze sztukę posiadającą wiecznotrwałe powaby *teatru miłości*, a *czystą*, tj. nie obrażającą żadnego z tych poczuć, publiczność wita ją z uczuciem ulgi i radości.

Świeży przykład: *Świt, dzień i noc* Nicodemiego.

Bardzo łatwo można by zmienić tę sztukę tak, że młoda panna byłaby mężatką, a obok, za

kulisami zamiast rodziców spałby leciwy mąż. I wówczas cały urok sztuki by prysnął. Ale znowuż wystarczyłoby wyprowadzić rodziców na scenę, a urok prysnąłby również. Autor stworzył tu sytuację niezmiernie zręczną: umiał jej dać pozory niebezpieczeństwa, zakazanego owocu, utkać z pajęczych nici zapory, przeszkody, których pokonywanie będzie zawsze treścią misteriów Wenery.

To, co Nicodemi uzyskał wyjątkową sytuacją, to osiągał teatr klasyczny — obowiązkowo skazany na czystość — *konwencją* sceniczną. Typowym przykładem może być *Szkola mężów* Moliera. Zazdrośnik i zrzęda tyranizuje młodą kobietę, która rozwija cały geniusz zuchwalstwa, kłamstwa i obłudy, aby mimo wszystkich przeszkód znaleźć się z końcem sztuki w objęciach młodego wielbiciela. Zatem zdrada małżeńska? Uchowaj Boże! Sganarel jest tylko *opiekunem* Izabeli, jej przyszłym mężem z woli testamentu ojca; podstępny, jakich ona i jej luby używają, aby wywieść w pole tyrana, mają na celu godziwe intencje: małżeństwo. Tak więc

sztukę można rozumieć podwójnie: w pierwszym rozumieniu, małżeńskim, byłaby drastyczna, nawet brutalna; w drugim niewinna jak jagniątko. Bierzcie, jak chcecie, zdaje się mówić autor.

Ta konwencja czystości teatru trwa długo, w rozbieżności zresztą z czystością obyczajów. Wyuzdana Regencja wydała najniewinniejszy teatr: Marivaux. I to jest dość zrozumiałe. W epoce, gdy nasycenie zmysłów było tak łatwe, iż pragnienie zaledwie miało czas się narodzić, lubiano bodaj na scenie rozkoszować się owymi powolnymi i delikatnymi ścieżkami, jakimi tam chodzi miłość.

Nie narusza tej konwencji tak rewolucyjny poza tym teatr Baumarchais'go. Jego Rozyna w *Cyruliku Sewilskim* jest pupilką Bartola, tak samo jak Izabela w *Szkole mężów*; dzięki temu może połączyć chytryści, powaby i wzruszenia kobiety z urokiem dziewiczości. A któraż kobieta nie pragnęłaby połączyć tych rzeczy?

Nie jestem na tyle erudyta, aby ściśle oznaczyć etapy, którymi „kochanek”, w dzisiejszym

znaczeniu słowa (dawniej było ono synonimem „zakochanego”), wkroczył zwycięsko do nowoczesnego teatru. Tyle wiem, że tak niewinny dziś *Świecznik* Musseta cofnięto w swoim czasie ze sceny i że autor musiał zmienić w nim zakończenie, będące tryumfem nieletniego kochanka. Zauważę tu, iż Musset, wiedziony instynktem poety, kazał młodemu Fortuniowi kupić swoje szczęście niebezpieczeństwem życia. I długi czas teatr starał się opróżnić wiarygodność aureolą niebezpieczeństwa (pojedynek, głoszone prawo męża do zabicia występnych etc.), aż wreszcie, w miarę rosnącego mieszczańskiego pacyfizmu, konwencja ta zwiędła.

Sądzę, iż *kochanek* rozgościł się na scenie na dobre pod wpływem owego realizmu, który kazał szukać w literaturze wiernego obrazu życia. Z chwilą gdy w ten sposób spojrzano na teatr, musiano dojrzeć, iż (zwłaszcza we Francji, gdzie wychowanie dawało pannom bardzo mało samodzielności, a małżeństwo było prze-

ważnie kombinacją rodzinno-majątkową) kapłanką miłości jest nie panna, ale ta, której miłość, kradziona, tajemnicza, wolna (rzekomo) od obcych elementów, zawiera wszystkie pokusy, wszystkie uroki — miłość mężatki. W ten sposób powstał ów nowoczesny teatr miłości, który moralista nazwałby teatrem cudzołóstwa.

Teatr ten w pierwszej fazie musiał działać upajająco. Dawał namiętności akcenty bezpośrednie, nie symboliczne, nie wymagające transpozycji. Stworzył poezję „upadku”; pozwolił przeciętnym miłośnikom przybierać wielkie pozy i mizdrzyć się w zwierciadle sceny.

Lekka komedia, krotchwila, skorzystała z tej zdobyczy, pokazując w ciągłych wariantach, już bez osłonek konwencji, ów klasyczny „trójkąt”: mąż, żona, kochanek. Zaznaczamy, iż we Francji, ojczyźnie tego teatru, nadal biorą go raczej konwencjonalnie. Że wieczny Sganarel z opiekuna stał się mężem, to w gruncie zmiana jedynie formalna.

Tak było do ostatniej pory; ale oto jesteśmy świadkami pewnych ciekawych sympto-

mów. Wszyscy znają komedię Verneuil'a, graną u nas pod tytułem *Musisz być moją*. Mamy tu ów trójkąt jakby z podręcznika geometrii. Młody człowiek zabiega się przez trzy akty o względy mężatki i zdobywa je w końcu sztuki ku powszechnemu zadowoleniu. Otóż sztukę tę, zapewne w odpowiedniej modyfikacji, grają we Włoszech pod tytułem: „*Signora, io voglio vi sposare*” — „Pani, ja chcę się z panią ożenić”...

Małe przesunięcie: On pragnie Jej, ale jako żony. Drobnie słówko, a ratuje moralność i czystość utworu. Mamy tu zatem zwrot do *konwencji* pod inną postacią. Bo oto wyłoniło się zjawisko społeczne, które wprowadza nowy układ elementów, zarówno w życie, jak i na scenę. Zjawiskiem tym — *rozwód*.

W porze, gdy rodzi się „burżuazyjny” *teatr miłości*, rozwód prawie nie istniał; był niedostępny, wyjątkowy. To wytwarzało dla dwojga osób, które się kochały, konieczność oszukiwania: nikt nie kwestionował miłości, która nie łamała tej zapory. Dziś rozwód jest rzeczą

dość potoczną, tym samym kobieta zamężna jest dziś poniekąd zawsze osobą na wydaniu: nie ma dawnej zasadniczej różnicy między panną a mężatką. Mężczyzna może się do niej zbliżyć w „uczciwych zamiarach”. Przykład: znana komedyjka Saszy Guitry *Zdobycie twierdzy*. Rozkochany mężczyzna od pierwszej chwili oświadcza mężatce: „Nie chcę cię mieć kochanką, chcę cię mieć żoną”. I oto okrężną drogą mamy powrót do teatru *czystego*. Zyskaliśmy nową konwencję; można ją brać dosłownie lub nie, tak samo jak owo małżeństwo Walerego z Izabelą w *Szkole mężów*. I zalety tej nowej konwencji są widoczne; o ileż sympatyczniejszą i bogatszą w efekty, nawet w „pieprzyki”, staje się ta sztuka, niż gdyby po prostu i banalnie kochankowie oszukali męża!

Drugi rys teatru ostatniej doby to zmiana stanowiska *panny*. Wedle wczorajszej jeszcze obyczajowości, panna to był dom, rodzice, posag, małżeństwo, wyprawa etc. Jakoż, odkąd teatr poniechał dawnych konwencji, a nastroił scenę na ton prawdy życia, panna niezbyt

nadawała się na heroinę *teatru miłości*. Zwłaszcza w komedii. Miłość panny, posunięta poza granice platonizmu, musiała wydać dramat. Dodajmy, iż o ile mężatki mogły sobie pozwalać na szerokie licencje, najmniejszy błąd panny był na scenie natychmiast pobłogosławiony owocem ze wszystkimi jego katastrofami. Typowym przykładem teatru tej „wczorajszej” panny jest *Szczęście Frania*, tak odległe już obyczajowo, mimo że pisane tak niedawno.

Cóż za przepaść dzieli te pojęcia od naszych czasów, z ich falangą młodych panien samodzielnych, swobodnych, śmiało patrzących w życie i nie tak trusiowato bezbronnych! Oto nowe heroiny teatru, wpadające na scenę już bez dawnej mamy lub ciotki w czarnej mantylce, ale wesoło, szumnie, wprost z biura, dancingu lub schadzki. I jeżeli kiedy, to tu Fredro mógłby powiedzieć słowami Radosta: „Panna nie panna, któż wgląda tak ściśle...”. Bo nie chodzi tu o pannę, ale o „nową postać sceniczną w poszukiwaniu autora”: o kobietę, która może rozwinąć całą pełnię kobiecości, a nie

musi, jak we „wczorajszym” teatrze, być niewierną żoną.

Znamiennym wyrazem tego nowego układu stosunków wydaje mi się niedawno grana *Zabawa w miłość* Kiedrzyńskiego. Komedia ta jest dobrze uchwyconym odwetem scenicznym panny nad mężatką, która tak długo górowała nad nią pełnią życia, a obecnie, w porównaniu do niej, jakże wydaje się spętana! I jak zdepoetyzowana co więcej! Mężatka, żona niekochanego a bogatego męża, a zerkająca ku przystojnemu chłopcu, dawniej była klasycznym materiałem na szlachetną, „niezrozumianą” kobietę: jakże inaczej to wygląda w tym nowym oświetleniu! Nie zdradzi męża — jest nudna; zdradzi — jest płaska. Panna natomiast — nowoczesna panna — może mieć wdzięk i być interesująca. I w tej sztuce, gdzie występują dwie panny i jedna mężatka — dodajmy młoda i piękna — obie tamte mają dość ładne role; mężatka, ta tak niedawno jedyna możliwa heroina Teatru miłości, jest postacią komiczną. Bez mała jako

objaw przypomina mi to odwet plebejusza nad arystokratą w *Weselu Figara*.

Tak więc równocześnie z wyraźną tęsknotą za *oczyszczeniem* teatru, mamy obecnie nowe elementy, które mogą je sprowadzić. Panna strzeżona przez mamę, mężatka strzeżona przez cnotę i obowiązek były niezajmujące; ale współczesna *kobieta*, bez względu na jej stan cywilny, przeciwstawiająca mężczyźnie swoją wolę, swoje jasne spojrzenie na świat, szczerłość swego instynktu, swój kaprys wreszcie, jest nową bohaterką, która może ocalić teatr zarówno od mdłości, jak od brudu. I kto wie, może niedaleką jest epoka, gdy wiarołomstwo na scenie stanie się taką samą nieprzyzwoitością, jaką było za czasu Moliera?

1923

O LITERATURZE NIEMORALNEJ

Kiedy przed kilkunastu laty wydrukowałem tomik wierszy, jedno z „poważnych” pism gali-
cyjskich pisało o nim w te słowa:

„Literatura nasza zaczyna się coraz bar-
dziej zanieczyszczać utworami tak wstręt-
nymi, że wypadnie osobny dział w niej
otworzyć pt. „Utworów kloacznych”. Z lek-
kiej ręki pana Żeromskiego namnożyła się
już plejada pisarzy (...) etc.

(...) do niedawna wyrazów tych nie
widziało się drukowanych, chyba w słow-
nikach. We Francji — jeżeli się nie my-
limy — pierwszy Wiktor Hugo pozwo-
lił sobie na ich wprowadzenie do swoich
powieści; w Polsce pierwszy Wyspiański.
Ludziom brudnym, mającym dusze gmin-
ne, a serca zdeprawowane, ogromnie się
to podobało” etc. etc.

Artykuł ten, w którym ja, wówczas „pę-
tak” literatury, miałem zaszczyt znaleźć się na

ławie oskarżonych z dwoma naszymi największymi pisarzami, dowodzi:

że, jak to miałem sposobność zauważyć, jednym z zasadniczych atrybutów wszelkiej żywej literatury jest obrażać poczucia moralne swoich współobywateli;

że w akta procesu o niemoralność zawsze musi się zaplątać jakiś szelma Francuz; tym razem (nie wiem, czy zupełnie trafnie) Wiktor Hugo...

Bo przyczyny nieporozumień o moralność między nami a Francją tkwią bardzo głęboko; trzeba ich szukać w zasadniczo różnej koncepcji tych dwóch literatur. Literatura polska dla wielu przyczyn, o których za długo by mówić, miała zawsze ton wychowawczy, nauczycielski i pod tym kątem przyuczyła nas odnosić się do zjawisk. Dominujący natomiast ton literatury francuskiej jest inny; jest nim żądza *poznania*, ciekawość zgłębienia własnej istoty — człowieka — rozważanie rzeczy samej w sobie. Tam gdzie Polak moralizuje *a priori*, Francuz ogląda

ze wszystkich stron, docieka, rozważa, potrząsa sceptycznie głową...

Swojego czasu uderzył mnie pewien przykład o tyle ciekawy, iż zaczerpnięty z jednej epoki i z bardzo pokrewnego środowiska: mianowicie uwagi o pijaństwie dwóch szlachciców bawiących się piórem, Reja i Montaigne'a. Rej potępia pijaństwo bezwzględnie, po kaznodziej-sku; Montaigne zważa je pod rozmaitym ką-tem, u rozmaitych narodów, w jego dodatnich i ujemnych stronach, oceniając je zresztą po-błażliwie, z tą uwagą, że sam mu nie hołduje. Otóż jestem pewien, iż wypaliwszy swój mo-rał, dobry pan Rej urznął się z bracią szlachtą, aż mu się ze łba kurzyło i wytrzeźwiał aż na trzeci dzień; Montaigne zaś, że był delikatne-go zdrowia i wybredny w towarzystwie, skoń-czywszy dyktować swój rozdział, położył się do łóżka i czytał Plutarcha. A zaś nasz historyk li-teratury, zestawivszy te dwa ustępy, wyciągnie z nich bardzo poważne wnioski o najoczywist-szej wyższości moralnej Polaka nad Francuzem w odniesieniu do kwestii pijaństwa.

Z jednej strony tedy morał, z drugiej ciekawość poznania, bezinteresowne szukanie prawdy i szczerść w jej wyrazie. Otóż uczono mnie w szkole, iż dążenie do *poznania* siebie jest najpotężniejszym elementem moralnym. „Cnota to wiedza” Sokratesowe, „Znaj siebie samego”, ów podstawowy aksjomat starożytnej wyroczni, czyż nie tę właśnie prawdę mają na myśli? Czyż nie ten cel ma *rachunek sumienia* i konfesjonał, który dla naszych przodków był jedynym seminarium autopsychologii? To bezwzględne obnażenie swej istoty aż do najbardziej utajonych drgnień myśli; to kontrolowanie pobudek każdego czynu, wyłapywanie ułomnej natury ludzkiej na każdym oszustwie i każdym omamieniu, to wszystko Polak uprawia chyba tylko przy konfesjonale, bo w życiu obelguje się bez opamiętania. A to właśnie jest treścią całej prawie literatury francuskiej, mimo iż rodzi się na ogół z innych źródeł; nie ze skruchy, ale z ciekawości poznania. Stąd wynikają owe nieoczekiwane związki i powinowactwa na tle tego powszechnego rachunku su-

mienia, który, tragicznie czy wesoło, w farsie czy w filozoficznym dziele, odbywa się ciągle. *Mysli* Pascala, ta najzarliwsza księga chrześcijanina, są w połowie transkrypcją z owego arcyseptyka Montaigne'a, inaczej tylko naświetloną uczuciowo. Skojarzyła ich bezwzględna szczerść wejrzenia w siebie. Rousseau, który umoralnił i odnowił całą epokę, napisał swą plugawą i bezwstydną *Spowiedź* jedynie dlatego, że wziął sobie za godło absolutną szczerść. Czy mogą być dwa bardziej przeciwne krańce niż Chateaubriand i Rabelais? Jeden podniosły i czysty w słowach odnowiciel chrześcijaństwa we Francji, drugi plugawy i świętokradczy mnich, najbezwstydniejsze pióro, jakie istniało. I oto Chateaubriand mówi o nim tym tonem, jakim się mówi o swoim wielkim przodku: „Rabelais jest ojcem literatury francuskiej”. To wszystko to są związki dla nas, ludzi „moralnych”, dosyć niepojęte, a jednak trzeba je rozumieć koniecznie, jeżeli się chce mieć prawdziwy sąd o literaturze francuskiej, tak sa-

mo jak trzeba rozumieć związki między fizyką Kartezjusza a pornografią Crebillona.

Mimo to wyznaję sam, iż kiedy oglądam jakąś „ostrzejszą” sztukę na naszym, polskim gruncie, bywam nieco zażenowany. Dlatego że czuję, iż naokoło mnie publiczność bierze ją inaczej. A to znów dlatego, iż dany utwór literacki zjawia się u nas jakby wyrwany z całości, brak nam ogniw ewolucji, brak bliskiego współżycia z dawniejszymi koncepcjami, których on jest wariantem.

Wyobraźmy sobie literaturę jako salon (i wyrosła ona w znacznej mierze we Francji z takiego salonu), gdzie bardzo inteligentni ludzie dyskutują o sekretach duszy ludzkiej. Że ta dyskusja trwa już parę wieków, niełatwo w niej powiedzieć coś nowego; trzeba zainteresować jakimś niezwykłym, śmiałym oświetleniem. W takiej rozmowie, gdy chodzi o uzmysłowienie pewnych prawd, nie zgorszy ani przerazi jaskrawy przykład; wszyscy przyzwyczajeni są do takiej gimnastyki myśli. Ta lub owa skłonność ukryta w zaułkach ludzkiego serca ukaze się wy-

olbrzymiona, potworna; to znów uproszczona do jakiejś linii monstrualnego szematu²⁸ lub karykatury.

Takim monstrualnym, choć doskonale logicznym komentarzem jest np. *Rogacz wspomniały* Cromelyncka; komentarzem do dyskusji ciągnącej się przez kilka wieków. Dwa zwłaszcza momenty z literatury francuskiej przywozmi mi na pamięć ta sztuka. Jeden to ów słynny V. akt *Szkoły żon* Moliera, gdy Arnolf, wyczerpany męką bezsilnej zazdrości, strwoniwszy cały arsenał środków ochronnych, ryglów, moralów, strachów, gróźb i próśb, powiada swej Agnusi dość wyraźnie: „Pozwolę ci na wszystko, na wszystkich... byle nie z nim, byle nie z tym, którego kochasz”... W tej scenie, która ściągnęła na autora gromy oburzeń, a którą dziś dzieci czytają w szkole komentowaną przez profesora, w tej scenie tkwi już w Arnolfie coś z potwornego Brunona z ostatniego aktu Crommelyncka. Tylko że Molier w nieubłaganej logice zwykł był iść tylko tak daleko,

²⁸*szemat* — dziś: *schemat*. [przypis edytorski]

jak daleko mógł iść, pozostając *żywym życiem*, a nie teorematem; równocześnie jednak oświecał nam w jednym błysku najdalsze perspektywy namiętności. Raz po raz są w Moliere te błyski, z których mogłaby powstać nowa komedia — lub dramat.

Drugi utwór, który rzuca mi swój refleks na Brunona, to *Spowiedź dziecięcia wieku* Musseta. Oktaw (czyli sam Musset) kochał namiętnie kobietę, która była wcieleniem kłamstwa; później spotkał i pokochał inną (zabawne jest, iż za model dla obu kobiet posłużyła mu w istocie jedna i ta sama!), która była wcieleniem czystości i prawdy; ale w drobnej rzeczy, dla żartu skłamała mu coś niewinnie. W tym jednym błysku (jak w Brunonie nawet bez tej przyczyny) lęgnie się w nim niewiara, niewiara zupełna; tragedia świadomości, iż jeden człowiek nic nie wie w gruncie o sercu drugiego. Oktaw szaleje; dręczy swoją anielską Brygidę bez miłosierdzia; gdyby poeta popuścił sobie wodze, mogłyby się łatwo rozgrywać w tej wiosce okrutne eksperymenty Brunona. Pcha kochankę w ob-

jęcia drugiego mężczyzny, karmi i tuczy swą zazdrość wszystkimi mękami, aż wreszcie zabija miłość Brygidy. Jak wczorajsza Stella, Brygida odchodzi z tym drugim, który (o szczęście!) „pozwoli jej być wierną”.

To tylko mały przykład, w jaki sposób najśmielsze nowatorstwo i najzuchwalsza niemoralność znajduje we Francji „żyro” w klasykach, którzy siali zgorszenie przed wiekiem, dziś zaś są oficjalną lekturą szkolną. I dlatego powiem śmiało: dla szczerości, dla ludzkości naszej kultury literackiej, brak nam jest *niemoralnych klasyków*. Słyszę, iż ministerium oświaty stara się temu zaradzić. Znakomity krytyk pan L. opowiadał mi, iż znajoma młoda panienska prosiła go o pożyczenie *Don Juana* Byrona. Kiedy się zawahał, czy może jej dać tę książkę, dziewczynka wyjaśniła, że musi ją mieć, gdyż jest to *obowiązkowa lektura* w szkole. Nie mając córki, nie mam zdania o tej metodzie, ale sądzę, że wolałbym ją od owej niedawnej jeszcze szkoły z *Kazaniami* Skargi na ławce, a *Kultem* ciała pod ławką.

1923

ZAZDROŚĆ I JEJ PARADOKSY

Sztuka grana świeżo w Teatrze Małym (*Rogacz wspaniały*) napełniła całą literacką Warszawę dyskusjami bez końca na temat zazdrości we wszelkich jej odcieniach, w związku z potwornym „szaleństwem” Brunona. Może tedy zainteresują czytelnika te bardzo szkicowe uwagi na ów wiekuisty temat.

Aberracja Brunona nie jest szaleństwem (chyba o tyle, o ile jest nim każda monomania uczucia); jest po prostu logicznie wykreśloną linią, której w życiu dostrzega się jedynie fragmenty. Niemniej z fragmentów tych można by ową linię odtworzyć w całej czystości, jak to uczynił poeta. Jeżeli czym grzeszy jego sztuka, to nadmiarem czystej logiki.

Przyczyną paradoksów męskiej zazdrości jest to, iż:

w uczucie to wchodzi element serca i miłości własnej czy próżności, i „prawa własności”; element zmysłów i element duszy;

otóż elementy te kojarzą się najrozmaiciej, grą swoją, nieraz pełną sprzeczności, wytwarzając cały bezlik kombinacji, tam gdzie szablony myślenia nawykł widzieć rzeczy prosto.

W elementach tych nie orientuje się nieraz sam „pacjent”, cóż dopiero świat, który widzi jedynie zewnętrzne formuły tam, gdzie pacjent czuje najdotkliwszą treść.

Do zamętu przyczyniają się i rozmaite wzory literackie, datujące z odmiennych epok i nieściśle wyrażające duszę dzisiejszego człowieka.

Rzucę na przykład kilka takich paradoksów.

Pierwszy najbanalniejszy:

Przenieśmy się na chwilę w świat apaszów i dziewcząt publicznych. Kochanek, który bez cienia zazdrości patrzy, jak jego ukochana obdziela swym ciałem wszystkich, może ją pchnąć nożem o niewinny kwiatek, który komuś ofiaruje. Co więcej zazdrość jego może się obudzić

z powodu tego jednego, któremu ta dziewczyna się opiera, którego wzbrania się przypuścić do zwykłej płatnej kolejki, bo to znaczy, że tego mężczyznę wyróżnia, że dla niego objawia się w niej kobieca wstydlivość i kokieteria, że go kocha...

Inny paradoks:

Mężczyzna namiętnie i zazdrośnie kocha kobietę; w pewnej chwili uczuł, że w jej duszy włada obraz innego. Kobieta jest doń przywiązana, jest mu wierną i chce mu zostać wierną; ale w najtkliwszych chwilach on czuje, że jest nieobecna duszą, że (może na wespół świadomie) tęskni, pragnie... Pomiędzy nimi dwójkiem stoi idealny obraz drugiego.

Otóż zupełnie logiczne jest, iż z nadmiaru miłości i zazdrości mężczyzna ten pchnie kobietę w ramiona tego drugiego, aby wprowadzić tępy fakt w miejsce uskrzydłonego pragnienia, aby *zdevaluować* rywala, z ideału ściągnąć go do rzeczywistości z jej nieuniknionym spłaszczeniem, rozczarowaniem, zużyciem; aby zdevaluować wreszcie kobietę i miłość, któ-

rej w nadmiarze jej wzruszeń, obaw i pragnień nerwy jego nie były w stanie udźwignąć.

Jeszcze inny:

Mężczyzna kocha kobietę, która go zdradza z innym. Cierpi, ale nie umie się jej wyrzec. Jednego dnia spostrzega, że ta kobieta zdradza i jego rywala jeszcze z kimś innym. Czy ta nowa zdrada będzie pomnożeniem bólu? Nie, raczej przeciwnie; będzie w nim ulgą. Logicznie biorąc, ulga ta rosłaby przy każdym nowym kochanku; cierpienie zazdrości znajdowałoby się w stosunku odwrotnym do liczby zdrad.

Przypomina mi się tu powiedzenie pewnego męża, cytowane gdzieś w Balzaku. Kiedy mu otwierano oczy, że żona go z kimś zdradza, wzruszył ramionami i rzekł: „To czysto fizyczne”...

Nowy paradoks:

Kobieta, która ma wielu kochanków, a która potrafi powiedzieć przekonująco mężczyźnie: „To są moje kaprysy, ale ty jesteś moją miłością” i dowieść mu tego, mniej może zada mąk jego zazdrości niż inna, która nigdy go

nie zdradziła, ale w której oczach on czyta obcejemu myśli i pragnienia. W sferze logiki (tzn. abstrahując od względów społecznych i miłości własnej) można przyjąć, że kobieta, która zaspokoi każdy swój kaprys, ale sercem, duszą, ciałem wreszcie, zostaje przy tym mężczyźnie, da mu uczucie pełniejszego posiadania niż kobieta, którą przy formalnej wierności oddala wciąż odeń niepokój rozbujanej a niezaspokojonej wyobraźni.

Oto kilka paradoksów (można by ich snuć więcej), kilka przesłanek łatwo mogących się pomieścić w obłądnym sylogizmie Crommelyncka, który wiedzie do sprostytuowania ukochanej kobiety.

Szaleństwo, zapewne; ale czyż nie było szaleństwem dawne zamykanie jej pod kluczem i strażą, aby sobie zapewnić jej miłość? Tamto był absurd zazdrości fizycznej; to absurd zazdrości duchowej; coś tak jak pewne średnio-wieczne sekty wiodły do czystości ducha przez ekscesy rozpusty. Utwór Crommelyncka, to próba stworzenia fizjologii czy patologii zazdro-

ści serc współczesnych; albowiem zazdrość, od czasu jak klasyczne formuły utrwaliły jej objawy, odbyła znaczną ewolucję.

Zazdrość w dawnym pojęciu to zazdrość fizyczna i męski punkt honoru. O resztę się nie troszczy. Wierności broni groźbą, rygłem, ba, nawet osławioną „opaską czystości” zamykaną na kłódkę (co sprawiało, że kochankiem niejednej kasztelanki zostawał skromny ślusarz). Kara za złamanie wiary — śmierć; jak za kradzież; rzecz brano z punktu widzenia posiadania, bez najmniejszej troski o rzecz posiadaną i jej psychologię. Wówczas zazdrość była straszna, nie była komiczna. Z czasem, przy tym samym pojmowaniu rzeczy, słabnie energia i możliwość egzekutywy, zostaje bezsilny gest, który staje się tym samym komiczny. Na tym polega komizm Molierowskich zazdrośników.

A teraz wyobraźmy sobie dzisiejszą miłość w jej najszlachetniejszej, najpełniejszej formie: miłość, dla której posiadanie ciała bez posiadania duszy, serca, pragnień kobiety staje się nie szczęściem, lecz okrutnym bólem; za którą

w ślad idąca zazdrość rozciąga się na te strefy. Weźmy duszę nowoczesnego człowieka wzbo-
gaconą dwiema strunami nieznanymi naszym
przodkom: zrozumienie i współczucie; nawyk
patrzenia na rzeczy i od drugiej strony... Pod-
czas gdy dawni ludzie byli obojętni na cudze
cierpienie lub nawet paśli się nim z rozkoszą,
dla człowieka nowoczesnego uczucie, że ktoś
cierpi obok niego, może być nie do zniesie-
nia. Dawny staruch, zaślubiwszy młodą dziew-
czynę, myślał tylko o tym, jak by ją zamknąć
i ustrzec; dzisiejszy mężczyzna nieraz nie mo-
że znieść myśli, że kobieta żyjąca obok niego
może łaknąć innej miłości, tak jak nie zniósł-
by widoku głodnego dziecka... Taki zazdrośnik
podejrzliwy jest, ale w nadśłuchiwaniu drgnień
serca kobiety; szpieguje, ale jej myśli. Cierpi
więcej może, ale jakże inaczej!

Wszystko to przeobraziło uczucia zazdro-
ści. Dusza ludzka nie mogłaby udźwignąć wszyst-
kiego naraz; walka o bezwzględne posiadanie
ciała i duszy kobiety zawiodłaby do szaleństwa,
które oglądamy w Brunonie. Toteż w miarę

jak wzajemne posiadanie serc zastępuje u mężczyzny dawne branie miłości w pojęciu jednostronnego posiadania ciała, zazdrość fizyczna, materialna, staje się po trosze przeżytkiem. Stępnia się jej ostrze przez instynkt samozachowawczy nowej ludzkości. Przestaje zwłaszcza być owym pomyłonym „punktem honoru”. Milcząco, jakby wstydliwie, ale bardzo wyraźnie, życie układa się na innych podstawach.

W ogóle kiedy spojrzeć na życie erotyczne społeczeństw bodaj w ostatnich kilkunastu latach, widzi się olbrzymie przemiany. Formułki, dogmaty niby wciąż te same; ale treść pod nimi jakże inna! Jesteśmy w fazie powszechnej ewolucji; w fazie stwarzania form życia nareszcie na modłę naszą, a nie na modłę naszych pradziadów. Radykalna odmiana w zapatrywaniach na dziewictwo, na „przeszłość” kobiety, na przymus macierzyństwa, na „wolną miłość”, w ogóle zupełna przebudowa stosunku dwojga istot. Nareszcie jakby ludzkość doszła do przekonania, że życie dość jest samo przez się trudne i skomplikowane i że nie ma

potrzeby utrudniać go i komplikować z takim wysiłkiem jeszcze bardziej. Póki bić będą serca ludzkie, póty będą istniały ludzkie bóle, męki, pragnienia; ale z radością oglądamy świt dnia, w którym wszystkie te delikatne sprawy będzie regulował kodeks ludzki, a nie „honorowy”.

1923

PIJAŃSTWO TRZEŻWOŚCIĄ

(Towarzyszom i towarzyszkom wieczoru z dnia 12 lipca 1919 poświęcam.)

Żyjemy w dniach tak gigantycznych przewrotów, jesteśmy tak stępiali na „sensacje” dziejowe, iż wypadki najbardziej doniosłe, takie, które w innych okolicznościach dostarczyłyby tematu do roztrząsań na całe miesiące, przechodzą niemal bez wrażenia. I tak wśród radosnych okrzyków witających narodziny pokoju, na wpół przesłonięty wydarzeniami poli-

tycznymi spełnił się fakt doniosłością moralną przerastający wszystko to, co się stało w ostatnich pięciu latach. Czymże bowiem była ta wojna światowa? Jednym z olbrzymich kataklizmów, jakie ludzkość tyle razy przechodziła; różniącym się od innych — dzięki nowoczesnej technice — ilościowo, ale nie jakościowo. Patrząc nań, to słońce, które oglądało ofensywy Aleksandra Wielkiego, żywe tanki Hannibala, walki triumwiratów o panowanie nad światem, pochód Tamerlana i Attyli, to sławne wreszcie „słońce spod Austerlitz” nie musiało być zbytnio wzruszone.

Ale to samo stare, sceptyczne słońce musiało się wzdrygnąć ze zdumienia, otrzymawszy na własnym szczerozłotym drucie wiadomość z Ziemi o niesłychanej uchwale zapadłej świeżo w Ameryce Północnej. Mam na myśli *bill*²⁹ znoszący od dnia 3 lipca b.r. w zupełności produkcję i użytek napojów wyskokowych. Tego, odkąd to słońce przyświeca naszemu globowi, jeszcze nie było.

²⁹*bill* (ang.) — tu: ustawa. [przypis edytorski]

Pijam na co dzień tylko wodę z pobliskiego źródła; mogę miesiące, lata całe żyć dosłownie bez kropli alkoholu; przemawiam tedy zupełnie bezinteresownie. Wyznaję jednak, iż kiedy przeczytałem tę wiadomość i zważyłem jej możliwe konsekwencje, dreszcz mnie przeszedł. Miałem uczucie, że się stało coś przerażającego, coś np., jak gdyby pod karą więzienia wydano zakaz pisania wierszem lub też grania na jakimkolwiek instrumencie. Wstrząsnęło mnie zimno za cały świat i nie była mnie w stanie rozgrzać nawet ta pocieszająca wiadomość, dołączona życzliwie z Paryża przez pana Antoniego Beaupre, iż „pewne miasto amerykańskie od czasu wprowadzenia w nim zakazu alkoholu spożywa rocznie trzy miliony galonów lodów i że wartość produkcji *ice-creamów* dochodzi w Ameryce 10 miliardów koron”...

W którymś z rozdziałów *Pantagruela* snuje Rabelais jedną ze swoich najgenialniejszych fantazji na temat tego, czym byłby świat bez długów. Otóż trzeba by chyba zapożyczyć pió-

ra od starego mistrza, aby odmalować, czym byłby świat bez alkoholu. To straszne!

Nieraz dumiałem nad mitem Noego i zawsze dochodziłem do wniosku, że nie może być przypadkowym zbiegiem okoliczności fakt, iż ten właśnie patriarcha, w którego osobie ludzkość święci pojednanie z Bogiem, jest zarazem odkrywcą winnej latorośli. To Bóg, skarawszy okrutnie rodzaj ludzki, ulitował nią nad nim i szczęście, które z winy swego upadku człowiek na zawsze postradał, raczył mu wrócić bodaj w postaci złudy. Wejrzał Bóg, iż człowiek raz skazony grzechem niezdolny jest jasno patrzeć w twarz ni Jemu, ni sobie, ni reszcie stworzenia; że życie jego musi pozostać smutne i zbrodnicze, o ile od czasu do czasu nie zamgłi sobie oczu marzeniem o tym, czym był niegdyś; o ile w soku winnej jagody nie zdoła wyczarować odbicia tej tęczy, która zabłysła mu na niebie jako znak pojednania. Tak; to dar boski; a że człowiek tego boskiego daru nadużył, czyż to dziw?... czegoż bo człowiek nie potrafił nadużyć!

Alkohol — czy też inny produkt upajający — aż do lipcowego *billu* Wilsona towarzyszył wiernie ludzkości od pierwszych szczebli cywilizacji, od samych jej zaczątków, za ledwie wyróżniających najniższy typ człowieka od najwyższego typu zwierzęcia. Nie śmiałbym formułować kwestii w ten sposób, iż użytek trunków upajających stanowi właśnie — obok użytku ognia — pierwszą cechę narodzin człowieczeństwa. Jednakże alkohol jest surogatem lub też sprzymierzeńcem poezji, poezję zaś uważam za przyrodzoną postać duchowego życia człowieka. Myśl pozytywna, proza myśli, jest już skomplikowanym wytworem cywilizacji, jest wysiłkiem podjętym dla wyodrębnienia swego mizernego światka prywatnych interesów z wszechrytmu kosmosu. Ale raz po raz rytm ten, tętniący potężną falą zarówno w eterze, jak pod skorupą ziemi, ogarnia biednego zaprzańca, chwyta go za włosy i za gardło i każe się zanurzać, jednostkom w alkoholu, narodom w poezji: dźwięcznej poezji słowa lub krwawej poezji czynu...

Nie wszystkim. Są ludzie, którzy „nie piją”. Tych nie znam i nie wiem, jacy są. Mówię: *nie znam*, albowiem dusza człowieka, który zasadniczo „nie pije”, jest dla duszy człowieka, który „pija”, księgą zamkniętą na siedem pieczęci; i na odwrót. Pomiedzy *pijącym* Chińczykiem a *pijącym* Polakiem jest chyba mniejsze oddalenie niż pomiedzy *pijącym* a *niepijącym* Polakiem. Podział ten zresztą dotyczy tylko przeciętnej masy ludzi; istnieją bowiem szczęśliwe organizacje — bardzo dalekie od „trzeźwości” — które tętno swego pijaństwa czerpią z innych, o ileż szlachetniejszych substancji. Byłem raz świadkiem, jak ktoś musiał Stanisława Wyspiańskiego do kieliszka wódki, wówczas kiedy poeta, już podupadły na zdrowiu, przestał jej zupełnie używać. „Nie piję” — odrzekł. „Dla fantazji!” — zachęcał go natręt. Na to Wyspiański odparł cicho, ze swoim uśmiechem: „Ja fantazję mam zawsze, a po wódce mnie głowa boli”.

Ludzie, którzy „piją”, to jedna z masonerii, której polityka międzynarodowa nie powinna

by zaniebować i którą rozumiała zresztą doskonale stara dyplomacja, mroząc w kubelkach musujący cement przymierza narodów.

Powiadam tedy, iż *bill* amerykański (po którym, jak donosi korespondent „Czasu”, pięć milionów Amerykanów gotuje się opuścić na zawsze kraj rodzinny) i myśl o świecie bez alkoholu przerażyły mnie. Jak to! Świat, w którym można będzie żyć dwadzieścia lat obok drugiego człowieka, widując go dzień w dzień i będąc z nim po dwudziestu latach znajomości równie obco i równie daleko co pierwszego dnia! Świat, w którym żadne nieporozumienie, powstałe między dwoma ludźmi, nigdy się nie zatrze i nie wyjaśni; w którym każda uraza, każda nienawiść będzie drążyć serca aż do śmierci, bez żadnej nadziei i możliwości odpuszczenia, ba, nawet, jak nieraz bywało po tegim wspólnym wypiciu, zamiany w dozgonną przyjaźń! W czymże jak nie w alkoholu zanurzyć tę błogosławioną gąbkę, którą przeciąga się od czasu do czasu po nazbyt zabazgranej tabliczce ży-

cia? „To jak burza w przyrodzie” mawiał zmarły niedawno w Persji poeta, Vincent de Korab Brzozowski. Gdzież znajdzie przydrożny odpoczynek i wytchnienie biedny wędrowiec Myśli o przemęczonym mózgu i skołatany sercu, jeśli nie w tym cudnym oszołomieniu, które bywa niekiedy dla ducha równie nieprzepartą potrzebą co sen dla ciała? Nie, żadna konsumpcja lodów, o której cuda pisze pan Beaupre, choćby nawet doszła do sześciu milionów galonów, nie zastąpi jednego dobrze zamrożonego kubka, marki... ha! gdzież mnie niewczesna fantazja unosi?... Świat bez alkoholu to wreszcie wytępienie pomiędzy płcią męską a kobiecą tego uroczego obcowania utkanego z igraszki myśli, z rozmarzenia i pustoty, które stanowi największy wdzięk i najwyższą zdobycz naszej cywilizacji; to skazanie stosunku obu płci na przejawy brutalnej żądzy albo też tępą nudę...

Ale nie trwóźmy się. Dzieło Ameryki nie wytrwa; zanim zdoła zarazić resztę świata, runie przez swą pychę samą. To obraz hardego

przedsięwzięcia wieży Babel; i tak samo skarrane będzie pomieszaniem języków. Albowiem tylko język upojenia wspólny jest ludziom; każdy człowiek zasadniczo trzeźwy przemawia zupełnie odrębnym narzeczem: mówi bardzo mądrze, tylko że ani on nikogo, ani nikt jego nie rozumie.

Zdaję sobie sprawę — a gdybym sam tego nie czuł, przypomniałyby mi to czcigodne łamy „Czasu”, z których mam zaszczyt przemawiać — iż stanowisko moje jest może zbyt indywidualne; że kwestia ta posiada poważne strony społeczne, moralne, higieniczne etc. Do tych się nie mieszam. Co więcej, z góry przyznaję, że byłbym zwolennikiem najdalej idących ograniczeń konsumpcji alkoholu. Tak jak obecnie, ogromna większość tego cennego środka marnuje się: idzie w tępotę, zbydlęcenie, hałas, zamiast przetwarzać się we wdzięk, radość życia i melodię. Z zanikiem kultury humanistycznej ludzkość zapomniała o tym, co wyraża owo tak szlachetne i znamienne godło: *spiritus*. I rozdział jest opłakany: artyści piją wodę albo fuzel,

podczas gdy szacowne wina sączą chamy i pa-skarze, jak gdyby im nie dosyć było pić krew ludzką. Owszem, gdyby taka utopia była możliwa, niechaj nasz sprężysty rząd ściśle ograni-czy użytek trunków; niech wprowadzi „karty na pijaństwo” przyznawane po dojrzałej roz-wadze (sądzę, że ta rzecz weszłaby doskona-le w kompetencję obecnego ministerium *Kul-tury i Sztuki*) tylko tym, którzy go są godni: w zamian będzie im go można dostarczyć ta-nio i w najlepszym gatunku. I tak samo go-dzę się chętnie, aby wytępiono ohydną kon-sumpcję alkoholu jako „używki”, sprowadzają-cą go do rzędu codziennych środków ogłupia-nia się. Przeciwnie, niechaj ten nektar stanie się rzadkim świętem, niechaj wróci do godno-ści misteriów bachicznych, niechaj użytek jego znaczy jedynie owe najcenniejsze godziny życia, w których mocą radosnego zespolenia duchów ten brzydki szary świat rozświetla się i rozżłaca, aby biednym wygnańcom z Raju dać na chwilę złudę poezji, niewinności i braterstwa...

PLOTKA O *Weselu* WYSPIAŃSKIEGO

I

Przez tych dwadzieścia z górą lat, które upływały od powstania *Wesela*, napisano o nim wiele pięknych i mądrych zapewne rzeczy; dzieło to posiada całą swoją literaturę, liczniejszą z pewnością niż którykolwiek inny ze współczesnych utworów. Ale literatura ta obraca się raczej w sferze ideologii *Wesela*; mniej stosunkowo zajmuje się jego stroną genetyczną³⁰ i, można rzec, anegdotyczną. Tłumaczy się to zapewne tym: w porze, kiedy najwięcej o *Weselu* pisano, anegdota ta była stosunkowo bardzo bliska, geneza *Wesela* uważana była za coś, co jest znane; zarazem szczegółowe jej omawianie było — wobec współczesności osób, które poeta miał na myśli — czymś jakby niedy-

³⁰strona genetyczna — tu: strona dotycząca genezy, tj. pochodzenia. [przypis edytorski]

skretnym. Odbijają to sobie z nawiązką przyszłe generacje historyków literatury: można sobie wyobrazić, co za żer znajdą przyszli „weselolodowie” w egzegezie³¹ i komentarzu do tej sztuki. Już stąd widzę, jak jakiś młody uczoney zostanie docentem polonistyki za obszerną rozprawę, w której wykaże metodą naukową, że Lucjan Rydel³² nosił binokle, a że „Kurdesz” to był np. gatunek wódki specjalnie ulubiony w kołach Młodej Polski. Strach pomyśleć, co za fantazje będą czytały z pietyzmem nasze prawnuki na temat tego lub owego szczegółu z *Wesela*. I wydaje mi się, że dziś, kiedy ustna tradycja poczyną już zanikać, ale kiedy istnieje jeszcze sporo uczestników tej epoki, byłaby może pora, aby ktoś zechciał dokonać tego, czego w ramach tego szkicu oczywiście dokonać nie mam pretensji, tj. aby ktoś zebrał wszystkie materiały rzeczowe, mogące pomóc do należytego zrozumienia *Wesela*.

³¹*egzegeza* — badanie i krytyczna interpretacja tekstów, zwł. religijnych. [przypis edytorski]

³²*Rydel, Lucjan* (1878–1918) — poeta, dramatopisarz, znawca sztuk plastycznych. [przypis redakcyjny]

Albowiem jeżeli drobiazgowo dociekanie elementów, które złożyły się na dany utwór, może się niekiedy wydać niewinna, ale dość jałową rozpustą historyczno-literacką, to nie tutaj. Albowiem stosunek poety do rzeczywistości był w *Weselu* inny niż zazwyczaj: anegdota była nie punktem wyjścia, ale samym najistotniejszym materiałem twórczym. Mało kiedy dane nam jest tak głęboko zapaść ciekawe spojrzenie w warsztat poety. I każdemu, kto patrzył z bliska na ludzi i wydarzenia splatające się w *Wesele*, czymś najbardziej podziwu godnym jest to właśnie, jak drobnymi, lekkimi dotknięciami Wyspiański umiał codzienną rzeczywistość przeczarować w poezję, jak, mało odbiegając od anegdoty, umiał jej nadać olbrzymie rozpięcie symbolu.

Sądzę, iż niezatrącenie pamięci o tej rzeczywistości *Wesela* posiada znaczenie i dla teatru. Czyż nie jest zadaniem pracy aktorskiej i reżyserskiej odgadywanie zamierzeń autora, zdobywanie — refleksją czy intuicją — drogi do tego, co autor w daną figurę chciał wło-

żyć, jak ją sobie wyobrażał? Jakże cenne są dla nas bodaj te zwięzłe uwagi o postaciach sztuki, które pomieścił Beaumarchais na wstępie do *Wesela Figara*. Otóż tu, w *Weselu* Wyspiańskiego mamy tę wiedzę gotową, niemal zupełną; chodzi tylko o to, aby jej nie zatracić; wiemy ponad wszelką wątpliwość, jak sobie poeta wyobrażał każdą ze swoich figur: gospodarza, poetę, pana młodego etc. Wiemy, gdyż w każdej z nich widział odbicie żywej osoby.

Do jakiego stopnia Wyspiański w ten właśnie sposób patrzył na swój utwór — oświetli następujący szczegół — kiedy zbliżała się premiera *Wesela* w Krakowie, Wyspiański przyniósł do teatru tekst przeznaczony na afisz: otóż na afiszu tym widniały po imieniu i nazwisku żywe, działające osoby; np. „pani Domańska” zamiast Radczyni etc. Z trudem zdołano mu wytłumaczyć, że takiego afisza dać nie można, oraz nakłonić go do zastąpienia nazwisk ogólnikami. Zosia, Maryna, Haneczka zachowały na afiszu i w książce autentyczne imiona

swoich oryginałów³³. Posiadam fragment rękopisu z *Wesela*, zawierający scenę Stańczyka z Dziennikarzem; dziennikarz nie nazywa się tam „dziennikarz”, ale po prostu „Dolek”, tak jak przyjaciele nazywali Rudolfa Starzewskiego³⁴. Zatem Wyspiański nie tylko — jak to zwykle czynią pisarze w tworach imaginacji — nie zacierał tu związków z rzeczywistością, ale je jakby podkreślał.

Powstanie *Wesela* przypomina poniekąd powstanie *Pana Tadeusza*, tak jak je kreśli tradycja. Wedle tradycji, Mickiewicz zamierzał napisać szlachecką anegdotę, która rozrosła mu się pod piórem w ów nieśmiertelny poemat i stała się żywym wcieleniem Polski. Można by podejrzewać, iż Wyspiański, biorąc pióro do ręki, zamierzał tu napisać złośliwy pamflecik na swoich znajomych; w trakcie pisania geniusz poezji porwał go za włosy i ściany bronowic-

³³*Zosia, Maryna, Haneczka zachowały (...) imiona swoich oryginałów (...)* — [por. Tadeusz „Boy” Żeleński,] *Nad rękopisem „Wesela”* ([w:] *Ludzie żywi*). [przypis autorski]

³⁴*Starzewski, Rudolf* (1870–1920) — dziennikarz, od 1905 redaktor konserwatywnego „Czasu”; zginął śmiercią samobójczą, czego jednym z powodów mogła być miłość do żony Tadeusza Boya-Żeleńskiego. [przypis redakcyjny]

kiego dworku rozszerzyły się — niby nowe Soplucowo — w symbol współczesnej Polski.

Dla tych, którzy znają Wyspiańskiego jedynie z jego pism, nie dość może żywo występuje pewien jego rys, który w obcowaniu osobistym, w rozmowie, zdawał się niemal dominującą cechą jego inteligencji: mianowicie złośliwość, najprzedniejsza dowcipem złośliwość, wyostrzona i lśniaca jak brzytwa. Rozmowa jego iskrzyła się od takich cięć, które zadawał swoim brzęczącym, cichym głosikiem i z cienkim uśmiechem na wargach. Przypominam sobie np. takie powiedzenie: była mowa o Asnyku³⁵; na co Wyspiański „brząknął”: „Asnyk... tak... Asnyk, to taki wypchany orzeł; ma wszystko, dziób, skrzydła, tyle tylko że nie polecie”. Każdy, kto znał Asnyka bodaj z fotografii, ten oceni, ile malarskiego „chwytu”, a może i literackiej trafności zawierało to piekielnie złośliwe określenie.

³⁵Asnyk, Adam (1838–1897) — czołowy poeta polskiego pozytywizmu. [przypis redakcyjny]

Takiej złośliwości, mimo że zrównoważonej innymi składnikami, jest w *Weselu* (jedy-
nym może pod tym względem większym utwo-
rze Wyspiańskiego) mnóstwo; ale tylko ci, co
dobrze znają osoby i fakty, mogą ocenić ostrze
mnóstwa drobnych szpileczek, jakimi utwór ten
jest najeżony.

Niepodobna mi — jak wspomniałem —
w ramach niniejszego szkicu przedstawić ca-
łych realiów „*Wesela*”, nawet tych, które mogą
mi być dostępne; że jednak żyłem jak najbliżej
w środowisku, które odmalowane jest w *Wese-
lu*, oraz byłem jednym z dość szczupłej garstki
uczestników owego słynnego weseliska Lucja-
na Rydla, przypomnę tu ten i ów rys, z którego
sztuka ta powstała.

Zacznijmy od terenu akcji.

Bronowice jest to, jak wiadomo, wioska o pół
mili od Krakowa, nie różniąca się, zdawało-
by się, niczym od innych wsi w Krakowskiem,
a jednak posiadająca pewną właściwość, która
zaważyła w polskiej literaturze i sztuce. Miano-
wicie od niepamiętnych czasów Bronowice na-

leżą do parafii kościoła Panny Maryi w Krakowie. Modlą się zwykle bronowiczanie w pobliskim wiejskim kościółku, ale śluby biorą z paradą u Panny Maryi w Krakowie. Wówczas to, przez długą ulicę Karmelicką, przez cały Rynek Krakowski, zajeżdżają przed kościół owe wozy chłopskie wyładowane białymi sukmanami, „bajecznie kolorowymi” gorsetami, kierezjami, wieńcami, czepkami, w asystencji szumnych³⁶ drużbów na koniach, tworząc istotnie porywającą grą swoich barw i zamaszystością fantazji obraz.

Któż mógł najlepiej odczuć odrębne piękno i charakter tego ludu, jeśli nie malarze? Epoka, w którą się cofam, dziesięć lat przed akcją *Wesela*, około roku 1890 — był to okres, kiedy w krakowskiej akademii, na przekór epigonom Matejki, fabrykującym tzw. „kobyły” historyczne, rodziła się, pod bokiem samego Mistrza, dość surowym okiem patrzącego na te igraszki, szkoła pejzażu polskiego. Dolatywały z zachodu pierwsze jaskółki impresjonizmu;

³⁶szumny — wystawny, efektowny, bogaty. [przypis redakcyjny]

słowa: „kolor, światło, *plein-air*³⁷” dźwięczały jak nowe, rewolucyjne hasła. Otóż między tą młodą malarią³⁸ a bronowiczananami zawiązały się nici porozumienia; parobczaki i dziewczuchy wiejskie coraz częściej zjawiali się jako modele w pracowniach malarskich. W zamian malarze puszczali się za miasto, aby chwycić naturę, światło, na gorącym uczynku. W owej epoce z r. 1890, „chłopomania”, która tak rozwinęła się później, nie istniała jeszcze zupełnie. To też interesującym i bardzo charakterystycznym jest, iż zetknięcie surduta³⁹ z siermięgą⁴⁰ dokonało się na zupełnie innej drodze: na drodze przymierza kolorów z paletą: to było pierwotne przymierze „pana Włodzimierza”. Ideologia społeczna i polityczna przyszła dopiero później.

Taki więc orszak ślubny przejechał przez Kraków w lecie r. 1890; i na całe miasto gruch-

³⁷*plein-air* — dziś popr.: plener. [przypis redakcyjny]

³⁸*malaria* — tu: żart. rzeczownik zbiorowy oznaczający malarzy. [przypis redakcyjny]

³⁹*surdut* — rodzaj przedłużanej marynarki, uznawany za elegancki strój na przełomie XIX i XX w. [przypis redakcyjny]

⁴⁰*siermięga* — wierzchni strój z grubego materiału, na przełomie XIX i XX w. charakterystyczny dla chłopów. [przypis redakcyjny]

nęła wieść: Włodzio Tetmajer⁴¹ ożenił się z wiejską dziewczyną. My, ludzie dzisiejsi, nie odczuwamy już dostatecznie zgrozy, jaką fakt ten musiał przejąć ówczesny Kraków. Młody i pełen przyszłości malarz, świetny i piękny młodzieniec z „dobrej rodziny” — z chłopką!

Po „bajecznie kolorowym” ślubie przyszła szara rzeczywistość. Małżeństwo Tetmajera zaczęło się od bardzo ciężkich warunków materialnych. On był młodym jeszcze malarzem, zresztą kupowanie obrazów nie było wówczas w Krakowie jeszcze w modzie. Rodzice żony mieli dużo dzieci i ledwie parę zagonów. Młodzi przeszli straszliwą biedę, mieszkali kątem u rodziców, bez mała w jednej izbie z inwentarzem. Tetmajer znosił heroicznie ten czas próby. Dopiero po kilku latach zdobył się na wystawienie własnego dworku złożonego z trzech izb i kuchni, mała co różniące się od zwykłej wiejskiej chałupy. Poza tym małżeństwo to ułożyło się bardzo prosto i szczerze. Nie kształ-

⁴¹ *Tetmajer, Włodzimierz* (1861–1923) — artysta malarz, działacz ludowy i polityk. [przypis redakcyjny]

cił forsownie swojej Hanusi, nie „podnosił” jej do siebie, zostawił ją taką, jaką była, jaką ją pokochał. Żył z nią po prostu, płodząc regularnie po bożemu dzieci, i metoda ta okazała się najskuteczniejszą, aby młodziutką dziewczynę wiejską urobić nader szybko na taktowną i rozsądną towarzyszkę człowieka i artysty.

II

Nie obyło się to małżeństwo bez ciężkich przejść rodzinnych. Ojciec Tetmajera, starzec osiemdziesięcioletni, niegdyś świetny ułan z 31 roku, później marszałek szlachty nowotarskiej, nie mógł mu nigdy przebaczyć tego kroku, dokonanego bez jego wiedzy; synowej nigdy nie chciał widzieć na oczy.

Małżeństwo Tetmajera stanowiło przez szereg lat niewyczerpany przedmiot rozmów i dociekań krakowskiej sosjety⁴². Pamiętam, jak pewna dama, księżniczka Czetwertyńska z domu, posiadaczka włości na Ukrainie, wypytywała z żywym zaciekawieniem matkę Tetmajera: „*Di-*

⁴²*sosjeta* (z fr.) — towarzystwo. [przypis redakcyjny]

*tes-moi, chere madame*⁴³, a po jakimu oni mówią z sobą? Czy pan Włodzimierz umie po rusku?”. Zaczna dziedziczka z kresów była święcie przekonana, że chłopi na całym obszarze ziem polskich mówią po rusku! Z czasem oswojono się z tym małżeństwem i z kolei wytworzyła się inna mania, przykrzejsza dla Tetmajera: ulubionym spacerem krakowian, mniej lub więcej mu znajomych, było odwiedzać go w Bronowicach. Należało to do „szyku” opowiadać: „Byłem dziś u Tetmajerów, jakaż to miła osoba ta Tetmajerowa, jak ona się wyrobiła etc.”. Nieraz w niedzielę Tetmajer, ostrzeżony przez stojącą na czatach córeczkę, zaparłszy⁴⁴ drzwi chałupy, chował się z całą rodziną w życie przed nadchodzącymi gośćmi. Śmialiśmy się, pamiętam, długo z pewnego miejskiego literata, który, wybrawszy się do Bronowic i zastawszy, dzięki tej chytrej samoobronie Tetmajerów, tylko małą Isię, zaczął jej bardzo kwieciście mówić

⁴³*Dites-moi, chere madame* (fr.) — Niech mi pani powie, droga pani. [przypis redakcyjny]

⁴⁴*zaprzec* — tu: zamknąć. [przypis redakcyjny]

o pięknie natury, że ona sama jest jak te kwiaty polne, etc., na co sześćcioletnia Isia odpaliła mu arcystaropolską propozycją.

Osiadłszy w Bronowicach, Tetmajer zżył się ze wsią najzupełniej po bratersku, wszedł pod urok polskiego „Chłopa-Piasta”, nauczył się go rozumieć i z nim pracować. Cieszył się zaufaniem nie tylko swojej wsi, zasiadał w radzie powiatowej, posłował do parlamentu. W ogóle Tetmajer miał niesłychaną łatwość wzywania się w każde środowisko; równie swobodnie czuł się we fraku w salonach, jak w siermiędze na wsi, w Paryżu, jak w Bronowicach. Ale, przez osobliwą i jakąś bardzo polską kombinację, ten „chłopoman”, ten pionier ruchu ludowego, w gruncie zachował typ najczystszej szlacheckich, skorygowanej jedynie wdziękiem artysty. Typ ten z latami coraz więcej się zaznaczał; stopniowo Tetmajer stał się jedną z najbardziej charakterystycznych polskich figur, ze swoją swadą i humorem, z temperamentem równie zapalnym jak łatwo ulegającym depresji, z towarzyską rozlewnością i upodobaniem do

„gwarzenia przy szklenie”. Sławne były jego „kurdusze” i inne staropolskie pieśni, jego improwizowane mówki najautentyczniejszym makaronizmem XVII w. Było w tym jego animuszu coś z Zagłoby, ale Zagłoby, który już czytał Sienkiewicza i bawi się po trosze sam sobą; przy tym coś z rozpieszczonego dziecka, które wie, że co szlachcic nawarcholi, to artyście przebaczą. Bez końca można by opowiadać anegdot o Tetmajerze; za czasów jego posłowania w Wiedniu śpiewaliśmy niegdyś w „Zielonym Baloniku⁴⁵” jego „ostatni zajazd na Francensringu”. Proszę sobie np. wyobrazić miny jego kolegów parlamentarnych, kiedy, po jakimś osobistym zatargu z ministerium, ten ludowiec oświadczył w swoim klubie, że nie będzie korespondował z ministrem po niemiecku, ale, jako szlachcic polski, po łacinie...

Jedną mam jeszcze pokusę opowiedzieć anegdotę o Tetmajerze, gdyż może lepiej niż wszelkie charakterystyki maluje tę bardzo kochaną

⁴⁵*Zielony Balonik* — pierwszy polski kabaret literacki, założony w r. 1905; do jego zespołu dołączył w pewnym momencie Tadeusz Boy-Żeleński. [przypis redakcyjny]

i polską postać. Zjechały więc do Bronowic jakieś „misje”, ciągały baby do kościoła i trzymały je tam godzinami, upewniając, że „choć dzieciątko w domu zostanie bez opieki, Pan Jezus nie da mu krzywdy uczynić”. Męska ludność Bronowic była mocno niezadowolona z tej dezercji od garnków i kołysek, a może i z innych prywacji⁴⁶ nałożonych przez surowe praktyki religijne. Otóż Tetmajer, namontowany, kropnął list do proboszcza Panny Maryi, prałata Krzemińskiego, oznajmiając, ni mniej, ni więcej, że postanowił, wraz z dwiema córkami, Jadwigą i Anną, „opuścić łono katolickiego kościoła i przyjąć inny (nieokreślony bliżej) obrządek chrześcijańskiego wyznania”.

Przespawszy się, Tetmajer musiał mieć nieco nieczyste sumienie po tym liście i poszedł się zwierzyć przezacnej opiekunce wszystkich artystów i innych wariatów, Sewerowej Maciejowskiej.

— A cóż z trzecią, z Klimą? — spytała Sewerowa (Tetmajer miał wówczas trzy córki).

⁴⁶*prywacja* — ograniczenie, obywanie się bez czegoś. [przypis redakcyjny]

— Wie pani — odpowiedział całkiem szczerze, choć nieco zakłopotany pan Włodzimierz — Klima była chrzczona w kościele na Piasku, tam jest taki zacny proboszcz, ma taką pyszną wódkę paloną na miodzie, nie chciałem mu robić przykrości i z Klimą dałem już pokój.

Oczywiście poczciwa Sewerowa poszła do prałata Krzemińskiego i załagodziła tę apostazję — list uznano za niebyły.

Obok tych gości z miasta, przed którymi Tetmajer krył się w życie, zachodziła do Bronowic coraz liczniej gromadka innych, których chętnie witał i przygarniał. Był to artystyczny światek krakowski, literatura, malarstwo. Ten i ów najmował w Bronowicach izdebkę u chłopca i malował tam przez lato. Tańczono, śpiewano, pito; goście ci wnosili do Bronowic mnóstwo wesołości i gwaru. Żona Tetmajera miała dwie siostry, obie, jak i ona, bardzo urodziwe. Z jedną na wpół zaręczył się utalentowany malarz i kolega Tetmajera, de Laveaux⁴⁷, suchot-

⁴⁷ *de Laveaux, Ludwik* (1868–1894) — malarz, uczeń Józefa Mehoffera, zmarły na gruźlicę. [przypis redakcyjny]

nik⁴⁸; wyjechał dla studiów zagranicę i tam umarł. O drugą, Jadwisie, posunął w konkury Lucjan Rydel, poeta, i pojął ją w małżeństwo w 10 lat po ślubie Tetmajera, w roku 1900. Ale i wesele to, i małżeństwo, nie były podobne do tamtego.

Lucjan Rydel, cieszący się zasłużonym mi-rem⁴⁹ wśród publiczności, zacny i kochany człowiek, był w kołach artystów w Krakowie postacią zdecydowanie komiczną. Przez dziwny kaprys przyroda połączyła w nim wybitny talent rymotwórczy z usposobieniem najmniej poetycznym, najbardziej — jak wówczas się mówiło — filisterskim, mieszczańskim. Ale największe piętno komizmu dawało mu jego przyszłowiowe gadulstwo, graniczące wprost z jakąś newrozą⁵⁰. Starsi warszawianie pamiętają zapewne ową „piłę”, która urodziła się na bruku Warszawy pewnej bardzo słotnej jesieni, w czasie której Rydel bawił w tym mieście:

I wciąż ta sama ballada —

⁴⁸*suchotnik* — gruźlik. [przypis redakcyjny]

⁴⁹*mir* — szacunek, poważanie. [przypis redakcyjny]

⁵⁰*newroza* — dziś popr.: neuroza. [przypis redakcyjny]

Deszcz pada, pada, pada —
Rydel gada, gada, gada —
I znów ta sama ballada —
Rydel gada, gada, gada —
Deszcz pada, pada, pada —
itd., bez końca.

Małżeństwo Rydla miało, jak wspomniałem, zupełnie inny charakter niż małżeństwo Tetmajera. Tamto było czymś samorzutnym, śmiałym, urodziło się z serca i oczu, to — z głowy i z papieru. Tamto wystrzeliło nagle, to było poprzedzone długim okresem narzeczeństwa, który obfitował w tak zabawne epizody, że stanowił ciągłe źródło radości wszystkich stojących bliżej, do których w pierwszym rzędzie należał kolega Rydla z ławy szkolnej i przyjaciel — Wyspiański. Rydel przeżywał swoją „miłość” jak temat literacki; pisywał pseudo-klasyczne wiersze, w których porównywał swoją Jadwisię do Afrodyty wychodzącej z fali zboża etc. Oczywiście uważał swój krok za bardzo rewolucyjny, gotował się na walkę z rodziną,

tymczasem pod przemożną falą jego wymowy, twierdza natychmiast ustąpiła: „Niech się żeni, niech się żeni jak najprędzej, bo nas zagada na śmierć” mówiła matka, brat... Ale Rydel, rozpędzony, dalej gadał, przekonywał, walczył... „A pan gada, gada, gada...” — mówi Radczyni w *Weselu*. Dodać trzeba, że o ile Tetmajer musiał się w początkach małżeństwa przebijać przez najcięższą nędzę, o tyle Rydel rozpoczął je od skromnego, ale spokojnego dobrobytu.

Zabawny był stosunek Rydla do chłopów. Ten poeta — był to klasyczny mieszczuch, niemający poczucia wsi ani chłopca; popełniał tedy co chwilę wykroczenia przeciw etykietce wiejskiej, które raziły bronowickich gospodarzy. „Ten pan Rydel to dobry człowiek, uczony człowiek, ale strasznie źle wychowany” — mówili, a mianowicie dlatego, że Rydel, chcąc się „zbliżyć do ludu”, chodził w konkury boso, poza tym w marynarce i z zawiniętymi spodniami. Otóż na wsi chłop chodzi boso albo przy pracy, albo jeśli nie ma butów, ale z wizytą — nie.

Rydel posuwał swoją „ludowość” tak daleko, że przyszedłszy raz z wizytą do willi swej ciotki, pani Domańskiej (Radczyni z *Wesela*) prosił ją o pozwolenie zdjęcia butów, bo tak się już przyzwyczaił... Pokazywał wszystkim, kto chciał i kto nie chciał, że nie nosi gatek etc. I gadał, gadał, gadał...

III

Rydel — Pan Młody w *Weselu* — potraktowany też jest z dobrotliwą ironią. Nie znaczy to, aby był tam w zupełności obrany ze szczerych i szlachetnych rysów, ale raz po raz wychodzi zeń ów mieszcuch, ów papierowy literat. Raz po raz przewijają się owe rysy podchwyczone złośliwie z rzeczywistości i przeniesione żywcem, a które w całej pełni zrozumiałe były tylko wtajemniczonym, np. owe „trza być w butach na weselu”, „pod spód wcale nic nie wdziewam” etc. etc.

Ślub odbył się w bocznej kaplicy kościoła Panny Maryi. Wstęp do kaplicy był zamknięty, mimo to tłumy publiczności cisnęły się do

niej, a głównie falanga uczennic Rydla ze „studiów Baranieckiego”. Rydel musiał sobie torować drogę wśród tych dziewic, do których, przeciskając się przez kościół, przemawiał bez przerwy: „Widzicie, widzicie, nie ożeniłem się z żadną z was, boście przemądrzałe, sztuczne, wziąłem sobie ją, bo jest prosta, umie tylko kochać” etc., etc.

Pod kościołem zaszedł epizod, który Wyspiański utrwalił żywcem w wariancie do *Wesela*. Kiedy cały orszak siedział już na wozach i miał już ruszać, jeszcze jakaś paniusia chwyciła za rękaw starościny wesela, imponującą Kliminę, i jęła⁵¹ się dopytywać: „Moi drodzy, powiedzcie, a ma też ona co?”. Na co Klimina najdobroduszniej w świecie: „E, ma, ma, zaś by tam nie miała! Bidna mysz, a ma tyż”. Wóz ruszył, a paniusia została z tą wiadomością.

Wesele Rydla odbywało się w domu Tetmajera, było huczne, trwało, o ile pamiętam, wraz z czepinami⁵², ze dwa czy trzy dni. Nie-

⁵¹jąć (daw.) — zacząć. [przypis redakcyjny]

⁵²czepiny — oczepiny, obyczaj weselny, polegający na wiązaniu pannie młodej czepca, stanowiącego symbol stanu małżeńskiego. [przypis redakcyjny]

jeden z gości przespał się wśród tego na stosie paltotów, potem znów wstał i hulał dalej. Wieś była oczywiście zaproszona cała, z miasta kilka osób z rodziny i przyjaciół Rydla, cały prawie światek malarski z Krakowa. I Wyspiański. Pamiętam go jak dziś, jak szczerlnie zapięty w swój czarny tużurek⁵³ stał całą noc oparty o futrynę drzwi, patrząc swoimi stalowymi, niesamowitymi oczyma. Obok wrzało weselisko, huczały tańce, a tu, do tej izby raz po raz wchodziło po parę osób, raz po raz dolatywał jego uszu strzęp rozmowy. I tam ujrzał i usłyszał swoją sztukę.

Mówi się o oryginalnej fakturze *Wesela* i wywodzi się ją z jasełek. Zapewne; ale mnie by się zdawało, że jak wszystko w tej sztuce, tak i ona urodziła się w znacznej mierze po prostu z faktycznej rzeczywistości. To wchodzenie osób parami, bez logicznego powodu, jest najzupełniej naturalnym w izbie przyległej do sali tanecznej; od czasu do czasu zjawia się ktoś i sam, aby na chwilę wydychać się i wyparować,

⁵³*tużurek* — rodzaj dwurzędowego surduta z ciemnej wełny. [przypis redakcyjny]

i wówczas, w tym momencie napięcia nerwów, rozprzestrzenienia niejako egzystencji, Wyspiański podsuwa mu jego widmo.

Mimo że *Wesele* urodziło się z rzeczywistości, stosunek, w jakim została ona zaczyniona fantazją poety, nie jest we wszystkich postaciach jednaki.

O Włodzimierzu Tetmajerze (Gospodarzu) już mówiłem. Jest on w *Weselu* jak żywy ze swoim szlachetnym sentymentem, gestem kontuszowym, ze swą zamaszystą fantazją i niewytrzymałością nerwową. On jest dla Wyspiańskiego jakby wcieleniem polskości, a jego dworek nowoczesnym Soplicowem. Stosunek samego poety do tej polskości mieni się różnymi odcieniami tonów, od pobłażliwej i ciepłej sympatii aż do gorzkiego sarkazmu i ironii; bądź co bądź, w stosunku do gospodarza satyra wyraża się raczej dyskretnie: szlachetne akcenty górują nad całością tej roli.

Wybitnie przyjacielsko-ironiczny jest stosunek Wyspiańskiego do Pana Młodego — Rydla. Takim był ten stosunek i w życiu, jak to

widać z obfitej korespondencji z Paryża, którą Rydel z chwalebnią lojalnością oddał natychmiast po śmierci Wyspiańskiego oczom ogółu. W listach tych Wyspiański rozwija ciągły wysiłek, aby zmusić Rydla do lotu, do wielkich dzieł; sam pochłonięty wówczas malarstwem, oczekiwał po Rydlu, że wcieli w poezję to, co tłuło się w nim samym; straciwszy tę nadzieję, wziął się do pisania sam, a na Rydla jak gdyby machnął ręką. I nie trzeba, aby junacka i dorodna postać Jerzego Leszczyńskiego wcielającego tę rolę przesłaniała nam komiczny odcień tej roli. „Pan Młody”, to chwilami szczerzy człowiek, to jednak zarazem ten literat wciąż w poszukiwaniu „tematu”, papierowy mieszczuch w zetknięciu z wsią, z którą nigdy nie stworzy organicznego połączenia. Dodajmy, iż sam Rydel ze swoją zmiętą twarzą, cerą bibliotecznego mola i wiecznymi binoklami na nosie, a zarazem w kierezji⁵⁴ i czapce zamiatającej powałę olbrzymim pawim piórem, był już ze-

⁵⁴*kierozja* — bogato wyszywana sukmana krakowska z obszernym, trójkątnym, haftowanym kołnierzem wykładanym na plecy. [przypis edytorski]

wnętrze jakby humorystycznym tego „zbrania” symbolem.

Niepodobna dobrze zrozumieć postaci Dziennikarza, o ile się ją oderwie od figury, z której wyszła. Wiadomo, iż „Dziennikarzem” tym był Rudolf Starzewski, redaktor krakowskiego „Czasu”. Starzewski — była to jedna z najświetniejszych polskich inteligencji współczesnych; zamiłowania literackie skierowały go do „Czasu”, którego poziom kulturalny wznosił się wówczas pod tym względem o wiele ponad inne pisma. Niebawem wciągnęła go polityka; wybitne zdolności, które umiano ocenić, powołały go bardzo młodo na stanowisko redaktora. Mimo to upodobaniami swymi, życiem osobistym pozostał w kręgu świata artystycznego, z którym był w serdecznej zażyłości. W epoce *Wesela* Starzewski był również krytykiem teatralnym, i bardzo niepospolitym.

Redaktor „Czasu”, było to w owej dobie galicyjskiego życia politycznego stanowisko bardzo wybitne; „Czas” to była większość w „Kole polskim”, a „Koło polskie” to była cała ówczes-

sna czynna i jawna polityka Polski. Czym była owa polityka polska w Austrii, wiadomo; ilu wymagała kołowań, kompromisów, chytrych jakoby posunięć na tej parszywej szachownicy narodów, jaką była Austria. Zazwyczaj, z tradycji, redaktorem „Czasu” bywał stary piernik; tu był nim człowiek młody (Starzewski miał wówczas jakieś trzydzieści lat), człowiek o gorącym sercu Polaka, otwartej głowie, inteligencji drążącej wgląd każdej kwestii i wgląd samego siebie. Był on człowiekiem najbardziej powołanym, aby na tym *Weselu* objawiła mu się przenikliwa, gorzka, surowa myśl, upostaciowana w Stańczyku. I nigdy tak często nie przychodziło mi na myśl *Wesele* Wyspiańskiego, jak kiedym patrzył na Starzewskiego w czasie wojny, kiedym patrzył na męki, jakie przechodziła ta na wskroś szlachtetna natura, ten człowiek, który przedwczesną śmiercią przypłacił zbyt ciężki w owej dobie do udźwigania „kaduceus” Polski.

„Poeta” jest bratem „Gospodarza”; bo też, wiadomo, był nim Kazimierz Tetmajer⁵⁵, „żurawiec” bawiący wówczas w kraju przelotem między jednym a drugim pobytem we Włoszech. Wówczas na szczycie rozgłosu poety, ale przed wydaniem najbardziej męskich swoich dzieł, admirowany przez czytelniczki, Tetmajer lubił, jak Fantazy Słowackiego, „bić się na pałasze z babami”, zwłaszcza z pannami (całe życie miał słabość do panien), o ile spotkał godną partnerkę w tej szermierce na słowa i serca. Dotychczas niemal wyłącznie liryk, pierwszy raz wówczas świeżo próbował Tetmajer rozwinąć skrzydła w wielkiej poezji dramatycznej; napisał utwór pt. *Zawisza Czarny*, wystawiony, na krótko przed *Weselem*, w krakowskim teatrze. Stąd Rycerz, który olśniewa go na chwilę swoim zjawiskiem i przepada kędyś w nocy nirwany⁵⁶.

⁵⁵Tetmajer, Kazimierz (1865–1940) — czołowy poeta Młodej Polski. [przypis redakcyjny]

⁵⁶nirwana — pojęcie buddyjskie, oznaczające wyzwolenie się z cyklu narodzin i śmierci, przez europejskich modernistów interpretowane jako niebyt; słowo to często pojawia się w poezji Kazimierza Przerwy-Tetmajera. [przypis redakcyjny]

Tak samo i dalsze figury. Radczyni — to profesorowa Domańska, ciotka Lucjana Rydla, żona lekarza i radcy miejskiego, później autorka wybornych powieści dla młodzieży; z temperamentu kostyczna i weredyczka. Panienki, Zosia, która, mimo że naznaczona kilkoma kreskami, wydaje mi się jedną z najładniejszych postaci kobiecych w naszej literaturze — i Maryna, cięta, ironiczna i wygadana Maryna, to Zosia i Maryna Pareńskie, młodziutki wówczas podlotki, córki sławnego lekarza. Trzeźwa i obowiązkowa Haneczka — to Hanka Rydlówna, siostra Lucjana, a rówieśnica i przyjaciółka Zosi. Autentyczne imiona własne (tak samo, jak imię małej Isi) utrzymał Wyspiański na afiszu, mimo niezadowolenia z tego starej pani Rydlowej. Charakter wszystkich trzech dziewcząt zachowany jest najwierniej w świecie; nie tylko charakter, ale niemal sposób mówienia; czytając *Wesele*, mam wrażenie, że słyszę każdą z nich. Jest to dokument niesłychanie wyczułonego zmysłu obserwacji Wyspiańskiego, który z przelatującego mimo uszu strzępu roz-

mowy rekonstruował całą scenę najściślej w duchu działających osób, a równocześnie, posługując się tymi autentycznymi rysami, wzbijał ją het wysoko, w krainę poezji.

Najbardziej samoistnym tworem czystej fantazji jest „Rachela”. Tutaj rzeczywistość posłużyła jedynie za materialny punkt wyjścia. Autentyczna córka bronowickiego karczmarza, młoda dziewczyna, nazywała się Pepa Singer, miała lat 15, nie była ani ładna, ani inteligentna i brała dość bierny udział w bronowickim życiu artystycznym, mimo iż niewątpliwie mogło ono na nią działać swoją odrębnością i urokiem. Ciekawym jest wpływ, jaki *Wesele* Wyspiańskiego wywarło na dalsze koleje Pepy Singer: stała się ona niejako chodzącym cieniem swego literackiego sobowtóra, istniała odtąd wyłącznie jako Rachela, ożywiała się jedynie, skoro się zetknęła z którąś z osób działających w *Weselu*. Lata całe „obijała się” w artystycznych knajpach krakowskich, nieznana nikomu z imienia i z nazwiska, znana jedynie jako Rachela.

Wprowadzenie Racheli, jako integralnego składnika tego polskiego dworku i tego świata artystów, jest dowodem niezmiernej bystrości wyczucia u Wyspiańskiego. Była to epoka, gdy separatyzm rasowy nie zarysował się jeszcze tak ostro, gdy element semicki niezmiernie czynnie i szczerze zresztą współdziałał w życiu umysłowym polskim. Takich Rachel było w Krakowie dużo; one wypełniały czytelnie dla kobiet, wypożyczalnie książek, teatry, koncerty. I niezmiernie interesującą jest właśnie ta rola Racheli na weselu bronowickim. Ta „chałupa rozśpiewana” „trzęsie się od poezji”, ale Rachela poezję tę niejako zorganizuje, ona daje kaprysowi poety z *Wesela* akcent woli, praktyczne ujście; ona aranżuje — o mało nie powiedziałem finansuje — zjawienie się Chochoła. Jej samej nie pojawi się żadne widmo, na to jest za pozytywna; ona pozostaje za kulisami, jakby coś w rodzaju impresaria tego *Wesela* duchów. Coś z Racheli dźwięczało niewątpliwie w ta-

kim Wilhelmie Feldmanie⁵⁷, apostołe „Młodej Polski” lub w wydawcy pism Norwida, Jakubie Mortkowiczu.

Autentycznymi, z zachowaniem imion i nazwisk, są postacie chłopskie: Klimina, wspa-
niała baba wiejska, mająca pod czterdziestkę,
pełna ochoty zarówno do swatów, jak do oł-
tarza; olbrzymi pod powałę Czepiec, w które-
go ramionach drżały od nowej emocji miejskie
panienki; autentycznym jest „Nos”, czyli ma-
larz Tadeusz Noskowski; lub może kombinacja
Noskowskiego z malarzem również, Stanisła-
wem Czajkowskim.

Ten Stanisław Czajkowski wsławił się na
tym weselisku następującym czynem; dobrze
napity, przeleżał się nieco na paltach, po czym
wstał, chwiejnym krokiem wszedł do izby, gdzie,
już nad ranem, kiwali się sennie pod ścianą
bronowiccy gospodarze, i rzekł do nich; „A te-
raz ja wam powiem, co to jest secesja”. To rze-
kłszy, zwałił się jak długi pod stół.

⁵⁷*Feldman, Wilhelm* (1868–1919) — pochodzący z rodziny żydowskiej krytyk i historyk literatury. [przypis redakcyjny]

W ogóle Nos to w *Weselu* figura godna uwagi. Nos to jest cała przybyszewszczyzna, której dwuletni okres święcił się w Krakowie bezpośrednio przed *Weselem*. I Wyspiański przeżył ten okres, ale jako pilny widz i obserwator; poza tym przybyszewszczyzna spłynęła koło niego bez śladu. Brakło może głównego klucza do porozumienia: Wyspiański nie pijał. Kiedy raz, pamiętam, któryś z „paczki” musiał go do picia, mówiąc: „no, niech się pan napije, dla fantazji”, Wyspiański odparł z uśmiechem: „ja fantazję mam zawsze, a po wódce mnie głowa boli”.

„Przybyszewszczyzna” w *Nosie* wyraża się mnóstwem rysów. Przede wszystkim pijaństwem. Brać artystyczna pijała zawsze, ale za Przybyszewskiego picie wzniosło się do wyżyn obrządku, misterium, zasady: „Piję, piję, bo pić muszę”... A tuż potem: „Szopen gdyby żył, to by pił”... Ten „szopenizm” to też echo Przybyszewskiego, fanatycznego apostoła Szopena. Owo zagadkowe „ram tam tam tam tam”, które w ustach Nosa zastanawiało może czasem

którego z czytelników *Wesela*, to niewątpliwie nic innego, tylko fraza z preludium A dur Szopena, które Przybyszewski godzinami potrafił grywać w chwili największego napięcia, waląc coraz wścieklej, coraz rozpaczliwiej w klawiaturę. I więcej znalazłoby się cech przybyszewszczyzny w *Nosie*: pewne aktorstwo desperacji, owo: „na plan pierwszy wstąpić muszę”, i echa „nadczołowieka”: — „Bonaparte, ten miał nos” etc. W ten sposób tą jedną figurą Wyspiański otwiera — dla wtajemniczonych — okno na cały dwuletni bujny okres krakowskiego i polskiego życia artystycznego. Nos, ten maruder przybyszewszczyzny, odcina się od tego całego środowiska tragicznie groteskową plamą.

Chciałbym w tym miejscu potrącić jeden szczegół, na który zwrócił mi uwagę w rozmowie o *Weselu* wykwiniony znawca zarówno literatury, jak muzyki, Witold Noskowski, a mianowicie do jakiego stopnia *Wesele* urodziło się z rytmu, z elementu muzyki. Wyobraźmy sobie ten maleńki dworek, tę chałupę istotnie „rozśpiewaną” po brzegi, pełną zawziętego a pry-

mitywnego dudlenia chłopskiego, rytmicznego tupotu nóg i przyśpiewek; i wyobraźmy sobie Wyspiańskiego, który całą noc, nie tańcząc i prawie nie rozmawiając, stoi oparty o futrynę drzwi. Ten rytm musiał na niego tak działać, jak jednostajny turkot kół pociągu, pod który mimo woli w umęczonej głowie posuwają się jakieś natrętne teksty. Jestem prawie pewien, że w ten sposób urodziła się rola Chochola. Ale nie tylko ona. Całe *Wesele* przepojone jest rytmem, najróżniejszymi rytmami, niesłychanym bogactwem rytmów; wiersz to płynie posuwistym polonezem, to znów przytupuje przekorną i zadzierzystą nutą krakowską. I w tej rytmice *Wesela*, w tym — podświadomym dla słuchacza — muzycznym działaniu utworu, tkwi niewątpliwie w znacznej mierze jego wnikliwy czar, jego przyczepność, która sprawia, że *Wesele* stało się niewyczerpaną kopalnią cytatów, że mnóstwo ludzi umiało je prawie na pamięć. Dodajmy, że Wyspiański był organizacją niezmiernie wrażliwą na muzykę; i w ten sposób zbliżymy się też nieco do tego najoryginal-

niejszego może z polskich utworów, który cały urodził się z bezpośredniości. Nie znam sztuki teatralnej, w której by rytm, melodia, kolor, słowo i myśl grały równocześnie tak intensywnie i zaplatały się tak ściśle.

Nie tylko osoby *Wesela* wzięte są z rzeczywistości, ale i szczegóły „akcji”: solenne „urządzenie się” Nosa, no i po trosze samego Gospodarza, który przespał dobrych kilka godzin w pełni tej fety. Z fantazji wysnuta jest rola Księdza, którego dialog z Żydem zawsze bywał zresztą znacznie łagodzony i okrawany w wykonaniu scenicznym; a raczej nie z fantazji, ale z faktów, które działy się w którejś z sąsiednich wsi, gdzie istotnie podobno ksiądz na wspólnkę z arendarzem⁵⁸ spekulował na chłopach. Autentyczne natomiast jest opowiadanie Czepca o tym agitatorze, którego na wiecu wyrznął w gębę, ale „nie upod, bo był ścisk”.

Autentycznym też jest epizod Czepca z muzyką. Epizod ten przypomina mi zabawną roz-

⁵⁸arendarz (daw.) — dzierżawca; tu: dzierżawca karczmy, szynku. [przypis edytorski]

mowę, jaką, niedługo po wystawieniu *Wesela*, miałem z Czepcem, znów nieco „zawianym”, na rynku w Krakowie. Wynurzał mi swoje żale na Wyspiańskiego, że go tak podał „na hańbę u narodu”. Okazało się, że szło mu o to: Wyspiański, genialnie wnikający w dusze ludzkie, nie tak dobrze wnikał w portmonetki. Tak samo jak inny wielki poeta popełnia w *Dziejach grzechu* ten błąd, że każe hrabiemu Szczerbico-
wi pół dnia jeździć po Warszawie za „srebrnego rubla” na gumach, i jeszcze dorożkarz nisko mu się uklonił, tak samo Wyspiański mimo woli bardzo boleśnie dotknął Czepca, każąc mu się o „szóstkę” handryczyć z muzyką! Nie sam fakt zabolął Czepca, ale znikomość kwoty: gdzież to pan Wyspiański widział (tłumaczył mi Czepiec), aby gospodarz jak się patrzy dawał szóstkę muzyce, a cóż dopiero prawował się o tę szóstkę!

Co się tyczy zjaw, będących niejako materializacją myśli, najistotniejszego życia duchowego, działających osób, uderzyć musi głęboka logika charakterów, z jaką je wprowadza. Jakże

znamiennym jest, iż Stańczyk, który się zjawia Dziennikarzowi, jest przede wszystkim myślą, Wid pojawiający się poecie fantazją, a gość Gospodarza, Wernyhora, przede wszystkim obrazem. Stańczyk zjawia się Dziennikarzowi w postaci Matejkowskiego Stańczyka; wiadomo, iż od czasu głośnej *Teki Stańczyka*⁵⁹ ów Zygmuntowski błazen był symbolem stronnictwa konserwatywnego, skupiającego się przy dzienniku „Czas”, przydomkiem, który stronnictwo samo stosowało do siebie zaszczytnie, a inne do niego szyderczo. W pokoju Rudolfa Starzewskiego, nad kanapą, wisiał szkic Matejki do Stańczyka. Istnieje portret Jacka Malczewskiego (malowany już po *Weselu*), przedstawiający R. Starzewskiego w stroju i pozie Stańczyka.

⁵⁹*Teka Stańczyka* — pamflet polityczny autorstwa Józefa Szujskiego, Stanisława Tarnowskiego, Ludwika Wodzickiego i Stanisława Koźmiana (grupy konserwatystów, nazywanych potem *stańczykami*), opublikowany początkowo w krakowskim „Przeglądzie Polskim” (1869), a następnie jako osobny druk (1870); pamflet ten miał formę 20 listów pisanych rzekomo przez Stańczyka, błazna Zygmunta Starego i krytykował szlachtę polską za awanturnictwo oraz anarchię, obciążał ją winą za utratę własnej państwowości, równie krytycznie odnosił się do powstań narodowych, proponował zaś jako program pozytywny działanie w ramach struktur politycznych Austro-Węgier. [przypis edytorski]

IV

Aby dobrze zrozumieć plastykę tych zjaw Stańczyka, Branickiego, a zwłaszcza Wernyhory, trzeba sobie uprzytomnić, że Kraków był terenem całej działalności Matejki i był niejako przesiąknięty duchem wielkiego malarza. Nie mówię już o Wyspiańskim samym: i on, i Tetmajer byli uczniami Matejki, pomocnikami jego przy polichromii Mariackiego kościoła — ale i całe miasto. Dam jeden zabawny przykład. Jedyny przez długi czas w mieście „gabinet” w Grand Hotelu, salka, w której odbywały się wszystkie wytworniejsze pijaństwa, miała ściany ozdobione szeregiem heliograviur z obrazów Matejki; tak że „wstawiony” gość widział same takie sceny: tu Rejtan z rozchlaśtaną na piersiach koszulą, tam Warneńczyk składa się kopią, w głównym zaś miejscu sam „pan-dziad z lirą”, ku któremu nieraz podnoszono życzliwie kubek z napojem. Któż z nas ówczesnych młodych Krakowian mógł, w tych warunkach, nie być jak najpoufalej z Werny-

horą! Mógł Wyspiański wprowadzić tę postać bez wszelkiej obawy niezrozumienia.

I właśnie w tej postaci Wernyhory, tak działającej na fantazję malarską, szumnej, barwnej, znakomicie jest uchwycony nerw duszy Gospodarza — Tetmajera. I w tym, co mówi Wernyhora, nie tyle chyba dopatrywać się należy wskazań Wyspiańskiego dla narodu — mimo że w zastosowaniu do późniejszych wypadków jest w tych słowach coś zadziwiająco proroczego — ile raczej: promieniowania tej arcy-polskiej natury Gospodarza i jej zamaszystego sposobu odbudowania ojczyzny. Wizja Wernyhory to może odpowiednik do owego cudownego „(...) i jakoś to będzie” sędziego Soplicy.

Figura Gospodyni wiernie zachowała typ swego oryginału, jedynie może stała się dojrzalsza, poważniejsza, gdyż Hanusia Tetmajerowa liczyła sobie wówczas niespełna dwadzieścia siedem lat. Ale była w niej ta sama macierzyńska pobłażliwość, z jaką patrzyła na hałaśliwe zabawy cyganerii krakowskiej w Bronowicach, na przybyszewszczyznę, na zapalone dys-

puty, a bodajże i na samo malarstwo, i na politykę. Mam wrażenie, że w głębi duszy uważała to wszystko na zabawkę, której potrzebują te wieczne duże dzieci — mężczyźni, sprawą, zaś serio była ta zagroda, to obejście, nad którym czuwała doskonale, podczas gdy mąż malował i sejmikował, i te zagony, które dokupywała po trochu za obrazki, zamieniając ziemię malowaną na żywą.

W Pannie Młodej większa jest domieszka fantazji, jest ona raczej rozwinięciem tej ślicznej Jadwisi, takiej, jaką mogłaby być, gdyby została bardziej sobą. Wówczas była to dziewczyna nie bardzo przygotowana do „honoru”, jaki ją spotkał. Jadwisia Rydlowa nie była z natury zbyt inteligentna, ale byłaby zapewne tak jak Tetmajerowa wyrosła na dzielną i dorzeczną gospodynię, nieszczęściem Rydel zaczął ją forsownie „podnosić” do siebie, czytywać jej swoje wiersze i dramaty, opowiadać jej o królach polskich, wieść z nią kształcące rozmowy i zatumaniał ją po roku małżeństwa do tego

stopnia, że chodziła zupełnie jak błędna owca, wygłaszając pociesznie konwencjonalne zdania.

Trzecia siostra, Marysia, to była dziwna dziewczyna. Śliczna, najładniejsza może ze wszystkich trzech, malowana nieraz przez najznakomitszych malarzy, miała w sobie coś zgaszonego, jakąś melancholię. Snuło się istotnie koło niej jakieś fatum śmierci: pierwszy jej narzeczony, malarz, De Laveaux, zmarł gdzieś na suchoty na obczyźnie (on to jest owym „widmem” w akcie drugim); „Wojtuś”, młody chłop, za którego wyszła potem, również zmarł na suchoty po roku małżeństwa. Wyszła jeszcze raz za mąż za jakiegoś niewydarzonego ciaracha z miasta, diurnistę z magistratu. Tak to w trzeciej edycji zdegenerowało „przymierze” miasta ze wsią. Ten „trupci ciąg”, snujący się koło jej postaci, przedziwnie umiał Wyspiański wydobyć w paru scenach drugiego aktu.

Tyle sobie przypominam naprędce anegdoetycznego materiału *Wesela* — to są elementy, z których Wyspiański umiał wyczarować ten

kawał polskiej duszy, polskiego życia, żywej Polski. A uczynił to tak po prostu, jak po prostu i naturalnie należy grać ten utwór. Umiał w nim pomieszać wszystkie tony: powagę, szlachetność, rozmach, iskrzącą złośliwość, sarkazm, to znów dreszcz spełniającej się jakiejś tajemnicy. I sądzę, że ta świadomość, jak bardzo związany jest z rzeczywistością ten utwór, który prawie natychmiast po ukazaniu stał się jakby Symbolem, może go nam uczynić jedynie tym żywszym, a zarazem dać odczuć ten moment jedyne w swoim rodzaju wzruszenia, które przeżywaliliśmy, my, bliscy narodzinom *Wesela*, patrząc, jak niemal w naszych oczach odbywa się ta cudowna transsubstancjacja⁶⁰ życia w sztukę, w poezję.

Chciałbym jeszcze dodać kilka słów o historii *Wesela* na scenie. Utwór ten był czymś tak nowym, tak odbiegającym od wszystkiego, co było, tak bezceremonialnie wciągającym

⁶⁰*transsubstancjacja* (z łac.) — przeistoczenie; w teologii katolickiej przemiana substancji podczas Eucharystii: chleba w ciało, a wina w krew Chrystusa. [przypis edytorski]

lokalną i aktualną anegdotę w swą budowę, iż nic dziwnego, że w pierwszej chwili wywołał osłupienie. Faktem jest (i dość naturalnym), że nikt przed premierą *Wesela* nie zdawał sobie sprawy z jego doniosłości artystycznej i ideowej. Bądź co bądź, wielką zasługą ówczesnego dyrektora krakowskiego teatru Józefa Kotarbińskiego jest, iż bez wahania przyjął do grania ten utwór. Jestem przekonany, że nigdzie na świecie sztuka tak odbiegająca od wszystkich prawideł i konwencji teatralnych, nie mogłaby się pojawić od razu na oficjalnej scenie. Toć takie „klasyczne” sztuki, jak Becque’a i Portoriche’a, musiały zaczynać od wolnej sceny Antoine’a. Próby w teatrze szły jakby po omacku, tym bardziej, że Wyspiański odmawiał zazwyczaj wszelkich komentarzy dla wyjaśnienia swych myśli i zamiarów. Ten i ów aktor zwracał rolę, mówiąc, że w takim „bzdurstwie” grać nie będzie. I poezja, wraz z intuicją artystów, dokazała tego cudu, że ci sami aktorzy grali znakomicie, z odczuciem i zapałem, które rosły z każdym przedstawieniem. Co więcej, od tego

pierwszego krakowskiego przedstawienia wiele ról stało się prototypem, wskazującym właściwy styl.

Publiczność była oszołomiona, zdezorientowana. Na pierwszy plan wysuwał się element „plotki” w *Weselu*, element „nietaktu” towarzyskiego. Włodzimierz Tetmajer i Rydel napisali do Wyspiańskiego listy z wymówkami. Niewiele w pierwszej chwili dopomogła publiczności krytyka. Jeden z recenzentów wybitnego krakowskiego pisma napisał, że „myślą przewodnią tej sztuczki jest zachęcić inteligencję, aby się zbliżała do ludu, a choć nie brak przy tym małych dysonansów, ale całość się kończy pogodnie wesołym oberkiem”... Dopiero krytyk „Czasu”, Rudolf Starzewski, szeregiem głębokich i świetnych felietonów poddał ton, w jakim należało pisać o *Weselu*. Od tamąd powodzenie i znaczenie *Wesela* rosły lawinowo. Stara generacja wprawdzie pozostała oporna: sędziwy Stanisław Tarnowski (ozeniony z Branicką), po scenie z Hetmanem wyszedł ostentacyjnie z łoży; później napisał i wy-

dał, ściśle anonimowo, parodię *Wesela* pt. *Czyścić Słowackiego*. Henryk Sienkiewicz, wysłuchawszy *Wesela*, oświadczył, wychodząc z teatru: „No, albo ja jestem grafoman, albo to jest grafoman”... Potomność osądziła, że żaden z nich obu. Ale w młodszym pokoleniu zapal był ogromny. Można to ocenić z poczwórnego odczytu, który się odbył w Krakowie w kilka tygodni po premierze *Wesela*; dali kolejno swoje impresje: Grzymała-Siedlecki, wówczas młodociany redaktor „Młodości”, a w przyszłości świetny i bystry monografista Wyspiańskiego: Konrad Rakowski, Edward Leszczyński i Stanisław Lach (za którego czytał St. Sierosławski). Ten ostatni plód rabinackiego umysłu St. Lacha nosił tytuł „*Hipokryzja „Wesela”*”, wywodził, iż główną postacią sztuki jest Nos i określił to następującą definicją: „Nos jest wykładnikiem strony odwrotnej”... Tak wczesnie wtedy zaczęła się misja „wyjaśniającego” zaciemniania tego utworu. Tymczasem cały Kraków mówił cytatami z *Wesela*: wedle powiedzenia malarza Stanisławskiego, „tak się cały Kraków

»rozweselił«, że kiedy zawołać na dorożkarza, odpowiada słowami Chochoła: »Kto mnie wołał, czego chciał?«”.

Od tego czasu, jak wspomniałem, pisano o *Weselu* dużo, i bardzo uczenie. Może za bardzo. Nie wiem, czy przez to nie zatraciła się nieco bezpośredniość wrażenia; czy nie zanadto wpojono publiczności przekonanie, że to jest sztuka trudna, głęboka, ciemna, symboliczna; czy nie za wiele zaczęto na temat *Wesela* medytować, zamiast bawić się nim i wzruszać.

W połowie XIX wieku ukazała się gdzieś w Europie broszura, w której autor dowodzi, że Napoleon Bonaparte nigdy nie istniał, a że jego historia jest tylko symbolem mitu słonecznego. Niech się nie stanie coś podobnego z *Weselem*; nie zapominajmy, że było ono rzeczywistością, a jeżeli stało się poniekąd symbolem, pozwólmy, niech ten symbol wnika w nas bezwiednie, my zaś poddajmy się, bez troski o resztę, temu bogactwu słowa, obrazu, rytmu i uczucia, jakie płyną ku nam w tym utworze ze sceny.

1922

ZATARG BOHATERÓW *Wesela*

Przeglądałem w tych dniach papiery po Elizie Pareńskiej. Listy Przybyszewskiego, Wyspiańskiego, Wojtkiewicza, Włodzimierza Tetmajera, Edwarda Leszczyńskiego, Sewera, Reymonta, Asnyka, bileciki Tadeusza Pawlikowskiego i wielu jeszcze innych, którzy przesunęli się przez ten jedyny w swoim rodzaju salon krakowski. I przyszło mi na myśl, że w historii wczorajszego Krakowa, do której wespół mimo woli zbierają mi się materiały, nie może braknąć imienia tej niezwyklej kobiety. Gdzie chodzi o przejawy życia artystycznego, rezultat jest poniekąd wypadkową dwóch czynników: ziarna i gleby; ci, którzy indywidualnością swoją tworzą atmosferę dla sztuki, są jej czynnikiem bardzo istotnym, choć często nieznanym.

Do ostatniego dziesiątka lat ubiegłego wieku Kraków miał piętno arystokratyczne. By-

ło kilka pałaców, „towarzystwo”, a pod tym — bałuccyzna⁶¹; komiczny świat „radców pana radcy” lub „gęsi i gąsek”. Wszystko to, co wyrastało nad poziom tego mieszczaństwa, wchodziło po trosze w zaczarowany krąg „towarzystwa”, tym potulniej dzieląc jego ciasnoty i „dobrze myślące” uprzedzenia. Stanisław Tarnowski na Szlaku⁶² był jak papież w Watykanie; władał Akademią, Uniwersytetem, polityką, prasą. Kto tej władzy był nie po myśli, nie miał tu co robić! Niedawno przypominano dzieje historyka Waliszewskiego, który musiał wprost z kraju się wynosić, bo nie szedł na rękę krakowskim autorytetom. W literaturze Tarnowski cenił przykładną mierność; zrozumiałym jest, że nazwiska Wyspiańskiego, Przybyszewskiego, Kasprowicza, musiały się stać straszakiem dla krytyka, który już po drugiej serii poezji

⁶¹*bałuccyzna* — termin utworzony od nazwiska Michała Bałuckiego (1837–1901), komediopisarza, publicysty i autora powieści pozytywistycznych; *Radcy pana radcy* oraz *Gęsi i gąski* to tytuły dwóch z szeregu jego komedii, kontynuujących tradycję Fredrowską, pewną dozę krytyki obyczajowej osładzających dobrodusznym humorem. [przypis edytorski]

⁶²*na Szlaku* — Pałac na Szlaku mieszczący się przy ul. Szlak w Krakowie; od poł. XIX w. należał do rodziny Tarnowskich. [przypis edytorski]

Kazimierza Tetmajera pytał w „Przeglądzie Polskim”, czy miło byłoby panu Tetmajerowi, gdyby ktoś, przejąwszy się jego poglądami, oblał naftą Mariacki kościół i podpalił? Brak sprzyjającego środowiska szczególnie dawał się odczuć malarstwu, które w najbardziej dosłownym znaczeniu potrzebuje odbiorców. W którymś ze swoich ogłoszonych drukiem listów Wyspiański zwierza się, że nie może rysować, bo nie ma za co kupić ołówków i papieru; w innym upoważnia Lucjana Rydla, aby sprzedał kilkanaście jego prac za łączną sumę 400 guldenów. I pertraktacje o te czterysta guldenów z nabywcą trwają długo... Słynną jego *Św. Salomeę*⁶³ na próżno ofiarowano na sprzedaż za 100 guldenów. A Wyspiański był już wtedy znany, niemal sławny: cóż dopiero mówić o innych!

Arystokracja, poza Edwardem Raczyńskim, który gromadził Jacka Malczewskiego, obra-

⁶³*Św. Salomea* — właśc. *Błogosławiona Salomea*, chodzi tu zapewne o rysunkowy szkic do witraża zdobiącego dziś kościół franciszkanów w Krakowie. [przypisy edytorski]

zów nie kupowała; nie licowałyby z jej antykami, z portretami przodków, z jej przysłowio-
wym skąpstwem wreszcie; umiano jedynie ka-
rotować⁶⁴ artystów na przeróżne „cele”. W miesz-
czańskich domach wisiały oleodruki lub wi-
doczki i główki „ręcznej roboty”, co stanowiło
ich jedyną rekomendację.

Najbardziej tedy widomą cechą salonu pani
Elizy stało się, że był to pierwszy bodaj w Kra-
kowie dom, który zaczął kupować obrazy i to
z rozmachem zdolnym zaniepokoić ludzi po-
ważnie myślących. Poważnie też ostrzegano mę-
ża, czy nie należałoby rozciągnąć kurateli nad
lekkomyślną i marnotrawną osobą, która za-
miast rywalizować z kumoszkami na bizute-
rie, pokrywała ściany najpiękniejszymi pastela-
mi (żeby choć olejne!) Wyspiańskiego. Scho-
dzono się oglądać te wariactwa i przez natu-
ralną selekcję — ile że te obrazy jednych przy-
ciągały, drugich wystraszały — dom, przedtem

⁶⁴karotować (z fr. *carotter*) — naciągać, oszukiwać, wycygnąć, wyłudzać.
[przypis edytorski]

mieszczkański, zmienił się w salon artystyczno-literacki.

Niebawem zresztą mania pani Lizy stała się zaraźliwa. Mieszkanie bez obrazów zaczęło być wstydem. Kupowanie najlepszych płócien stało się zwłaszcza pasją lekarzy krakowskich, wśród których dziś można spotkać wspaniałe i słynne już kolekcje; a nie znajdzie się w Krakowie tak skromnej poczekalni lekarskiej z owego pokolenia, gdzie by nie było na ścianie interesujących dzieł sztuki. Rzecz prosta, że ten wzmożony popyt podniósł kurs giełdowy wszelkiego zamalowanego płótna, dzięki czemu artyści, stłoczeni w małym i biednym Krakowie, nabitym ponad stan finansowy talentami, mogli żyć i tworzyć.

A gdy chodziło o wytchnienie po pracy, w otwartym domu Pareńskich lub w letniej ich willi w Tenczynku, znajdowali serdeczną gościnność. Gdyby ktoś w skrócie i z lekceważeniem chronologii sportretował salon pani Lizy, byłby to piękny dokument. Stolik winta, do którego siadają Jacek Malczewski, Asnyk,

Wyczółkowski, Stanisławski, Feliks Jasiński. Kibicuje Władysław Żeleński, zatykając sobie uszy, bo właśnie Przybyszewski genialnie znęca się nad wspaniałym Bechsteinem. Opodal dysputuje Sewer z Arturem Górskim i z Reymontem; Rydel i Starzewski przekomarzają się z panienkami, a Wyspiański przysłuchuje się roz-targniony na pozór, ale utrwalając każde słowo, a zwłaszcza każdy ton. W ostatnim pokoju, przy pianinie — „kabaret”: Trzcński robi minki primadonny, Karol Frycz komponuje z różnobarwnych szmatek kostiumy na jakąś improwizowaną maskaradę, „Sichuła” spotwarza ludzkość swymi karykaturami, Wojtkiewicz wyzywa na groteskowe rymy Edzia Leszczyńskiego; Szczepkowski, Staś Czajkowski, Rzekki... i co było jeszcze utalentowanego w ówczesnym Krakowie, wszystko pod patriarchalną opieką jednej z najcharakterystyczniejszych figur ówczesnego Krakowa, brzuchacza z matjowską twarzą, kanonika Drohojowskiego.

Innego dnia znów inny program: muzyka kameralna. Bo pani Liza jest skora do wszyst-

kiego; kobieta najlepiej w Krakowie grająca w wintę, z równą pasją siadała do fortepianu — lub sadzała do niego Franciszka Bylickiego — gotowa na wszystkie tria, kwartety, kwintety. Pracuje kilka lat nad stworzeniem pierwszej cywilnej orkiestry symfonicznej w Krakowie (była tylko wojskowa); to znów, podżegana przez Jerzego Warchałowskiego, zarzuca sieci na samego prezydenta miasta, aby mu wszczepić trutkę „sztuki stosowanej”. Bo pani Liza jest dyplomatką pierwszej klasy; gdy sobie coś ułoży, nic się jej nie oprze. Osiwiała bardzo wczesnie, pudrowała włosy biało, co dawało jej kształtnej głowie charakter osiemnastowiecznej markizy, z wiecznie młodą figurą, prosto a wytwornie ubrana, miała w życiu ówczesnego Krakowa swoją odrębną fizjonomię, swoją jakby „udzielność”; salon jej był bardzo realną siłą. Równego usposobienia, zawsze pogodna, oddychająca jakimś kojąco działającym optymizmem, nieuznająca przeszkód i trudności, działała ożywczo na wszystkich, którzy się z nią stykali.

Codziennym prawie gościem, zanim choroba zamknęła go w domu, bywał tam Wyspiański, który lubił rozmawiać z panią Lizą, oczywiście na swój sposób, to znaczy raczej snując własne myśli, niż potrzebując ich wymiany. W pełnym szacunku dystansie trzymały się od niego dwie córki domu (trzecia, Lizka, później Edwardowa Leszczyńska, była jeszcze dzieckiem), ale wystarczyło Wyspiańskiemu tego zetknięcia, aby udorośliwszy trochę te dwa podlotki, wprowadzić je do *Wesela*.

Obie dziewczyny, wychowane od dziecka w tej przesyconej sztuką i inteligencją atmosferze, rozpieszczone przez uczącego je religii kochanego kanonika, od którego przy tej sposobności nauczyły się pić koniak, palić i grać w bezika, były zjawiskiem bardzo oryginalnym: Maryna, której przyjaźń upiękniała później ostatnie lata skazanego na młodą śmierć Witolda Wojtkiewicza, i Zosia, do której, gdy była trzynastoletnią dziewczynką, Sewer (Maciejowski) zwracał następującą, na pierwszym wydaniu jego *Legendy* utrwaloną drukiem dedykację:

„Zosi Pareńskiej.

Droga Zosiu! *Legenda* myślą i ideą twoją jest. Nieś ją jako lampkę w ciemnościach — świt już niedaleko. A możeś ty sama świtem i różaną jutrzenką?

Sewer”.

„Młody poeta przysłał mi dla Ciebie, Zosiu, dedykację *Legendy*. Z radością umieszczam ją na drugiej karcie”.

Oto owa zamieszczona na drugiej karcie dedykacja młodego poety, którym był — Artur Górski:

„Oczyrna pełnymi lęku — rozglądasz się za przeznaczeniem — które przyniosłaś z sobą, lecz go nie znasz. Daj rękę, będę ci wróżył.

Jesteś z tych — co idą przez ziemię jakoby z gwiazd zesłane, — gwiazdy w dłoni niosące... Więcej ty ludziom z sobą przynosisz, — niż oni tobie ofiarować zdol-

ni — brać też będą z ciebie — godni —
a może niegodni, — a może niegodni...

Więc, patrząc na cię, — czuję żal i trwo-
gę; — skąd żal, sam nie wiem, a choć
o ciebie trwożny, — ty bądź spokojną.
Dusza twych oczu — jak białe gołębie wśród
burzy — uderzenia twego serca — jak śpiew
niebian nad rozpaczłą wrzawą ziemi... Bądź
spokojną. Cokolwiek ci świat zabierze, —
nie zabierze ci duszy twych oczu, — nie
zabierze ci twego serca — nie zabierze ci
Ciebie...”.

Rzecz prosta, że w salonie, gdzie spotykało
się tyle oryginalnych i różnorodnych indywi-
dualności, nie trudno było o charakterystyczne
epizody, że anegdotę zbierało się tam garściami.
Już sama kombinacja winta i sztuki! Sta-
niśławski, doskonały gracz, olbrzym-pasjonat
pąsowiejący przy najmniejszym oporze, pod-
skakujący na krześle, kiedy mu partner nie za-
grał tak, jak on sobie życzył, ledwie mogący się
doczekać końca rozgrywki, aby ryknąć: „Cze-

góż pan nie wyszedł w kier?”. „Bo nie miałem, panie profesorze” — sumitował się napaźnięty. „Ech, takie pan dzieciństwa gada!” — wybuchał nieprzytomny już z gniewu „profesor”. Na bajkę zakrawa, a jednak najprawdziwszą prawdą jest scena, gdy Stanisławski rzucał Wyczółkowskiemu (grającym, co prawda, jak noga) kartami w łeb, rycząc: „z durniami nie gram”. Zrobił się popłoch, Wyczół się rozplakał, oprzytomniały Stanisławski zaczął go ścisnąć, no i partia potoczyła się dalej.

Otóż przeglądając listy pisane do pani Lizy, znalazłem takie, które przypomniały mi to i owo zabawne wydarzenie. Jeden to list Włodzimierza Tetmajera: wydaje mi się dla postaci Gospodarza z *Wesela* tak znamienity, że mimo niewinnie-poufnego charakteru tej epistoły, pozwolę ją sobie przytoczyć. Ale przedtem parę słów komentarza.

Włodzio Tetmajer, przy pozorach tężyzny, był w istocie wątłego zdrowia, neurastenik i mimo swoich słynnych „kurdeszów” mający sła- biutką i niewytrzymałą do kieliszka głowę. Od

czasu od czasu, kiedy czuł się niewyraźnie na zdrowiu (nerwica), poczciwa Sewerowa Maciejowska zaciągała go przemocą do znakomitego profesora Pareńskiego. I stale odbywało się co następuje: profesor, zbadawszy go sumiennie, zabraniał mu najsurowiej wszelkiego alkoholu, bodaj kropelki wina; zapisywał mu receptę, po czym Włodzio przechodził do salonu pani Lizy i zwykle zostawał na kolacji, w czasie której Pareński, już nie lekarz, ale gościnny gospodarz, czuwał troskliwie aby... jego kieliszek był stale zaopatrzony. A oto dokument:

„Wielmożna Pani Dobrodziejko!

Dawno już nie zdarzyło mi się do tego stopnia się zapomnieć przy kieliszku jak w piątek. Przypuszczam, że mogłem powiedzieć jakie głupstwo i zresztą sam fakt bycia nietrzeźwym jest już dostateczną winą.

— Poczuję się tedy do obowiązku przeproszenia W. Panią za tego rodzaju sąsiedztwo i zabawę, jaką Panie siedząc

przy mnie mieć mogły. Proszę najuprzejmiej łaskawie mi darować, jeśli co głupiego powiedziałem, bo sam nie bardzo pamiętam, co gadałem. Tak to nie leży w moim usposobieniu i tak się nie zgadza z moim przekonaniem, aby wobec Pań upijać się i puszczać na jakieś dowcipy lub lekkie rozmowy, że czuję się prawdziwym zbrodniarzem i źle wychowanym człowiekiem.

— Jeśli to możebne, to proszę o łaskawe przebaczenie, zależy mi bardzo na tym, aby sąd Pani o mnie nie był zbyt surowym.

— W nadziei, że uzyskam przebaczenie, rączki W. Pani całuję i wyrazy najgłębszego szacunku załączam.

Włodzimierz Tetmayer”.

Znając kochanego Włodzia, jestem przekonany, że jego występki musiał być bardzo niewinny. (Przypomina się owo cudowne: „a, zrobiłem wstyd niewieście” Cześnika u Fredry).

Toż samo owo „pijaństwo” po paru kieliszkach wina nie mogło być zbyt ciężkie. Niech więc, ku zawstydzeniu dzisiejszej pędzonej na wódce epoki, znajdzie się tu ten list jako dokument dworności i wrażliwości sumienia dawnych Polaków.

Inny dokument tyczy Lucjana Rydla. Lutek był w tym z dawna z rodziną Rydlów zaprzyjaźnionym domu prawie domowym. Żartobliwie (dziewczęta były jeszcze prawie dziećmi) dawał sobie tytuł „zięcia” i panią Lizę stale nazywał „belmerą⁶⁵”. Znalazłem jakiś ozdobny egzemplarz *Zaczarowanego koła* z taką jego rymowaną dedykacją: „Książka nie wyjdzie jak za dwa tygodnie — lecz ja, belmerę pragnąc uczcić godnie — pierwszy egzemplarz, bity na papierze — czerpanym, niosę w podarku belmerze”. W dzieciennym pokoju „na Wielopolu” był Lutek Rydel — jak wszędzie po trosze — lubiony i ośmieszony zarazem. Głównie z powodu gadulstwa, które było czymś jedynym w świecie, gargantuicznym, czymś, cze-

⁶⁵*belmera* (z fr.) — teściowa. [przypis edytorski]

mu podobnego przykładu nie zdarzyło mi się spotkać. Jeden epizod z czasu jego przedślubnych perypetii, gdy Lutek zagadywał się dubeltowo. Jednego dnia przychodzi na „Wielopole” o wpół do trzeciej popołudniu; na chwilę, z czymś się zwierzyć. Pani domu częstuje go czarną kawą. „Dziękuję, nie mogę, zaraz muszę lecieć”. — „Niechże pan choć siada, panie Lutku”. — „Nie mogę, muszę zaraz iść”. Rezultat był ten, że około godziny pierwszej w nocy pani Liza telefonowała do „Czasu” do Starzewskiego, błagając go, aby przyszedł zabrać Rydla, bo już nie ma sił; zagadał ją na śmierć!

Drugi epizod. Z okazji pięćsetlecia Akademii zjechali różni znakomici cudzoziemcy, zapraszani po krakowskich domach. Między innymi przyjaciel Polaków, Gabriel Sarazin, autor książki o naszych wieszczach. Ten Sarrazin trafił na Lutka Rydla: i oto stoczył się najosobliwszy turniej. Sarrazin, jak to Francuz, chłop mowny, ruszył z kopyta; aliści gdy przerwał sobie dla nabrania oddechu, Rydel wpadł mu w sło-

wo i już nie popuścił! Francuz bladł, wiadł, aż w końcu zwiadł zupełnie. Dziewczęta i ich goście obserwowali przez uchylone drzwi tę scenę, zupełnie jak nurkowie obserwują walkę potworów na dnie morskim. W pewnym momencie Maryna weszła do pokoju i podała na talerzyku Rydłowi ciągutkę. Rydel wziął, nie patrząc, połknął ciągutkę i gadał dalej.

Rydel, chłopiec najpoczciwszy i najuczynniejszy w świecie, przy tym namiętnie lubiący wykladać, zaproponował pani Elizie, że będzie jej dziewczętom dawał lekcje historii sztuki.

Otóż niewdzięczna Maryna rychło zaczęła się buntować przeciw tym lekcjom, utrzymując zuchwale, że to jest tylko pretekst do wygadania się prelegenta i że ona nie ma żadnej ochoty być ofiarą. Gdy matka ani słyszeć nie chciała o przerwaniu lekcji, chytra dziewczynka wywołała pod pierwszym lepszym pozorem jakiś zatarg z ofiarnym nauczycielem. Stąd wynikła ta korespondencja:

Kraków, d. 10. I. 1900.

Kochana Marynko!

List ten adresuję wprawdzie na ręce Mamy, bo nie chcę poza jej plecami zwracać się do Maryni, ale zapewniam, że piszę go bez porozumienia się z mamą, z własnej ochoty i z bardzo szczerzej życzliwości dla Maryni.

Prawdopodobnie Marynka odczuwa dość żywo wewnętrzne niezadowolenie z tego, co zaszło. Chęć postawienia na swoim nie zawsze bywa dobrym doradcą; i mnie samego nieraz upór chwilowy wprowadził w położenie, z którego trudno potem było mi znaleźć wyjście niewłaczające miłości własnej.

Zdaje mi się, że rozumiem dobrze położenie Maryni. Ale im dłużej to będzie trwało, tym trudniej będzie wybrnąć, tym trudniej będzie Maryni zawrócić. Dziś jeszcze jest czas, dziś jeszcze potrafimy oboje w krótkim czasie puścić w niepamięć

to, co zaszło. Rozumiem, że Maryni może być niełatwo zrobić pierwszy krok; — więc ja go robię, bo mogę zrobić go bez upokorzenia i poniżenia. Nie pisałbym, gdybym nie znał jednej zasadniczej strony charakteru i usposobienia Marynki: rzetelności i prawości. Inna, mniej od Maryni rzetelna, może by sobie powiedziała: „proszę mnie, dobijają się — postawiłam na swoim. Teraz ustąpię z łaski!”. Marynia tego sobie nie powie, wiedząc dobrze, że tak nie jest. Marynia zrozumie ten list tak, jak był pisany. Chcę nim po prostu przemówić do serca i rozsądku Marynki, chcę ułatwić i uprościć Maryni drogę do powrotu, oszczędzając upokorzenia. Kiedy pomyślę, że Marynia ma zapewne nieraz ochotę naprawić to, co się stało, a w sumieniu swoim czuje, że się stało źle, a tu z każdym dniem ciężej i trudniej naprawić, wtedy żal mi Maryni. Do natur takich jak Marynka trafia się przede wszystkim dobrocią: to było uczucie, któ-

re mi ten list dyktowało. Zobaczę, czy dobrze trafię?

Lucjan Rydel

List ten włożony był w drugi, zaadresowany do pani Lizy:

Kraków, d. 10. I. 1900.

Łaskawa i droga Pani!

Na ręce pani posyłam list do Maryni. Ponieważ nie miałem sposobności porozumieć się z panią przedtem w tym względzie, od pani jedynie będzie zależało, czy Marynia list ten otrzyma czy nie. Zacząłem z dziewczętami wieki średnie, wykładam rzeczy zajmujące i potrzebne do wykształcenia, których można się dowiedzieć, ale tylko z całego mnóstwa książek i podręczników, toteż Marynia odniosłaby zbyt dużą szkodę, nie biorąc udziału w lekcjach. Nie uwierzy pani, jak mi na ostatniej lekcji żal było Maryni, kiedy mówiłem rozmaite szczegóły arcyciekawe, zapamiętane

z paryskich wykładów. Nie wiem, ile tomów przeczytać by trzeba, żeby się tych rzeczy dowiedzieć, i ciągle mi wracała do głowy jedna myśl, że Marynia tego wiedzieć nie będzie. Tak bym pragnął nauczyć dziewcząt wszystkiego, co umiem, choćby w skróceniu, a tu dla jednej chwili nierozsądnego uporu Marynia ma to stracić. Doprawdy, zanadto mi jej żal. Jeśli pani listu mojego nie uzna za zbyt nierozsądny i zbyt niepedagogiczny, niech pani zechce dać go Maryni. Jestem prawie pewny, że wystarczy okazać jej gotowość do zgody, żeby poruszyć w niej żal i ochotę do lekcji, którą sama przed sobą ukrywa przez dziecinną ambicję.

Rączki Pani po tysiąc kroć całuję, Lucjan Rydel.

Cały pan młody z *Wesela* odbija się znów w tym liście: poczciwy i naiwny nieco zarazem. Byłem świadkiem, jak Maryna tarzała się ze śmiechu, czytając ten list, i uprzytomniłem so-

bie, że doktor praw i filozofii, dramaturg i bywalec paryski może być wielkim dzieckiem wobec czternastoletniej dziewczyny.

Taki był zatarg bohaterów *Wesela*; sądzę, że miałem prawo go tu przedstawić. Alboż nie należą do historii?

CICHY JUBILEUSZ⁶⁶

Nie powiem, ażebym był zbytym czcicielem jubileuszów; mimo to jest jeden jubileusz, który bym chętnie obszedł, gdyż data jego budzi we mnie odzew bardzo osobistego sentymentu. A data to ważna dla całego naszego życia literackiego ostatnich czasów i godna, aby ją przypomnieć. W sierpniu bieżącego roku upływa dwadzieścia pięć lat od chwili, gdy Stanisław Przybyszewski przybył do Krakowa, do Polski. Czym był pierwszy okres pobytu Przybyszewskiego w Polsce dla nas wszystkich, którzyśmy mieli szczęście przeżyć go w najbliższym obcowaniu ze „Stachem”, trudno dać wy-

⁶⁶*Cichy jubileusz* — pisane w r. 1923. [przypis autorski]

obrażenie w kilku słowach... trudno byłoby może dać je i w wielu słowach... Co on z nami robił, ten cudowny hipnotyzer dusz — nie wiem; na czym polegał ten magnetyczny wpływ, dobroczynny dla jednych, zabójczy dla drugich, ale tak mocny, że nikt nie mógł zostać nań obojętny? To pewna, że nie był to wpływ czysto literacki; Przybyszewski był jednym z tych artystów, którzy lubują się w kształtowaniu samego życia. Toteż najsumienniejszemu historykowi literatury, który przestudiuje przy biurku teorię „nagiej duszy”, *Confiteor* etc., etc. , tajemnica istotnego oddziaływania „Przybysza” umknie gdzieś między palcami. Nie zdradzi jej rocznik ówczesnego „Życia”, jego namaszczony ton dość fałszywe dałby pojęcie o codziennym bytowaniu tej małej gminy czy sekty, której każdy dzień znaczył się — między jednym a drugim dramatem — jakąś zabawną anegdotą.

Gdzież więc znajdzie wyraz istotny duch owej epoki literackiej i co z niej przechowa się w pamięci? Zapewne nic; rozwieje się w nicość, prze-

padnie, jak tyle ciekawych epok, figur naszego życia artystycznego.

Kiedy z okazji wznowienia w Warszawie *Wesela* zapragnąłem podać publiczności garść osobistych wspomnień związanych z epoką i powstaniem utworu, posypało się na mnie sporo gromów. Przypomnienie owej rzeczywistości, której świadomość pogłębia we mnie tylko uczucie podziwu dla genialnego utworu Wyspiańskiego, a zarazem wydaje mi się nieodzowną dla jego właściwego rozumienia, zdało się niektórym profanacją, zdzieraniem uroku etc.

Widocznie tak już nawykliśmy do odświętnego jedynie obcowania z literaturą, że razi nas wszelki poufalszy z nią stosunek. Wolno się tylko licytować na superlatywy i ogólniki, nie wolno tykać codziennego faktu. Owszem, i o epoce *Wesela* będzie wolno pisać, ale wówczas kiedy ostatni jej świadek zejdzie ze świata, nie zostawiwszy żadnych śladów tego, co mógł widzieć i pamiętać; wówczas zacznie się mozolne i wielce naukowe odkopywanie *realiów Wesela* na podstawie śliskich hipotez i domysłów. To,

co dziś jest profanacją, będzie aktem pietyzmu; to, co dziś jest plotką, będzie „dokumentem”...

Widocznie egzegeza literacka jest po prostu grą towarzyską, w rodzaju „zgadnij zgadula”, gdzie wolno mówić o tym, co się wie z domysłu, a nie wolno o tym, co się *widziało*, bo to jest przeciw regułom gry i psuje zabawę innym? Tylko jak ta wiedza będzie wyglądała!

Niedawno był tego przykład. W jednym z codziennych pism pojawił się fachowy artykuł z powodu 25-letniego jubileuszu *Sztuki*⁶⁷. Epokę tę pamiętam bardzo dobrze i pamiętają wielu moich niestarych rówieśników, ale już dla młodszych o kilka lat historiografów jest ona w istocie „historią”. Jakoż jeden z *literatów* pamiętających tę epokę z osobistych stosunków musiał na łamach owego pisma prostować zasadnicze omyłki fachowca. Tak szybko zacierają się w pamięci fakty.

⁶⁷*Sztuka* — Towarzystwo Artystów Polskich „Sztuka”, grupa artystyczna działająca w Krakowie w l. 1897–1950, organizująca w kwietniu i maju coroczne wystawy; założycielami „Sztuki” byli wybitni malarze: Jan Stanisławski (pierwszy prezes), Józef Chełmoński, Julian Fałat, Teodor Axentowicz, Jacek Malczewski, Józef Mehoffer, Antoni Piotrowski, Włodzimierz Tetmajer, Leon Wyczółkowski, Stanisław Wyspiański. [przypis edytorski]

Świeżo miałem w ręku książeczkę *U ko-
lebki modernizmu*, poświęconą właśnie dobie
literackiej Przybyszewskiego i „Życia”. Młody
autor omawia ją tak, jakby to była jakaś za-
mierzchła epoka znana nam jedynie z odko-
panych palimpsestów; nie czyni najmniejszej
próby, aby ją ująć na tle życiowym, mimo iż
dziś jest ono jeszcze dostępne. A wszak pan
Ludwik Szczepański, założyciel „Życia”, mógł
był z łatwością udzielić wszelkich objaśnień; ale
snać⁶⁸ „reguły gry” nie pozwalają ich szukać,
tak jak nie wolno przy bridżu zaglądać w karty
sąsiadowi. Zgadnij zgadula!

A cóż dopiero atmosfera, koloryt danej epo-
ki, bez których nie może być mowy o historii
literatury! Owa zdolność utrwalania tej *atmos-
fery* w całej jej żywości jakże wysoko stoi np.
w literaturze francuskiej. Nie ma wybitniej-
szej osoby w XVIII w. we Francji, której by się
nie znało dziś jak dobrego znajomego; fizjono-
mia każdego niemal z gości salonu, w którym
obracał się jakiś Diderot lub Wolter, wygląda

⁶⁸snać a. snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

ku nam jak żywa z pamiętników, listów, monografii. Mały tomik anegdot Chamforta jest jednym z najkapitałniejszych dokumentów do zrozumienia epoki. Dziewięć tomów Goncourtów ukazuje nam podszewkę życia literackiego z lat kilkudziesięciu; a ileż mamy książek tego typu, choć nie tak konsekwentnie spisanych? Każdy salon, każda grupa mają swoje anegdotyczne monografie. Bo bez tego literatura musi zawisnąć w próżni, można o niej fantazjować, ale nie można jej naprawdę rozumieć. Istnieją zresztą pisarze, których rola wyrażała się więcej osobistym oddziaływaniem niż piórem. Mógłbym zacytować Sokratesa; ale poprzestanę na Teofilu Gautier. Życiorys Ninon de Lenclos to z pewnością jeden z ciekawszych dokumentów do poznania danej epoki *literackiej*. Literatury nie da się izolować od życia.

Otóż dawniej niebezpieczeństwo takiej *izolacji* produktów literackich było mniejsze. Istniały dwa ważne źródła do poznania ich tła: listy i pamiętniki. Dziś dwa te źródła niemal znikły. Poczta, telefon, telegram, zwłaszcza

zaś przyspieszone tempo życia zabiły list. Tak samo przepadł i pamiętnik, gdyż hasło „produktywności” posuniętej do maksimum nie pozwala grzebać talentu, a nawet pół-talentu literackiego w tak nieprodukcyjnym zajęciu. Zwłaszcza zaś i list, i pamiętnik zabiła gazeta. Dlatego o ile np. z początku zeszłego wieku pozostało względnie dużo, o tyle z naszej epoki nie utrwalili się tą drogą rysów osobistych prawie nic.

A nie nauczyliśmy się utrzymywać ich w inny sposób. Czyż zamiast wielu jałowych gadań „teatrologicznych”, którymi psuje się tyle papieru, nie powinien ktoś być zebrać żywych rysów i dokumentów składających się na ciekawą i tak ważką dla dziejów naszego teatru fizjonomię Tadeusza Pawlikowskiego? Co będzie o nim, o *nim samym* wiadomo za lat 20? Nic. Dziś jeszcze wspomina go ten i ów z tych, co go znali, ale coraz rzadziej; za kilka, kilkanaście lat zostanie mglista legenda, potem nazwisko, koło którego skryształizuje się nieco mniej lub

więcej fałszywych ogólników⁶⁹. W ten sposób raz po raz patrzymy na drugą powolną śmierć człowieka, może istotniejszą, bardziej osmucającą od śmierci fizycznej. Tak samo przepadł za mojej pamięci malarz Jan Stanisławski, wieloletni „dyktator” krakowskiego życia artystycznego, przepyszna indywidualność, człowiek, którego każde powiedzenie warte było stenogramu. Przepadł ciekawy profil przedwcześnie zmarłego Wojtkiewicza, przypadnie zapewne Jacek Malczewski, Włodzimierz Tetmajer i tylu innych.

A mistrz Wincenty Lutosławski? Czy będzie miał jakiegokolwiek pojęcie o tym osobliwym człowieku ktoś, kto będzie znał jego pi-

⁶⁹*tak ważką dla dziejów naszego teatru fizjonomię Tadeusza Pawlikowskiego (...)* — weźmy choćby taką kwestię. Pawlikowski znany jest w dziejach teatru polskiego jako człowiek, który stracił duży majątek na teatr (co mu zresztą jedynie przyczyniło glorii). Otóż jeden z bliskich uczestników tej epoki udowodniał mi matematycznie, że Pawlikowski nie stracił grosza *na teatrze*, który mimo wszystko się opłacał; jedynie *wydał* swój majątek przy okazji prowadzenia teatru na ów szeroki tryb życia, który starsi i niestarsi nawet aktorzy doskonale pamiętają. Nie obchodzi mnie tu sama ta kwestia; chcę jedynie dać przykład, jak wątpliwe i sporne są najbardziej „murowane” elementy *legendy*. A, powtarzam, bez tej podszewki życiowego realizmu, wszelka historia jest jedynie bajką dla dzieci. [przypis autorski]

sma, a nie będzie znał anegdotycznej ich podszewki, np. stacji doświadczalnej dla płodzenia geniuszów założonej w Tunisie, deputacji profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego przyjętej w adamowym stroju, platońskich biesiad w łaźni rzymskiej⁷⁰, ślubów czystości składanych w sali Teatru Ludowego przez rozegzaltowane krakowskie matrony etc. etc.

Kiedy umarła Gabriela Zapolska, wszystkie pisma zamieściły jej panegiryki; nawet te, które stale obrzucały jej działalność błotem, uderzyły w wielki dzwon: „Cześć jej pamięci” etc. To jedno umiemy: „celebrę”; ale czy komukolwiek przyszło na myśl utrwalić bodaj jakiś rys z bogatego życia tej naszej George Sand?

Polska była podobno zawsze krajem „indywidualistów”, mamy też w każdym pokoleniu

⁷⁰*platońskie biesiady w łaźni rzymskiej* — kiedy raz byłem u Włodzimierza Tetmajera w Bronowicach, zjawił się tam Lutosławski. Przybył z Krakowa pieszo, w góralskim stroju i tłumaczył nam, iż uznał ten strój za najwłaściwszy, gdyż każda jego część symbolizuje jakąś cnotę, którą człowiek powinien w sobie wyrobić. Ponieważ się chmurzyło, gospodarz odesłał nas wózkiem; gawędziliśmy w drodze, a na rozstaniu Lutosławski zaprosił mnie, abym zaszedł kiedy do Łaźni Rzymskiej, gdzie co poniedziałek o szóstej rano grono ludzi dobrej woli zbiera się, aby rozmawiać o sprawach ducha. Nigdy nie mogłem się zdobyć, aby wstać tak wcześnie, i nie byłem, czego do śmierci nie przestanę żałować. [przypis autorski]

indywidualności ciekawych sporo i życie artystyczne dość bujne, ale ubożymy je, nie umiając się z nim obchodzić. Z dwojga złego raczej „plotka” niż kanonizacja, raczej artysta w szlafroku niż w brzoje na co dzień! Z pewnością szlafrok będzie bliższy prawdy od pomnika i lepiej pozwoli nam zrozumieć żywego człowieka. Historia bez anegdoty to kuchnia bez soli. Nie umiemy żyć z literaturą po prostu, jak z przyjacielem, jak z kochanką; obcałowujemy ją po rękach jak matronę albo biskupa. Każde proste słowo, każdy żart brane są za złe i wykładane opacznie, jak gdyby uśmiech nie był bardzo naturalną formą obcowania duchów.

Toteż miałbym pokusę obejść na swój sposób cichy jubileusz owego krakowskiego „Stacha” sprzed ćwierć wieku, względem którego poczuwam się do niewygasłej wdzięczności, któremu zawdzięczam podwaliny swego człowieczeństwa. Miałbym pokusę zrobić nową „plotkę” i opowiedzieć pokrótce to, co pamiętam z tego ślicznego okresu. Czy zamiar ten nie zostanie, jak tyle zamiarów, w sferze zamiaru, nie

wiem; bądź co bądź, notuję go tutaj jako wyraz moich dobrych chęci oraz mego przeświadczenia, że literaturę, sztukę, tworzą nie „izmy” — ale żywi ludzie, że samo ich *istnienie* bywa nie-raz tworem artystycznym i że ratowanie przed falą niepamięci tych *żywych istnień* jest pierwszym zadaniem nas współczesnych.

1923

„STARE, ZŁOTE, KOCHANE, NASZE” ...

Ileć poją się sztuka z dawnego repertuaru, sztuka kostiumowa — od Zabłockiego do... Bałuckiego — nieodmiennie czyta się w rozrzuconej krytyce dytyramb o złotych polskich sercach, zacnym obyczaju, prostym nieskomplikowanym życiu, czystej atmosferze etc. Nie obywa się też bez przycinków pod adresem naszej epoki, znieprawionej, zmateriałowanej, niezdolnej do ideałów. Ciekawy psycho-

logicznie fakt, świadczący, że ludzi w kostiumach ogląda się jakby innymi oczyma. Pospolita gąska ubrana w organtynową sukienkę staje się wcieleniem niewinności; stary piernik ustrojony w tabaczkowy surdut z aksamitnym kołnierzem ma zawsze „złote serce”. Przeszłość ma w sobie jakiś mistyczny czar, który wszystko oczyszcza. Gdyby na Starym Mieście odkryto zamtuz z XV wieku, przydano by mu konserwatora. To rozumiem. Ale czytaliśmy jednak rozczulenia nad atmosferą *Domu otwartego*, tego dokumentu najsmutniejszej galicyjskiej kołtunerii sprzed lat zaledwie czterdziestu! Cóż dopiero gdy chodzi o takiego czarodzieja jak Fredro, który słońcem swego humoru wszystko potrafi opromienić! Kąpiemy się w tym słońcu, zapominając na chwilę, że to życie, które ono ozłaca, nie ma w sobie doprawdy nic, nad czym by się warto było roztkliwiać. Jest to nieporozumienie, a nieporozumienie to ciąży niewątpliwie na stosunku publiczności — tej publiczności nowej, młodej, patrzącej nieuprzedzonymi oczyma — do utworów Fredry i staje

się niepożądaną zaporą. Zaraz się wytłumaczę. Entuzjazm i miłość dla Fredry, którym tylokrotnie dawałem wyraz, obronią mnie od złego rozumienia moich intencji.

Czym są *Damy i Huzary* w odczuwaniu licznych krytyków, którzy je świeżo oglądali na scenie? Dla jednych arcydziełem, dla drugich nie; ale prawie dla wszystkich uroczym obrazkiem życia rodzinnego, życia „nieskomplikowanego”, polskiego domu, polskiej wsi, budzącym tęsknotę za dawnym obyczajem, dającym chwilę czystego wytchnienia po szpetnym dzisiejszym świecie. Jakkolwiek może się to wydać śmieszne, pozwolę sobie przypomnieć treść *Dam i Huzarów*.

Pani Orgonowa, przybrawszy sobie dwie siostry do pomocy, przyjeżdża stręczyć w małżeństwo córkę swoją własnemu bratu a jej wujowi, starszemu od dziewczyny o lat blisko czterdzieści. Jedyłą pobudką tych swatów jest majątek majora. Panna kocha innego, godnego jej miłości, ale na myśl jej nawet nie przyjdzie, że mogłaby wyznać matce swoje niewin-

ne uczucie. Przeciwnie, wie, że jeżeli nie będzie powolna rodzinnym kombinacjom, czeka ją związek ze starym, wstrętnym lichwiarzem. Trudno o coś bardziej oschłego, obcego niż ten stosunek matki do córki. Córka czuje, że znajdzie w matce twardą wykonawczynię interesownych planów; matka widzi w córce jedynie narzędzie spekulacji. Ale są ciotki: mogłaby przecież im się zwierzyć, prosić o radę, o wstawiennictwo? Cóż znowu, te ciotki są najwierniejszymi aliantkami matki: okrzykałyby za wariatkę pannę, która by przepuściła taki los. „Wuj ma dobrą wieś, Zosiu, bądź rozsądną, zresztą miej rozum, a po ślubie będziesz mogła zrobić z mężem, co zechcesz”... Mówi się to prawie wyraźnie. Przysięga? Sakrament? Farsa! Interes dominuje nad wszystkim, a raczej nie dominuje, ale jest wszystkim. Rodzice wydaliby córkę za trupa, za kanalię, byleby z workiem złota. Serca w tym wszystkim ani za grosz.

Czegóż uczy się młoda dziewczyna w tej szkole? To trusiątko Zosia, którą podają nam za

wzór naiwności i niewinności, kłamie jak z nut. Kłamie przed matką, ukrywając swoją znajomość z porucznikiem, dość daleko posuniętą. Kłamie przed majorem, udając szczerą skłonność i kokietując starego wiarusa swą biernością, byle zyskać na czasie. Wszystkie drogi są dla niej dobre, z wyjątkiem prostej. Woli poświęcić swą miłość, skłamać przed ołtarzem, niż zdobyć się na odwagę oporu. A porucznik? Kocha Zofię, ale tak dalece ma poczucie, że na tym świecie człowiek bez pieniędzy jest niczym, że nawet na myśl nie przychodzi mu, że mógłby walczyć o swą miłość, że wreszcie mógłby się zwierzyć z niej majorowi, któremu życie ocalił, który go kocha jak syna!

Jeżeli to jest życie „nieskomplikowane”, niech mnie gęś kopnie! Mnie się ono wydaje diabelnie skomplikowane. I ani rusz nie umiem pojąć, na czym polega jego „pogoda”, jego wyższość nad dzisiejszym, okrzyczanym życiem. Nie ma się na co oburzać; takie były obyczaje; ale rozczulać się, ale wzdychać do tego?

Powie mi ktoś, że wszystko to, to jest konwencja teatralna, że te rysy obyczajowe są po prostu tradycyjne i przejęte ze starej komedii, że stanowią one wątek wszystkich utworów Moliera etc. Zgoda. Ale też ta forma życia rodzinnego, jaką widzimy u Moliera, istniała nie tylko na scenie, ale w życiu. Pod tym względem komedia była wiernym jego odbiciem. Toż samo za Fredry. Ten stosunek dzieci do rodziców, te pojęcia i obyczaje, były czymś zupełnie potocznym; wystarczy wziąć do ręki pierwsze z brzegu współczesne pamiętniki. To są rysy wspólne i zupełnie naturalne w epokach, gdy wszystko wspierało się na *posiadaniu*.

Chodzi o co innego. Francja kocha i wielbi Moliera. Ale nikt nie czerpie w nim natchnienia do zachwytów nad starym obyczajem. Nikt nie rozczuła się nad „złotym francuskim sercem” Grzegorza Dandin albo Pursoniaka. Nikt nie widzi w tych komediach obrazów „zacnego, prostego, dawnego życia”.

Znów wiem, co mi ktoś odpowie. Jest różnica między gryzącą satyrą Moliera a niebole-

snym humorem Fredry. Molier wypił w życiu wszystkie gorycze, oglądał świat z *dołu*, podczas gdy Fredro, malując tę sferę, z której był sam, patrzy na jej obyczaje z ukrytym, ale do-
brotliwym sarkazmem. Zapewne. I tu tkwi wła-
śnie niebezpieczeństwo rozdźwięku między Fre-
drą a dzisiejszym społeczeństwem. Że ten roz-
dźwięk istnieje, stwierdziliśmy nieraz; przewal-
czyć go będzie słuszną chwałą naszych teatrów.
Pomagajmy im w tym z całych sił. Ale boję
się, że ten rozdźwięk możemy raczej pogłębić,
gloryfikując nie sam artyzm Fredry, lecz i ten
obyczaj, który jest jego tematem. Boję się tego
zwłaszcza w stosunku do młodzieży. Bo mło-
dzież ma pasję czynienia bardzo ostrych rewizji
konwenansu. Gdy jej zechcemy wmówić pa-
triarchalne cnoty pani Orgonowej i anielstwo
Zosi, zbuntuje się i ucieknie od Fredry. Raczej
uczmy ją podziwiać potęgę i czar sztuki, która
potrafi przemienić w piękno życiową lichotę.

Nie są te rozważania tak bardzo abstrak-
cyjne. Jeszcze nie przebrzmiały echa owej *re-
wizji* Pana Tadeusza, która wywołała pięćset re-

plik i artykułów, i dawno niepamiętaną burzę w naszym życiu literackim. Dla mnie osobiście „rewizja” ta nie była czymś zbyt nowym. Przeprowadziłem ją na własny użytek bardzo dawno temu, kiedy miałem lat piętnaście czy szesnaście. Odepchnęła mnie ona od Mickiewiczowskiego arcydzieła w owym wieku młodzieńczego radykalizmu; z czasem wróciłem doń od innej strony... Podziwiam i kocham dzieło sztuki, myśląc sobie to i owo o życiu i ideałach owego „centrum polszczyzny”, które się w nim tak czarownie odbija. Dlatego wiem z doświadczenia, jak odwrotny skutek mają na młodzież tego rodzaju apoteozy. Dajmy pokój przeszłości! Niech śpi w pokoju. Dzisiejsze życie jest mimo wszystko o wiele prostsze, godniejsze i rzetelniejsze niż życie naszych pradziadków. Cnoty prababek też bezpieczniej nie ruszać. Boję się, powtarzam, że takie gloryfikacje staroświecczyzny odbiją się na skórze naszych najukochańszych pisarzy.

1925

DEZERTERKI

Pisarz, który łamie pióro, malarz, który rzuca pędzel, w ogóle artysta, który opuszcza warsztat swojej pracy, to są zjawiska niezmiernie rzadkie i pobudzające do dociekań. W jednym tylko wypadku fakt jest tak częsty, iż oswoiliśmy się z nim prawie zupełnie i nie kwestionujemy go nawet: mianowicie kiedy aktorka schodzi ze sceny.

Uciekanie aktorek w pełni sił i talentu ze sceny to nagminna choroba teatru. I żeby to aktorek! Ale najlepszych aktorek. Ileż takich za naszej pamięci, począwszy od niezapomnianej Jadwigi Mrozowskiej, po której do dziś pozostała smuga niepokojącego uroku i w pół fantastycznej legendy. Nie ma potrzeby wymieniać litanię nazwisk; trwają one zbyt dobrze w pamięci Warszawy.

Otóż zachodzi tu podwójny psycho-fizjologiczny problem: czym się dzieje, iż teatr na ogół wytrzymuje wcale dobrze te periodyczne upusty krwi; a po drugie, w jaki sposób aktor-

ki — uważamy je wszak za artystki — znoszą tak spokojnie to, co by było tragedią dla każdego innego artysty, mianowicie wyrzeczenie się swej pracy, zaparcie się swej twórczości.

Wyobraźmy sobie, że pewnego dnia zjawiają się w dyrekcji teatrów Junosza, Leszczyński, Węgrzyn i każdy z nich mówi: „Kochany dyrektorze, żenię się i opuszczam scenę: narzeczona moja nie życzy sobie...”. Cóż wtedy? Przyszłoby chyba zamknąć budę. Tymczasem, powtarzam, w zakresie personelu kobiecego teatr raz po raz przechodzi te katastrofy i znosi je. Czym to tłumaczyć?

Przede wszystkim, sędzę, trzeba przyjąć, że stosunek procentowy aktorstwa utajonego w płci żeńskiej a męskiej jest zupełnie różny. Trudno tu operować ścisłymi cyframi, ale można by dla przykładu powiedzieć, że jeżeli *fakultatywnym* aktorem (lepszym lub gorszym) jest np. co tysięczny mężczyzna, fakultatywną aktorką jest co trzecia kobieta. Wszak teatr nasuwa się jako pierwsza myśl każdej młodej kobiecie za-

wiedzionej w swej egzystencji. Śmielsza myśli o nim pozytywnie, bardziej nieśmiała i nieporadna marzy choć o nim. Podczas wojny widziałem sporo kobiet, które weszły na scenę pod wpływem okoliczności czysto życiowych; nie uważałem, aby gorzej się tam czuły niż te, które zostały aktorkami z „powołania”.

Bo też rola kobiety na scenie jest może łatwiejsza. Odpada w niej prawie cały ów *transformizm* stanowiący istotę męskiego aktorstwa. Dziś Łatka, jutro Skarga; dziś Mickiewicz, jutro Judasz etc. A kobieta? To zawsze ta sama Rózia czy Zuzia, Lulu czy Desdemona, ale zawsze *kobieta*, w trochę innym odcieniu, kostiumie i w innych okolicznościach. Odcienie wydobywa z niej sam tekst, trzeba mu się tylko poddać. Kobieta gra na scenie swoją *pleć*, mężczyzna odtwarza skomplikowany egzemplarz społeczny.

Przy tym czas rozwoju! Talent męski rośnie powoli jak drzewo; kobiety rozwija się jak kwiat. Kobieta wchodzi na scenę bez mała tak,

jak wychodzi za mąż; byleby weszła na nią dobrą nogą, na drugi dzień — gotowa! Stąd następca dla wielkiego aktora musi dorastać latami, gdy następczyni dla ulubionej aktorki wykwita w mgnieniu oka, nieraz w ciągu tygodnia.

Dlatego — wie o tym każdy dyrektor teatru — kobieta zawsze jest na scenie do zastąpienia; w miejsce jednej, która ubędzie, teatr znajdzie dwie, trzy, które przesłonią wspomnienie tamtej, mimo iż często nie mogą się z nią mierzyć talentem. Z aktorem to rzecz o wiele trudniejsza; i dlatego nie kobiety — jak mniema nieświadomy tłum — wodzą za nos swoich dyrektorów, ale gwiazdy płci męskiej. To są prawdziwe primadonny teatrów, kapryśne, bezwzględne, słowem, mające wszystkie cechy, które wytwarza świadomość, że się jest niezastąpionym.

Pytanie drugie: W jaki sposób kobieta, jeżeli jest w duszy artystką, może opuścić scenę, nie cierpiąc w tym, co w niej najsilniejsze, najszlachetniejsze? Odpowiedź bardzo prosta: bo

kobieta-aktorka, można powiedzieć, wychodząc z teatru, nie opuszcza sceny; ona zmienia ją jedynie, rozszerza, wciąga w obręb swej roli życie, komponuje sztuki sama dla siebie, słowem, wraca do tego, co stanowi kolebkę wszelkiego teatru — do *commedia dell' arte*.

Weźmy dla kontrastu mężczyznę. Co po-
cznie świetny aktor, jeżeli w pełni sił zejdzie ze
sceny? Chyba będzie cały dzień u Loursa grał
w bilard. To nie jest kariera. Ale zaproponuj-
cie mu np. prezydenturę gabinetu! Zobaczycie,
czy nie przyjmie; ujrzycie, jakim krokiem wej-
dzie na radę ministrów i jak im wypali wielką
tyradę z III. aktu *Ruy Blasa*⁷¹! Aż im w piąty
pójdzie; aż zbledną i — dadzą brawo.

I tu jest jądro kwestii: z aktora, choćby naj-
większego, nie zostaje się księciem, ambasado-
rem, ministrem, wielkim bankierem; podczas
gdy sławna aktorka, jeżeli schodzi ze sceny, to
zazwyczaj po to, aby zostać wielką damą, am-
bassadorową, potentatką finansów etc. I dlate-

⁷¹*Ruy Blas* — dramat Victora Hugo (1802–1885), którego akcja rozgrywa się na dworze Hiszpanii w XVII w. [przypis edytorski]

go — powtarzam — ona nie schodzi ze sceny; ona zmienia scenę; zmienia tę scenę odrapaną, zakurzoną, z przymusem rannych prób i tyranią reżysera, na scenę własną, lśniąca prawdziwą świetnością dekoracji, wędrującą na zawołanie wedle jej kaprysu.

Czyż można powiedzieć np., że zeszła ze sceny kobieta, która trzęsie finansami wielkiego państwa, inspiruje dzienniki, macza paluszki w polityce światowej, wydaje recepcje na sto osób, pływa jachtem po dalekich morzach, poluje na tygrysy, odwiedza trędowatych, czy ja wiem co zresztą? Ona nie zeszła, ona weszła na scenę. Czy można powiedzieć, że przestała być aktorką? Toż sama etymologia słowa *aktor*⁷² zawiera pojęcie nie czego innego niż czynności, *działania*.

Oto więc różnica: u mężczyzny aktorstwo a nie-aktorstwo, scena a życie, odcięte są od siebie ostrą linią; u kobiety linia ta jest bardziej płynna, zatarta; stąd nieskończenie więk-

⁷²etymologia słowa *aktor* — z łac. *ago, agere, egi, actum*: działać; *actio*: działanie, działalność; *actor*: sprawca, wykonawca. [przypis edytorski]

sza łatwość, z jaką kobieta przechodzi z życia na scenę i znowuż ze sceny do życia.

Kiedy wybuchła wojna w roku 1914, jedna ze świetnych gwiazd naszego teatru, a później sceny świata, zapakowała dwie wykwintnie skromne sukieneczki i puściła się z dalekich stron do Krakowa. Ile energii, sprytu, kokieterii nawet trzeba było rozwinąć, aby odbyć wówczas tę drogę pociągami osobowymi, towarowymi, wojskowymi, zrozumie każdy, kto pamięta ten okres szaleństwa pierwszych dni wojny. Jechała przeszło tydzień, przyjechała wpół żywa, ale zadowolona; natychmiast zgłosiła się do pracy do jednej z klinik, przemienionej na szpital wojenny. Po kilku dniach, bez żadnego poprzedniego przygotowania, była najlepszą pielęgniarką, prawie że asystentką, ulubienicą surowego szefa, który w pracy nie znał żartów.

— Ja w głowę zachodzę, skąd ona to umie!
— mówił do mnie ów znakomity profesor, w którego szpitalu pracowała artystka.

— Jak to skąd? — odparłem — rasowa aktorka wszystko umie. Przecież może z dnia na

dzień dostać rolę pielęgniarki, równie dobrze jak rolę światowej damy; przeczyta rolę i gra.

— No, tak — przerwał profesor — ale na scenie ona *udaje* tylko, że np. podaje właśnie te narzędzia, których trzeba, a u mnie musi podać naprawdę, i to z błyskawiczną szybkością, te, a nie inne.

— To znaczy po prostu, że ma poczucie stylu i rozumie, że w pańskiej trupie trzeba grać realistycznie; ale tak samo, ręczę, umiałyby panu podawać narzędzia w stylu ekspresjonistycznym.

— Być może, ale wtedy by pacjenta diabli wzięli — rozśmiał się profesor.

Oto, zdaje mi się, przyczyny, dla których i teatr nie umiera, tracąc raz po raz swoje najlepsze siły kobiece, i świetne aktorki nie usychają odcięte od teatru.

A jak cudownie wchodzą w swoje nowe role! Byłem niedawno w większym towarzystwie; przy kolacji, o kilka miejsc dalej, dolatuje mnie taki urywek zdania:

— Nie, jak mamę kocham! Co ten pan Stefan wygaduje! Powiada, że można kochać i zdradzić... To już, doprawdy...

Było to powiedziane tak melodyjnym głosem, tak niepokalaną dykcją, że mimo woli spojrziałem w tę stronę, aby zobaczyć, kto tak ładnie mówi. Była to jedna z naszych najświetniejszych „dezerterek”, która w czasie swojej kariery teatralnej zdradziła co najmniej jakich stu dwudziestu mężczyzn, oczywiście na scenie.

1923

HEDDA GABLER CZY GABLERÓW- NA?

(Nieco językoznawstwa)

Potrącone przeze mnie zagadnienie, czy powinno się mówić Hedda Gabler czy *Gablerów-*

na, Cléo de Merodes czy Kleo *Merodziańska*⁷³, wywołało w kołach filologów żywe zainteresowanie. Powiedziano mi mianowicie przez telefon, że jestem błazen. A jednak nie: kwestia prawidłowej odmiany nazwisk żeńskich, zwłaszcza panieńskich, interesowała mnie szczerze od dawna, gdyż my, recenzenci, najwięcej z nią, wręcz codziennie mamy do czynienia. Swojego czasu przedstawiłem nawet swoje wątpliwości w tej mierze „Poradnikowi językowemu”, stojącemu na stanowisku bezwzględnego przymusu odmiany. Kanon (w zasadzie bardzo słuszny) brzmi: nazwisko panieńskie, nawet o obcym brzmieniu (polskie tym bardziej), należy bezwarunkowo odmieniać, a tworzy się je, dodając do nazwiska ojca końcówkę *ówna* lub *anka*, o ile ze względów estetycznych *ówna* nie jest wskazane (po spółgłosce *g*). Ale zaraz na wstępie trudność: co począć z panną, która nigdy nie miała ojca, a za to ma dzieci? Bo też ten problem, na pozór tylko lingwistyczny, wnika

⁷³Potrącone przeze mnie zagadnienie, czy powinno się mówić *Hedda Gabler* czy *Gablerówna* (...) — [por.] *Flirt z Melpomeną*, wieczór III. [przypis autorski]

głęboko w przeobrażenia społeczne i obyczajowe, które przechodzimy i wobec których język polski staje nieraz zakłopotany.

Dawniej rzecz była jasna. Córka pana Frycza nazywała się panna Fryczówna, jak córka sędziego panna sędzianka: a w formie tej mieści się niewątpliwie pewne pojęcie bezosobowości, przynależności (coś jak chałupa *maćkowa*), dożywotniej małoletniości. Osobę nieistniejącą niejako samą przez się określało się jej pochodzeniem, jej przynależnością do osoby znanej, wiadomej wszystkim.

Dziś, wobec rosnącej samodzielności i równouprawnienia kobiet, ta małoletniość lingwistyczna, to wytykanie komuś do późnej starości jego panieństwa, bywa nieraz kłopotliwe, czasem wręcz, w niektórych zawodach, grożącym szkodą materialną. I życie nie da się tu nagiąć do życzeń panów filologów. Żadna siła nie zmusi świeżo upieczonej lekarki, choćby najlepszej Polki i prenumeratorki „Poradnika językowego”, aby kazała wyryć na swojej tabliczce: *Wasserberżanka* albo *Angrabajtisówna*,

gdyż czuje instynktem, że to by jej zaszkodziło wobec klienteli. Żadna też nie podpisze recepty w tej formie. Słusznie czy nie, ale końcówki te budzą w nas mętny obraz raczej panny na wydaniu, zamieszkałej przy rodzicach, którą prowadzi się na spacer i odprowadza wieczór do domu, a nie powagi zdolnej rozstrzygać o życiu i śmierci pacjentów, oglądać ich w bieliźnie i bez oraz zadawać im drażliwe pytania.

Ale nigdzie bardziej nie występuje na jaw pewna paradoksalność, anachronizm tych końcówek niż w zawodzie artystycznym, gdzie, jak nigdzie w tym stopniu, jednostka istnieje sama przez się i jest protoplastą, nie spadkobiercą rodu. Weźmy dla przykładu jedną z najbardziej uroczych polskich artystek, istotę, którą chętnie bym ubóstwiał, gdybym miał do tego sposobność, p. Messal. Otóż mieniąc ją, prawidłowo, p. *Messalówną*, określamy osobę znaną całej Polsce jej *przynależnością* do osoby znanej niewątpliwie o wiele mniej. Końcówką tą wprowadzamy pośrednio na widownię postać w danym wypadku obojętną, podczas gdy, prze-

ciwnie, ów starodawny p. *Frycz* był osobą jedynie tu istotną, zasadniczą, warunkującą bytowanie cywilne panny *Fryczówny*. Ale to dopiero początek naszych kłopotów! P. Messal wychodzi za mąż, ale zachowuje nadal swoje tak chlubnie znane nazwisko. Jak ją wówczas mamy nazywać? Panną Messalówną? — utrwalamy niedopuszczalną już fikcję dziewictwa. Panią Messalową? — stwarzamy mglistą fikcję kazirodztwa. *Panią* Messalówną? — Dziwołał, nonsens. Panią Messal? Ba, „Poradnik” zabrania tego najsurowiej, pod grozą filologicznej klątwy. Szczęściem, geniusz językowy naszego ludu rozwiązał tryumfalnie ten kłopot, nazywając ją po prostu — Messalką. Ale geniusz ludu nie zawsze raczy się trudzić; pozostaje tedy wiele wypadków nierozwiązanych. A kwestia pp. artystek nie jest tu wcale tak błahą dla języka, gdyż 999 tysięcznych tego, co się co dzień pisze o kobietach, operując wciąż nazwiskami, przypada na aktorki. Jeżeli więc jest w tym skażenie, w takim razie recenzje teatralne są jego najniebezpieczniejszym rozsąd-

nikiem i pierwszą rzeczą, którą nauka winna by ustalić, to kwestia odmiany nazwisk naszych aktorek.

Gdybyż tylko nazwiska! Ale ileż artystek nie posługuje się nazwiskiem, tylko pseudonimem. Filolog i na to znajdzie sposób: zaleca artystkom, aby dla usunięcia trudności, przybierały taki pseudonim, jaki rzekomo jest wygodniej odmieniać:

„Specjalne wypadki przybierania artystycznych pseudonimów mogą również ominąć tej (?) Scylli i Charybdy, jeżeli interesowane (?) osoby wybiorą sobie pseudonim *polski*, nie obcy — wszak o to prosić można, bo to od ich dobrej woli zależy” („Poradnik językowy”, 1920, z. 16, *W sprawie tworzenia nazw córek*, w odpowiedzi na moje uwagi).

Pomijam iż pozostaje to utopią, gdyż wyboru pseudonimów nawet tak autorytatywny organ nakazać nie może; ale jest tu inny znamieny rys świadczący, jak mało nauka nasza raczy się zniżyć do rzeczywistości. Toż, o panie profesorze, uczony człowieku o gołębiej nie-

świadomości życia, toż one wszystkie, bez wyjątku, przybierają pseudonimy polskie, prapolskie nawet, i z tymi jest największy kłopot: Pomian, Nałęcz, Jastrzębiec, Gryficz, Szeliga, Żegota... Pytam kategorycznie: odmieniać czy nie odmieniać; pisać Nałęcz, Nałęczówna czy Nałęczowa, Żegota czy Żegocianka, Szeliga czy Szeligowa; Gryficz, Gryficzówna czy Gryficzowa? Znow wkraczamy w sferę samych fikcji — nie dziwota, jesteśmy w teatrze! *Maćkowa chałupa*, ale nie ma Maćka. A w końcu czy my, recenzenci, trzymający się, jak przystało nieprzedajnym sędziom, z dala od kulis, zawsze wiemy, co jest nazwiskiem, a co pseudonimem i jakie są stosunki rodzinne artystek?

To hipotetyczne sugerowanie przez końcówkę pseudonimu *anka*, *owa* skomplikowanych czynności fizjologicznych, które nigdy nie miały miejsca (aktu ojcostwa, małżeństwa), przypomina mi autentyczną anegdotę, opowiadaną przez jednego z wybornych znawców dawnego Wiednia. Była na dworze stara panna, jakaś księżniczka Schwarzenberżanka czy Lich-

tensteinówna, której przykro było, iż, nie posiadając żadnego urzędowego tytułu, miała na uroczystościach dworskich krok dopiero po wszystkich żonach ministrów, tajnych radców, często zgoła mieszczańskiego pochodzenia. Otóż dobry cesarz Franciszek Józef, pragnąc usunąć ten szkopuł, nadał jej, ogłaszając to w urzędowym dzienniku, „tytuł i charakter wdowy po tajnym radcy” (*Titel und Charakter einer Geheimratswitwe*).

Wracając do przedmiotu i kończąc zarazem, zastrzegam się: ja się nie buntuję przeciw wyrokom naszych „uczonych w piśmie” i nie mam nawet stanowczych poglądów w tej kwestii; oświetlam jedynie jej niektóre strony, które nie wydają mi się dość życiowo i praktycznie brane pod rozwagę. Chciałbym pisać dobrze po polsku, a czasem, nawet abonując „Poradnik językowy”, jestem w kłopotcie. Język tkwi głęboko w życiu; toteż w tym skromnym na pozór zagadnieniu lingwistycznym odbija się — jak rzekłem — przeobrażenie, jakie przechodzi w obecnej dobie stan paniński, któ-

ry odrzuciwszy niekiedy swą panięską końcówkę faktycznie, wlecze ją za sobą nominalnie. *Filologiczne panięstwo* to nowy odcień, objaw nieznanym naszym praojcom, a który zagląda w oczy Polsce wieku XX.

Niektóre z tych wątpliwości przedkładałem swego czasu nieśmiało redakcji „Poradnika”, ale pan profesor powiedział mi: „Siadaj”. Chciałem się wyrwać jeszcze raz i wystawiłem, szkolnym zwyczajem, dwa palce; ale pan profesor spojrział groźnie i rzekł: „Cóż ty, Żeleński, znowu chcesz na loka? Dopiero wczoraj byłeś: siadaj”. Zawstydzilem się i — siadłem; ale teraz, z okazji wystawienia Heddy Gabler (czy Gablerówny?), przypomniała mi się ta kwestia, więc ją poruszam na forum, na którym czuję się śmielszy.

1921.

„*Nicht spucken*⁷⁴...”

(*Nieśmiały głos dobrego Polaka*)

Swojego czasu, na jakimś zgromadzeniu politycznym w krakowskim „Sokole”, w r. 1918, kiedy zebrani odśpiewali tradycyjną *Rotę*, artysta rzeźbiarz pan Puszet wylazł na krzesło i w *imię godności* zaprotestował przeciw uświęcaniu jako tekstu narodowej pieśni zwrotu: „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”. Zakrzyczano go, omal nie pobito, kiedy zaś zamierzył sformułować swoją myśl w druku, żadne pismo nie chciało zamieścić jego enuncjacji. Może chwila nie była po temu. Uparty rzeźbiarz nie dał za wygraną: sprzedał rzeźbę i własnym kosztem wydał list otwarty, który wszelako utonął bez śladu w fali ogromnych wydarzeń owej jesieni r. 1918.

⁷⁴*nicht spucken* — nie pluć (forma gramatyczna stosowana również np. w za-
kazach urzędowych). [przypis edytorski]

Co do mnie, solidaryzowałem się wówczas w duchu najzupełniej z owym artystą; pod względem ideowym wydawał mi się ten program, że nam Niemiec nie będzie pluł w twarz, stanowczo zbyt „minimalny”; jako wrażenie zaś, nigdy nie mogłem słuchać tego ustępu pieśni bez najwyższej przykrości i niesmaku. Przypomniało mi się to bardzo żywo obecnie, kiedy czytając książkę *Koń na wzgórzu* utalentowanego pisarza p. E. Małaczewskiego, natknąłem się na taki ustęp (str. 41):

„(...) I z gardzieli założonych szlochem szczęścia, wyrwała się — razem u wszystkich — pieśń zrodzona w godzinie najgłębszej niedoli Narodu. Jej znana melodia jest posępna jak psalm nieszporny. Lecz pieśń, oskrzydłona bezdennym zapałem młodych dusz, brzmiała fanfarami, jakich w sobie nie ma nawet płomienna *Marsylianka*.

A słowa

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!

rozległy się pełnią takiego tryumfu, a zarazem groźby niezłomnej, że zdało się, iż po nich nastąpi coś wspaniałego, — że tu, w tym blokhauzie, stanie się jakiś widomy znak, cud, — tyle potęgi ducha zalewało śpiew i wyszarpnęło się zeń, jak z pochwy wylata nagi, jasny miecz”.

Zdumiewający ten ustęp w zestawieniu z owym nieszczęsnym cytowanym wierszem jest wymownym dowodem, do jakiego stopnia słowa, które stały się niejako rytualne, mogą zatracić swoje istotne i pierwotne znaczenie nawet dla wrażliwego literackiego ucha. Aby je sobie na nowo odświeżyć, wyobraźmy sobie — co bardzo jest prawdopodobne — iż tomik utalentowanego pisarza będzie przełożony na jaki obcy język. Co pomyśli np. Francuz o tej „fanfarze, której nie ma *Marsylianka*”, o tym „tryumfie, groźbie niezłomnej” — które, w rezultacie, zamykają się w tej jakże skromnej i upokarzającej negatywnej zapowiedzi, że nam ktoś „nie będzie pluł w twarz”!... W istocie, takich „fanfar”

nie ma *Marsylianka*: Francuzowi nie przeszłyby one przez gardło!

Zrozumiałe jest, iż w pewnych okolicznościach, po wieku hańbiącej niewoli, gorące serce *kobiece* mogło podyktować autorce *Roty* te bolesne słowa; ale dzisiaj sędzę — i nie ja jeden — iż nie moglibyśmy godniej obejść momentu odzyskania ziemi śląskiej, niż wymazując raz na zawsze owo „plucie w twarz” z naszego śpiewnika narodowego.

1921

WIATROLOGIA

(Uwagi dyletanta na marginesie Wiedzy Ścistej)

Jedną z ubocznych korzyści zabawy tłumacza jest to, iż, chcąc czy nie chcąc, poznaje się dobrze przekładanego autora. Proszę tylko zważyć: wybiera się do przekładu zazwyczaj rzeczy, które się lubi; przy samej robocie trzeba zwa-

żyć, rozebrać każde słowo, wgryźć się w każdą intencję, każdy odcień myśli; powrócić jeszcze raz przy wygładzaniu, przeczytać uważnie dwa razy w korekcie; i znowuż powtórzyć cały ten proceder przy rewizji do ponownego wydania. Doprawdy, zna się potem pisarza jak najpoufalszego przyjaciela; wypowiadał się ze wszystkiego. Toteż nie ma w tym chyba ani śladu pretensjonalności, jeżeli powiem, że ilekroć zdarza mi się czytać w naszej literaturze krytycznej coś, co styka się ze sferą opracowanych przeze mnie pisarzy francuskich, nieraz odnoszę wrażenie słów rzucanych po trosze na wiatr, mówionych obok samej rzeczy tam, gdzie inny czytelnik podziwiał może ścisłość rozumowania i erudycję autora. Nazwałbym to „wiatrologią”, przez wspomnienie owej *wpływologii*, o której niedawno toczyła się w Warszawie tak ożywiona dysputa.

Na przykład. Świeżo miałem w ręku książkę *Fredro a komedia obca*, pióra pana Kucharzkiego, którego badania nad Fredrą przynoszą

tyle nowego i cennego światła. Książka ta porusza zależność Fredry od komedii włoskiej: nawiasowo jedynie potrąca o literaturę francuską. I oto zaraz na str. 2 czytamy:

„Między postacią Moliera a Fredry (chodzi o Geldhaba) istnieje znaczna różnica w traktowaniu pomysłu, jak i koncepcji typu. Molier bawi się swym wzbogaconym mieszczańinem, Fredro swojego dobrodkiewicza wyszydza, oskarża i potępia. Pan Jourdain jest człowiekiem najpocząciwszym pod słońcem” etc.

„Człowiek najpocząciwszy pod słońcem”. Hm... Przypadkowo właśnie tego samego dnia ukończyłem druk przekładu *Mieszczanina szlachcicem*, skomentowanego przeze mnie dla *Biblioteki Narodowej*; otóż daję konia z rżędem... albo nie, coś realniejszego: daję *milionówkę* każdemu, kto mi potrafi wykazać jeden, dosłownie *jeden jedyny* rys rzekomej „począciwości” pana Jourdain, skończonego chama i bydlaka, mimo iż wziętego przez Moliera na wesoło. Ale to

drobiazg; to małe przemówienie się w niczym nie uszczupła wartości dzieła pana Kucharskiego, który, jestem pewien, nie pogniewa się i po namyśle przyzna mi słuszność.

Gorzej pod względem *wiatrologicznym* przedstawia się niedawna książka pana Chrzanowskiego o komediach Fredry. Czytając ją, mimo woli sięgnąłem ręką po ołówek, aby raz po raz opatrzyć coś znakiem zapytania lub wykrzyknikiem. Wiem, że popełniam tu zbrodnię „obrazy majestatu”: szczęściem, przy obrazie majestatu profesorskiego dozwolony jest „dowód prawdy” i zaraz go podejmę. Zatem parę przykładów:

Argumentując z wielką swadą przeciw temu, jakoby Fredro był romantykiem dlatego, że Gustaw i Aniela są romantykami (?), prof. Chrzanowski pisze (str. 27):

„Z tego, że się wśród różnych postaci Balzaca znajduje Louis Lambert, mistik i spirytualista, nikt chyba nie zechce

wyprowadzać wniosku, żeby i Balzac był mistykiem i spirytualistą” etc.

To się nazywa, po polsku, trafić kulą w płot. Trudno mniej szczęśliwie i bardziej po omacku dobrać przykład. *Każdy*, panie profesorze, kto się trochę zajmował Balzakiem, wie, iż wśród wszystkich jego powieści, na ogół raczej „obiektywnych”, właśnie *Ludwik Lambert* zawiera najwięcej subiektywnego, autobiograficznego wręcz materiału. Każda biografia Balzaka, mówiąc o wczesnej młodości pisarza, cytuje całe ustępy z *Ludwika Lambert*. O „spirytualizmie” Balzaka wróble na dachach świegocą. Owa wpół mistyczna „teoria woli” *Ludwika Lambert* jest ulubioną teorią Balzaka, którą spotyka się raz po raz w jego pismach, a wadą tej powieści jest właśnie to, że jest ona po prostu wykładem ówczesnych poglądów filozoficznych Balzaka. Czyżby prof. Chrzanowski nic nie słyszał o Swedenborgu, o *Serafście* Balzaka, wreszcie choćby o *La peau de chagrin*⁷⁵? (tytuł ten, nawiasem

⁷⁵*La peau de chagrin* — *Jaszczur*, powieść Balzaca z 1831 r. opowiadająca o jaszczurczej skórze (fr. *peau*: skóra) mającej tę czarodziejską właściwość, że jej posia-

mówiąc, jeden z naszych krytyków spolszczył na *Czara smutku*, kombinując zapewne, że *pot* znaczy garnek⁷⁶, więc może być i czara, a *chagrin* znaczy zmartwienie...).

Słowem, *wiatrologia* i do tego zbyteczna: dla objaśnienia przedmiotu, który zapewne zna dobrze, pan profesor sięga po przykłady z przedmiotu, który zna — mniej dobrze.

Inny przykład. Mówiąc znowuż o podmiotowości Fredry, prof. Chrzanowski pisze (str. 228):

„(...) czyż by się wiedziało, że w postaciach Cherubina, Almawiwy i Figara Beaumarchais w znacznej mierze portretował samego siebie, gdyby się nie znało jego *Pamiętników?*”.

— Co też to mogą być za *Pamiętniki* Beaumarchais’go które prof. Chrzanowskiemu rzekomo tyle światła rzuciły na psychologię Cherubina i Almawiwy?... Ach! to zapewne jego

dacz może spełnić każde swoje marzenie, jednakże z każdym spełnieniem, jaszczur kurczy się nieubłaganie. [przypis edytorski]

⁷⁶*La peau de chagrin* (...) „*pot*” znaczy garnek — fr. *pot*: garnek i *peau*: skóra wymawia się podobnie: [po:]. [przypis edytorski]

słynne *Memoires* (*Memoriały*) w procesie o łapówkę z sędzią Goezmanem i jego żoną! I ja również uważałem je, sądząc z tytułu, za *Pamiętniki*, dopóki, wiedziony ciekawością, nie zajrzałem raz do środka. Ale skąd tu Cherubin, Figaro...? Czyżby prof. Chrzanowski nigdy... Au! au!

Mam dalej prowadzić „dowód prawdy”? Prowadźmy. Ale ostrzegam, że będzie coraz gorzej. Ta sama książka, str. 114:

„(...) w miarę oddalania się od tradycji Moliera to rozdzielanie jednej i tej samej śmieszności między dwie albo więcej osób stało się powszechnym zwyczajem i ogarnęło nie tylko komedię charakterów indywidualnych, ale i komedię typów; na tym to rozdzielaniu polega oryginalność Dancourta, o czym świadczą już same tytuły wielu jego komedii, mające formę liczby mnogiej: *Mieszczki modne*, *Starzy kawalerowie*, *Biedne lwice*, *Bezczelni*, *Sceptycy*” itp.

Czytam i przecieram oczy: czy ja śnię? Dancourt, to pisarz z XVII wieku (1661–1726), zaś *Starzy kawalerowie* to ponoś sztuka Sardou, grywana za naszych czasów, a *Ubogie lwice* (nie: biedne), *Bezczelni* — to wszak najgłośniejsze komedie Augiera, też wystawiane za mojej pamięci! Czy podobna, aby prof. Chrzanowski nie wiedział o istnieniu Augiera, już nie jako erudyta, ale tak prywatnie? Ale spostrzegam przypisek, zaglądam tedy do przypisku:

(1) *Les bourgeois à la mode, Les vieux garçons, Les lionnes pauvres, Les effrontés, Les sceptiques*, ob.⁷⁷ Brunetière, *Les époques du théâtre français*, konferencja VIII.

Coraz więcej zdumiony sięgam do Brunetière'a i szukam. Jest słowo zagadki! Istotnie, mówiąc o komediach Dancourta (str. 189) jako o zapowiedzi późniejszej komedii obyczajowej, cytuje Brunetière o kilka wierszy dalej tytuły nowoczesnych komedii: *Starzy kawalerowie, Ubogie lwice, Bezczelnych* etc. Prof. Chrza-

⁷⁷ob. — skrót od: „obacz” (dziś raczej stosuje się: „patrz”), odsyłającego we wspomnianej kwestii do wyjaśniającego ją obszerniej dzieła. [przypis edytorski]

nowski zgubił się w swoim Brunetièrze i pomieszał to wszystko razem, w czym ostatecznie nie byłoby nic tak dziwnego: roztargnienie uczonych jest wszak przysłowiowe; dziwniejsze jest, iż monografista Fredry tak mało interesował się w życiu teatrem, iż klasyczne wprost komedie współczesnego repertuaru są mu obce nawet z tytułów! Anioł Stróż ustrzegł prof. Chrzanowskiego od zacytowania *Safandulów* jako komedii Dancourta, gdyż Brunetière wymienia w tym samym wierszu i tę dość znaną komedię Wiktoryna Sardou.

Prof. Chrzanowski wziął się, aby Bogu ducha winnego Dancourta pasować na odnowiciela francuskiego teatru, wciąż na podstawie tej „liczby mnogiej” tytułów. Zawadza mu trochę Molier (choćby tylko *Uczone białogłowy*); ale co to dla „wiedzy ścisłej”: nie takie nawykła brać przeszkody! Stwierdza tedy spokojnie prof. Chrzanowski, że Filaminta, Armanda i Beliza w *Uczonych białogłowach* nie posiadają każda odrębnej indywidualności. Otóż trzeba chyba nigdy nie czytać tej komedii Moliera, aby

nie pamiętać, jak znakomicie zindywidualizowane są te typy „sawantek”! Zatem po to bagatelizuje się Moliere, aby zrobić honorowe miejsce dla mitycznego Dancourta... autora *Starych kawalerów* i *Ubogich lwic*! Czy aby nie za dużo tych wiatrów, panie profesorze?

Ale nie chcę (choć mógłbym) mnożyć już przykładów. Trąciłoby to złośliwością, która mi jest dość obca. Jakież wnioski? Biorąc ściśle logicznie, byłby taki: jeżeli ja, w moim nader szczupłym zakresie dokładnych wiadomości, raz po raz natykam się w niektórych płodach naszych „uczonych w piśmie” na mniej lub więcej jaskrawe... omyłki, można by przypuszczać, iż kto inny, znający dokładnie inny znów dział, odkryłby znowuż inne omyłki tegoż samego kalibru, etc.; że zatem ten i ów z naszych pomników „wiedzy ścisłej” jest tylko piramidą *wiatrologii* podanej z całym balastem autorytetu i drobiazgowością rzekomej informacji. Ale nie chcę tego przypuszczać; wolę wierzyć, iż to są drobne skazy na rzetelnym dziele. I nie poruszałbym nawet tych usterek, gdyby nie to,

że widzę w nich symptom znamieny dla naszej młodej jeszcze kultury naukowej; symptom niebezpieczny, ale, mam nadzieję, uleczalny.

Mówmy otwarcie: jesteśmy tylko ludźmi, a pojemność mózgu ludzkiego jest ograniczona; niepodobna zarazem wiedzieć wszystko i wiedzieć wszystko dobrze. Tego nie wymaga nikt od najuczeńszego człowieka. Ale prawdziwa kultura naukowa polega na tym, aby mówić tylko o rzeczach, które się wie; nie obwieszać swoich książek błyskotkami wątpliwego pochodzenia, które mają zdobić, a często szpecą. U nas, „wiedza” ma czasem dziwne narowy; lubuje się jeszcze, jak dziki w świecidłach, w pstrokaciznie nazwisk, dat, cytatów, odsyłaczy. Cytat z Brunetièr’a, choćby niedokładnie przeczytany i opacznie zastosowany, nadaje książce aureolę erudycji, posmaczek katedry; a kto go tam kontroluje! Powierzchowne felietowanie ugina się pod ciężarem pseudonaukowości. Nauka nasza była długi czas — i jest jeszcze — zaopatrzona, jako w ideał, w niemieckie metody: ale do

niemieckich metod trzeba niemieckiej pilności, niemieckiej dokładności: jeżeli natomiast skojarzymy niemiecki pedantyzm z polskim niechlujstwem — ładna historia!!

Pan Chrzanowski jest profesorem literatury polskiej; literaturę francuską zna najwidoczniej słabo, z kompendiów i streszczeń. Jest to niewątpliwie brak, nawet dla przeciętnie wykształconego człowieka, ale ostatecznie, nie jest to zbrodnia. Natomiast bezwarunkowo nie ucho-
dzi poważnemu profesorowi mistyfikować swoich uczniów i czytelników szychem chwytanej po łebkach „erudycji” i rozprawiać wielce indywidualnie o rzeczach, o których się coś wie za ledwie z trzeciej ręki. Jeżeli tak postępuje Wiedza Ścisła, cóż zostanie nam, dyletantom? Jeżeli tak czynią ludzie serio, cóż zostanie nam, błaznom?

1921

KOMENTARZ DO KOMENTARZA

W felietonie swoim, poświęconym nowemu wydaniu poezji Asnyka w opracowaniu prof. Eugeniusza Kucharskiego, daje p. Ferdynand Hösick, na podstawie osobistych wspomnień, przyczynek do genezy znanego wiersza Asnyka: *Szkic do współczesnego obrazu*. Pamiętając również dobrze epokę i atmosferę, w której wiersz ten powstał, pragnę dodać parę słów do trafnych objaśnień p. Hösicka. Ale najpierw wypadnie mi przytoczyć komentarz prof. Kucharskiego, do którego zaciekawiony zajrzałem⁷⁸ i w którym, wyznaję, z niemałym zdumieniem wyczytałem ten nieprawdopodobny ustęp:

„Prawdziwą niespodziankę w tym względzie stanowi w *Szkicu do współczesnego obrazu* przeciwstawienie zbuntowanej masy wydziedziczonych wytwornej grupce pięk-

⁷⁸wydanie poezji Asnyka w opracowaniu prof. Eugeniusza Kucharskiego — „Biblioteka Narodowa”, Adam Asnyk: *Wybór poezji* oraz Eugeniusz Kucharski: *Twórczość liryczna Asnyka*, Kraków 1924, Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej; [przyp. red. Niniejszy artykuł Boy’a spowodował dość żywą polemikę z prof. Kucharskim; patrz: *Brewerie Boy’a*]. [przypis autorski]

noduszków i bawidamków, rozpływających się w ekstazie »najnowszej sztuki«. Na pierwszy rzut oka ten kontrast zdumiewa. Co wspólnego z starą krzywdą społeczną może mieć nowa poezja, nowa sztuka, wielbiona jako najszlachetniejszy kwiat duchowej kultury? Jaki związek istnieje między »łaknieniem ziemi, powietrza i chleba« a pragnieniem nowych ideałów artystycznych, a modernizmem? A jednak dla poety łączność ta nie tylko istnieje, ale go pali jak żrąca rana, bo posiada on żywą świadomość, że cały ten modernizm z swym prze rafinowaniem, nastrojami, nagą duszą, amoralizmem, erotomanią, »nowym dreszczem« i wszelkimi innymi »absolutami« jest typowym wytworem kapitalistycznej kultury, pasożytniczą rośliną, która wyrosła i zakwitła na krzywdzie i wyzysku tych »zza bramy«. Jest sztuką godną pana, który ją opłaca »trubadurom, stojącym u pańskich, bankierskich bram« — amoralną i cyniczną, bo przeznaczoną dla warstwy,

która wyzbyła się moralności przy »robieniu« majątku, przerafinowaną, bo do zmysłów stępiących mówiącą, wyłączną i tłumem gardzącą, bo cieszyć ma wybrane uszy dystyngowanych — trutniów. To, co jasnym się staje dzisiaj, dostrzega Asnyk w dobie rosnących zachwyków dla »modernizmu«, dostrzega wtedy, gdy najwালniejsi socjalni trębacze piali peany na cześć »młodej sztuki«”.

Powtarzam, iż szeroko otwierałem ze zdumienia oczy, czytając tę stronicę!

Pomijam drobne nieścisłości, tak częste u ścisłych badaczy literatury. Wiersz Asnyka np. powstał w roku 1895, zatem wówczas gdy o Przybyszewskim i o „nagiej duszy” w Polsce nikomu się nie śniło. Mniejsza o to. Ale cóż za nienawiść do literatury, do myśli ludzkiej u tego historyka literatury! Cóż za agresywna dulszczyzna ogólników, z jaką pan profesor mówi o „nowych dreszczach” i o „*wszelkich innych absolutach*”!!! — Żaden socjalistyczny agitator na

wieczu robotniczym nie mówiłby o literaturze w ten sposób, bo na wiecach bywają zecerzy, którzy (znam ich) mają kult i szacunek dla literatury. Trzeba było aż profesora literatury, aby pouczył w dzisiejszej epoce młodzież, że wszelka poezja, która nie jest poświęcona wprost kwestii społecznej, jest „typowym wytworem kapitalistycznej kultury, pasożytniczą rośliną, wyrosłą na krzywdzie i wyzysku...”.

„*To co jasnym staje się dzisiaj...*” — pisze p. Kucharski. Zatem jasnym stało się dzisiaj prof. Kucharskiemu, że świetny wódz ówczesnej młodej poezji, później twórca *Skalnego Podhala*, Kazimierz Tetmajer, był „pasożytniczą rośliną”? Że Przybyszewski pisał *Wigilie* i *Na drogach duszy* dla „bankierów”? Że ówczesny trud Miriama, Antoniego Langego w przyswajaniu Polsce zdobyczy wszechświatowych kultur był „amoralny i cyniczny” etc.? Tak by wynikało z powyższego ustępu, który ma charakteryzować jeden z najbujniejszych, najbardziej decydujących momentów młodego piśmiennictwa!... moment, gdy nasza literatura odważyła się ode-

tchnąć pełniejszą piersią, znaleźć, mimo niewoli, akcenty pełnego człowieczeństwa!

A jeżeli weźmiemy wpływy obce, któż to są u p. Kucharskiego owi „trubadurówie na bankierskim żołdzie”, piszący dla warstwy, która wyzbyła się moralności przy robieniu majątku?... To nie kto inny (pamiętam ową epokę u nas i znam na palcach ówczesne jej bóstwa) tylko zwłaszcza Baudelaire, Verlaine i Artur Rimbaud, nędzarze i cyganie przymierający głodem, nieznani za życia nikomu prawie prócz garści entuzjastów i którzy w nędznych warunkach życiowych tworzyli heroicznie nową, dziś tryumfującą poezję francuską! Te „nowe dreszcze”, tak wstrętne prof. Kucharskiemu, którymiśmy się karmili, to byli Nietzsche, Dostojewski, Maeterlinck, Ibsen, Strindberg... Nieporozumienia Asnyka z młodą literaturą ówczesną były dość naturalne i zwykłe, i bardzo zresztą szczęśliwe, skoro dał im wyraz w doskonale napisanym wierszu, ale kiedy dziś, po ćwierć wieku, p. Kucharski utrwała i sankcjonuje te nieporozumienia profesorską prozą, nie-

podobna nie opatrzyć jego komentarza potrójnym wykrzyknikiem zdumienia!!! I bierze ochota powiedzieć młodzieży: „Nie słuchajcie, dzieci, takich nauk!”.

Bieda jest, że historię naszej literatury uprawiają przeważnie ludzie, którzy nie znają literatów, nie lubią literatów, nie gadają z nimi, nie żyli nigdy ich życiem, nie bywali w ich knajpach ani w pracowni, ani w teatrze, w ogóle nie znają nic, znają tylko — bibliotekę. Stąd gdzie tylko literatura schodzi się z życiem, tam piszą o niej po trosze jak o żelaznym wilku.

A teraz co do genezy wiersza Asnyka. P. Hösick trafnie objaśnia tło rozgoryczenia starego poety zasuniętego w cień przez nowe słońca (zwłaszcza przez Kazimierza Tetmajera); trafnie zaznacza przejrzyste (wówczas) aluzje, które się w tym wierszu kryły. Pragnę jednak przypomnieć jeden ciekawy, a mniej znany szczegół, zaczerpnięty z bliskiego otoczenia poety, gdy wiersz ów był po swym ukazaniu w druku bardzo żywo w Krakowie komentowany. Szczegół ten nie jest pozbawiony „pikanterii”.

Jednym z pisarzy najulubieńszych w owym czasie „elicie” umysłowej był Anatol France. Każdej jego nowej książki oczekiwano się z niecierpliwością, czytało się ją wolno, smakowicie, aby przedłużyć przyjemność. Świeżo przybyły wówczas do Krakowa egzemplarze *Ogrodu Epikura*. Otóż w jednym z arystokratycznych salonów w Krakowie zbierało się małe kółko „intelektualistów”, aby razem czytywać ten *Ogród Epikura* głośno. Pieprzykiem tej lektury była okoliczność, iż odbywała się ona pod egidą słynnego księdza Pawlickiego, który sam był postacią jakby wyciętą z książki France’a, coś niby ksiądz Hieronim Coignard z *Gospody pod Gęsią Nóżką*, ale salonowy, powściągliwy, dyskretny...

Asnyk zasłyszał o tych niewinnych lekturach i zawrzał oburzeniem. Nie lubił arystokracji i często mówił jej dosyć twarde prawdy. W wyobraźni starego, zgorzkniałego poety wyolbrzymiły się te seanse „cieplarnianej” kultury literackiej, urosły do symbolu. I to mia-

ło być bezpośrednią pobudką do owego wiersza *Szkic do współczesnego obrazu*, poświęconego Jackowi Malczewskiemu. Że później, rozgrzany inspiracją, poniesiony brylantowym rymem, nadał swemu wierszowi większe rozpięcie, wciągając w obręb swej inwektywy całą młodą poezję ówczesną, to jasne; ale ten „ogród”, te „wytworne damy, dworacy i pазie”, o których poeta wspomina, to wszystko wskazywałoby na trafność owego „epikurejskiego” komentarza, gdyż ówczesna poezja polska miała ledwo całe buty, a w salonach, poza utalentowanym i gładkim „Kociem Górskim”, nie bywała.

I oto najlepsza „pointa” całej tej sprawy! Jeżeli który z ówczesnych pisarzy mógłby podpadać pod epitety użyte przez p. Kucharskiego, to Anatol France. To była istotnie owa sztuka dla elity, przerafinowana, obojętna na cierpienia ludzkości, amoralna sztuka „dla panów i bankierów” do zmysłów stępiejących mówiąca, wyłączna i gardząca tłumem etc. etc. I oto cóż widzimy? Imię Anatola France powiewa dziś

od wielu lat jak czerwony sztandar, on sam jest bożyszczem socjalizmu, komunizmu, „heroldem krzywd społecznych” etc., a też same jego dzieła, które były przysmakiem dla elity stały się pokarmem dla „ludu”! Trudno o jaśkrawszy i bardziej pouczający przykład, jak puste i jałowe są owe rozróżnienia między sztuką społeczną a niespołeczną, zdrową a chorą, sztuką dla elity a dla mas. Z odczytów Przybyszewskiego o „nagiej duszy” urodziło się — polskie gimnazjum w Gdańsku.

Jeszcze jeden szczegół przypomnę, który pominął p. Hösick w swoim komentarzu. Piśze p. Hösick o zachwycie, jaki wiersz Asnyka obudził w samymże obozie tych, w których był wymierzony. Istotnie, tych czcicieli formy nie mogła nie olśnić nieskazitelna forma tego po królewsku rymowanego wiersza. (W historii rymu polskiego Asnyk powinien mieć osobny rozdział). Mimo to znalazł się ktoś, kto z własnej inicjatywy, ale jak gdyby imieniem młodej sztuki, odpowiedział Asnykowi; mianowicie Ludwik Szczepański w wierszu poświęco-

nym „cieniom śp. Władysława Podkowińskiego”. W wierszu tym (drukowanym, o ile pamiętam, w petersburskim „Kraju”, gdyż aż tak daleko musiała poezja szukać czasami przytułku!) Szczepański zachowuje najwierniej formę, której użył Asnyk i stara się mu sprostać błyskotliwością rymowania.

Kiedy sobie naprędce przypominałem te szczegóły, znów nawiedziła mnie refleksja, której parokrotnie dawałem już wyraz: mianowicie jak w naszym życiu literackim zostają tylko książki i... frazesy, ale przepada atmosfera, giną żywe postacie ludzi, ginie anegdota, której brak jakże zuboża historię literatury, jak często pcha ją na fałszywe tropy. Ileż śliskich hipotez, teorii, komunałów, sprostowałoby nieraz to jedno słówko: „Widziałem, wiem, pamiętam”... Podczas gdy w innych krajach, we Francji zwłaszcza, ta literatura anegdotyczna jest olbrzymią i daje żywe tło każdej epoce, u nas dziś uboższa jest niż kiedykolwiek, bo pamiętniki i listy zanikają, a nie wytworzyły się inne metody utrwalania życia. Wspomniałem np. mimo-

chodem księdza Pawlickiego: toż to była figura, którą przez parę dziesiątków lat rozkoszował się cały intelektualny Kraków, ba, cała Polska, człowiek o którym anegdoty wypełniłyby parę tomów! Cóż z tego zostanie? — Nic... A dom Sewerów Maciejowskich, gdzie bywało codziennie całe pokolenie literatów na popołudniowej herbacie, od której to herbaty jedyny wyjątek stanowił również codzienny gość Asnyk; jemu gospodyni domu przyrządzała zawsze ulubioną białą kawę z kożuszką. Trudno o rozkoszniejszy kontrast niż tych dwóch starych przyjaciół, Asnyk i Sewer, związanych kumostwem z 63-go roku! Asnyk, chmurny, zadumany, zgryźliwy; — Sewer zawsze słoneczny, rozbawiony, „*enfant terrible*”, żywy Pan Jowialski, ale z sercem i talentem, nierozłączny ze swoją panią Jowialską, przezacną i kochaną przez wszystkich Sewerową. Dwie sceny zwłaszcza, spośród setek zabawnych epizodów, utkwiły mi w pamięci. Włodzimierz Tetmajer namalował jakieś karneciki w formie paetek na Bal Szkoły Ludowej; jedną ofiarował Sewero-

wi, drugą Asnykowi. Sewer się napał paletki Asnyka, wydarł mu ją i zaczął uciekać dokoła stołu. Asnyk, blady z gniewu, gonił za nim olbrzymimi krokami, wołając: „Słuchaj, Ignacy (tylko w wielkich chwilach życia mówił do Sewera *Ignacy*), jeżeli mi nie oddasz, noga moja nie postanie w twoim domu”... Istotnie ta nie-szczęсна paletka poróżniła ich na kilka miesięcy. Drugi moment to, gdy w ferworze jakiejś rozmowy o literaturze Sewer pochwycił tom Asnyka i zaczął głośno czytać jego wiersz na 25. rocznicę powstania z r. 1863. W miarę jak czytał, coraz bardziej dławilo mu głos, łzy zaczęły mu kapać na srebrne wąsy, w końcu musiał przestać... A Asnyk siedział naprzeciwko ze zwieszoną głową, patrzył w głąb siebie i ruszał olbrzymimi wąsiskami. Te dwie szlachetne głowy starców utkwily mi na zawsze w pamięci niby żywa karta naszej poezji, naszej przeszłości...

1921

SETNY TOM BIBLIOTEKI BOY'A

(Rozmowa z Boyem-Żeleńskim)

— Setny tom „Biblioteki Boy'a”? Już?

— Jak to już? — odparł, wzruszając ramionami, Boy, jak zawsze na wpół kpiarski, na wpół opętany jakąś myślą. — Chyba dopiero! Leżał gotowy w tece od dawna, ale nie miałem czasu się nim zająć. Tyle się awanturowałem w ostatnim roku...

— Nic dziwnego, że w tych warunkach zapomniał pan nieco o przekładach...

— Tak. W ostatnim czasie coraz więcej sprzeniewierzałem się tej pracy. Ale nie odrzekam się jej bynajmniej. To jest znakomite schronienie na chwile odpływu, neurastenii, to działa wprost leczniczo. No i co za miła asekuracja na przyszłość, co za uczucie bezpieczeństwa: mieć w zanadrzu rodzaj pracy literackiej, który można uprawiać nawet będąc już zupełnym ramolem. Cóż za gwarancja honorowej starości, iluż

pisarzom oszczędziłaby ona przykrego schyłku! Co prawda pisarze nieraz w czym innym znajdują ratunek: rzucają się w ramiona polityce, partii; wówczas mają rękojmię, że choćby pisali brednie, znajdą laurów i uznania do sytości. Polityka żyruje wszystko.

— Słyszę, że powstało nowe wydawnictwo, które podjęło wskrzeszenie *Biblioteki Boy'a*?

— Tak. Urzeczywistnienie tego, co od dawna było moim marzeniem, mianowicie ujednostajnienie mojej „Biblioteki”, wydanie jej na dobrym papierze, w jednym formacie, w tekście starannie przeze mnie zrewidowanym. Że to było moim pragnieniem, zrozumie pan, jeśli pan sobie uprzytomni warunki, w jakich ta „Biblioteka” powstała.

— Warunki?

— No tak. Zacząłem ją wówczas, gdy wyrabiano chleb z trocin, a ubrania z papieru, więc go już nie bardzo starczyło na książki. Mimo że przedtem wyszło już nieco moich przekładów: Molier, Rabelais, nagłówek *Biblioteka Boy'a* po-

jawił się pierwszy raz w r. 1916, w Krakowie, na pięciotomowym wydaniu Montaigne'a.

— I znalazł pan wówczas wydawcę?

— Wydawcę? Właśnie! Sam wydałem. I nie tylko to jedno. Blisko pięćdziesiąt tomów musiałem sam wydać w epokach, gdy z nikim nie można było gadać o książce. Toteż robiłem co mogłem, aby uczynić dokoła nich jakiś ruch, wskutek czego do dziś jeszcze uchodzę za „reklamistę”. Ale co to było w najciemniejszym okresie wojny, wszystkich jej utrapień i braków kazać ludziom przeczytać kilkadziesiąt tomów arcydzieł!

— A księgarze?

— Och, księgarze! Jeżelibym opisał kiedy moje doświadczenia, byłoby to smętnym dokumentem dla naszego księgarstwa. Gdybym się był oglądał na księgarzy, nie zrobiłbym absolutnie nic, nie ruszyłbym z miejsca. Później dopiero, kiedy moja „Biblioteka” utorowała sobie drogę, zacząłem znajdować wydawców, ale i to rwało się ciągle. Żaden z nich nie miał dość

tchu, aby konsekwentnie poprowadzić rzecz zaczęta na tak szeroką skalę.

— Więc nikogo?

— Prawda, był w Krakowie początkujący księgarz, z którym pracowałem trochę; podobła mi się jego ruchliwość i śmiałość. Ten miał jedną słabość: lubił ponętne tytuły i na nich budował powodzenie książki. Nieraz namawiał mnie, abym któremuś z głośnych utworów dał inny, pikantniejszy tytuł. Daremnie tłumaczyłem mu, że to byłoby tak jakby ktoś zmienił tytuł np. *Pan Tadeusz* na *Kluczyk pani Telimeny* albo coś podobnego. Przekonał mnie zresztą na przykładzie, że handlowo miał słuszność. Kiedy komedie Marivaux, pod skromnym tytułem *Komedie*, okazały się chwilowo zbyt ciężkie w sprzedaży, mój księgarz zmienił okładkę na obu tomach, drukując na jednym, od tytułu pierwszej z komedii, *Zebranie amatorów*, a na drugim *Pułapka miłości*. I poszły jak woda! Chciał tak samo „rozparcelować” pięć tomów Rabelego i dać im soczyste tytuły, ale się nie zgodziłem...

— Musiał pan jednak mieć wielkie trudności, choćby z drukiem?

— Oczywiście, ciągle był brak czegoś, trzeba było wydawać, jak się dało, stąd każda książka w innym formacie, na innym papierze, często złą farbą, niektóre wprost haniebne.

— Bądź co bądź, rozwinął pan niepospolitą energię handlową...

— Tylko z konieczności. Ideałem moim jest pracować w swoim pokoju i nie wiedzieć nic o stronie technicznej. Ileż ja czasu na to straciłem! Ale cóż miałem robić, gdy na moje propozycje wydawcy otwierali szeroko oczy. Wszak o dawnej literaturze francuskiej ogół tylko u nas wiedział co o japońskiej! Aby wydać Montaigne'a, zadłużyłem się na kilkanaście tysięcy koron (w złocie!). Dziesięć komedii Mairivaux udało mi się sprzedać księgarzowi za łączną sumę 500 koron (już w gorszym złocie), ale musiałem mu dodać lampę wiszącą i piecyk żelazny (przeprowadzałem się właśnie), aby go skłonić do dobicia interesu. To był czas wojenny! Kartezjusza wpakowałem publiczności dzie-

ki znanej opasce „tylko dla dorosłych”, której historia obiegła już, dosłownie, kulę ziemską. *Kawalerskie gospodarstwo* Balzaka kupowały wdowy, które miały na kwaterze i wikcie wojskowych (było to w czasie największych kłopotów aprowizacyjnych), myśląc, że to jest rodzaj książki kucharskiej.

— A pomoc ze strony instytucji naukowych?

— Och! Raz jeden, nie widząc nadziei wydania pięciu tomów Montaigne’a, którego uparłem się ujrzeć po polsku, udałem się do generalnego sekretarza krakowskiej Akademii Umiejętności, a zarazem dyrektora drukarni uniwersyteckiej, aby mi udzielił w tej drukarni jakiegoś kredytu. Odmówił wręcz, nie szczędząc mi zresztą komplementów co do mojej pracy, ale oświadczył, że jest *nieaktualna*, na długie lata nieaktualna. W zamian udzielił mi rady: mianowicie abym pisał opowiadki wojenne (mogą być i pieprzne, dodał, klepiąc mnie po brzuchu), a wtedy (powiadał) znajdę łatwo wydawcę... Taką radę dostałem od przedstawiciela Aka-

demii Umiejętności i to był jedyny objaw zainteresowania się owej czcigodnej instytucji moim wysiłkiem, który się odbywał tuż pod jej bokiem...

— Mimo to dał pan sobie radę?

— Ba, radziłem sobie jak mogłem; w potrzebie wygrywałem niezawodne atuty tłumacza *Pań swowolnych* i autora *Słówek*. Przeplatałem umiejętnie powagę płochością: przez *Listy perskie* torowałem drogę dla *Ducha praw* (tak samo zresztą jak uczynił wielki ich autor). *Noc i chwila* Crébillona poprzedziła *Myśli* Pascala. Czytelnik, wciąż utrzymywany w niepokoju, wciąż łechtany moją dwuznaczną reputacją, brał wszystko, wszędzie spodziewając się pikanterii. *Rozprawę o metodzie* widział mój znajomy w szufladzie u panny bufetowej razem z *Kultem ciała*. Czytała cierpliwie, aby się dowiedzieć wreszcie, co to za metodę ten osławiony Boy zaleca... Stąd moja podwójna reputacja, która towarzyszy mi zresztą do dziś: z jednej strony witano mnie jako „wychowawcę”, z drugiej odzegnawano się ode mnie jako od demoralizatora!

— Które z pańskich wydawnictw było najpoczytniejsze?

— *Tristan i Izolda*, obok *Pań swowolnych* oczywiście. Potem *Spowiedź dziecięcia wieku* Musseta, *Manon Lescaut*, *Listy panny de Lespinasse*, słowem, książki apelujące przede wszystkim do serca kobiet. Ale *Tristan ze swą Izoldą* pobili wszystkie rekordy: stary rekin książkowy z ulicy Świętokrzyskiej, pan Jakub Przeworski, ojciec czworga dorosłych dzieci, płakał nad tą książką...

— A jaki był stosunek krytyki?

— Wówczas idylliczny! Jeżeli mogłem osiągnąć mój cel, to w znacznej mierze dzięki niepodzielnemu prawie poparciu prasy. Byłem wówczas tak na uboczu, w moim mundurze wojskowego lekarza tak nie zawadzałem nikomu! Należało do dobrego tonu popierać mnie. Nic zresztą nie pojawiało się wówczas na rynku księgarskim, nie było o czym pisać, chwytano tedy z radością sposobność, każdy tom moich wydawnictw omawiano w wielkich felietonach.

Specjalną życzliwością otaczali w początkach moją „Bibliotekę” Ludwik Szczepański, Zdzisław Dębicki, profesorowie Sinko, Szykowski i Jachimecki, Czesław Jankowski, W. Fallek... Wacław Borowy przede wszystkim, który napisał całą książkę pt. *Boy jako tłumacz*. Ale i inni. Klerykalny „Głos Narodu”, który obecnie ściga mnie jako „masona”, a wielkich pisarzy francuskich w czambuł zwie „brudną literaturą”, witał pochwalnie wydanie *Powiastek Woltera*! K. H. Rostworowski mienił mnie „wielkim poetą” po *Świętoszku*... Pan Nowaczyński pisał, że „Boy sam jeden zrobił dla zbliżenia Francji z Polską tyle co cały paryski Komitet Narodowy”. Potem się to zmieniło po trosze: obecnie jestem w połowie przynajmniej dzienników na czarnej liście, wraz z biednymi francuskimi geniuszami. Ale wówczas! Koroną było to, że „*Krakauer Zeitung*”, organ komendy twierdzy w Krakowie (oczywiście wychodzący po niemiecku), zamieścił felieton pt. *Boy*, sławiąc moje zasługi w — propagandzie kultury francuskiej. To było w pełnej wojnie, gdy w Berlinie Niemcy

wykreślali z karty restauracyjnej wszystko, co trąciło Francją i z patriotyzmu majonez przechrzcili na „*Oeltunke*. Poczciwa Austria!

— Słowem, sielanka!

— Tak, sielanka. Był to okres, w którym, opanowawszy rynek i dusze, osiągnąłem wreszcie to, że mogłem prowadzić za sobą czytelników wszędzie, gdzie mi przyszła ochota. Wąłęsałem się też z rozkoszą po literaturze pięciu wieków, od Villona do Verlaine’a. Wówczas to poznałem w całej pełni rozkosze tłumacza, ową „rozpusztę stylów”, o której zwierzenia moje znalazły tak sympatyczny oddźwięk, gdym o niej opowiadał zebranym w amfiteatrze Sorbony matadorom francuskiej krytyki. Dzięki tej pracy przebyłem koszmar wojny jak we śnie. I oto zupełnie paradoksalne zjawisko: jedynie dzięki owym warunkom chwili udało się wytworzyć stan masowej konsumpcji arcydzieł. Prawie nic, jak wspomniałem, wówczas innego nie wychodziło, ja zaś wydawałem dziesięć do dwunastu tomów na rok; nic więc dziwnego, że witryny księgarskie były zapełnione

„Biblioteką Boy’a”, a publiczność nawykła czekać nowego tomu z niecierpliwością. To był jeden z najoryginalniejszych kursów „klasycznego” wykształcenia. Będąc we Francji, śmiało mogłem powiedzieć Francuzom, że Montaigne lub Rabelais są potoczniej czytani w Polsce niż we Francji, gdzie ich oddziela od czytelnika najeżona trudnościami stara francuszczyzna. U nas Montaigne’a czytano w rowach strzeleckich. Dla wielu literatów polskich literatura ta była rewelacją, zwłaszcza Rabelais, który na przykład stał się m.in. ulubioną lekturą Reymonta.

— Czy wznawiając „Biblioteką Boy’a”, czyni pan jakie zmiany w tekście?

— Ogromne! Mimo że krytyka była na mnie jak na tłumacza tak łaskawa, ja nie zawsze byłem z siebie zadowolony. Pracowałem w strasznym pośpiechu, pędziła mnie jakaś gorączka, aby wypełnić te wiekowe luki, jakie mieliśmy w naszym stanie duchowego posiadania wielkich pisarzy francuskich. Bo większość tych nazwisk była u nas zupełnie obca, większość

tych utworów pojawiała się w Polsce po raz pierwszy. Kiedy zacząłem je wydawać, z wielkiej literatury francuskiej nie istniało w handlu księgarskim po polsku, można powiedzieć, nic. Dlatego śpieszyłem się bardzo: takie zresztą mam usposobienie, że raczej pracuję gorączkową niecierpliwością niż skrzętną pilnością. Przez całą wojnę pracowałem zresztą w fatalnych warunkach, w czasie dyżurów, chowając papiery na odgłos kroków zwierzchnika, z terczącem wciąż dzwonkiem telefonu nad głową. Dlatego też czułem potrzebę gruntownej rewizji tekstu; nowe wydanie będzie przeważnie bardzo różne od dawnego, poprawione, ulepszone, staranne. W niektórych tomach ani jednego zdania nie zostawiłem tak jak było. Dlatego bardzo bym pragnął, aby w rękach moich sympatyków i czytelników to zbiorowe wydanie zajęło miejsce dawnych tomów.

— I liczy pan na powodzenie?

— Oczywiście! Tylu mam wśród publiczności przyjaciół i tyle spotykało mnie nieraz tej przyjaźni dowodów, iż kiedy powiem moim

czytelnikom, że zależy mi na tym, aby pojedyncze blakające się na półkach tomiki oddali ubogim dzieciom stróża, a sami zaabonowali się na całość „Biblioteki”, nie wątpię ani chwili, że to uczynią z przyjemnością dla mnie, a z pożytkiem dla siebie. Będą mieli z czasem rząd książek ładnie wydanych, wykwintnie oprawnych, w jednostajnym formacie, a nic bardziej nie drażni amatora książki niż tego rodzaju diadrowski wygląd, jaki przedstawiała dotąd „Biblioteka Boy’a”. Będzie to, w polskiej mowie, ekstrakt myśli pięciu wieków: w tym mała szafeczka z napisem *Trucizny*: jak w aptece. Bo w literaturze, jak w medycynie, trucizny bywają najdzielniejszym środkiem leczniczym...

PROSPEKTY

Znowu tedy, po raz nie wiem już który, zostaję własnym wydawcą. Pierwszy tom „Biblioteki Boy’a” wydałem niegdyś z konieczności sam; setny tom znów wydałem sam. Jest już wiadać przeznaczone, aby wydawnictwo to, jedno

z największym rozmiarem i ciesząc się niejakim uznaniem, dokonało się bez udziału księgarzy. Ma to swoją wymowę. Dwadzieścia z górą lat szukałem człowieka, który by zrozumiał moją myśl, zapalił się do niej i stał się moim współpracownikiem; i szukałem na próżno. Znajdowałem wielu szkodników, ale pomocników mniej, a i tych na krótką metę. Koniec końców, obecnie, kiedy znów znalazłem się w tej sytuacji, że praca mojego życia miała być pogrzebana, powiedziałem sobie: nie! Wyrobiłem sobie „kartę przemysłową” (kat. III), przybiłem tabliczkę z firmą „Biblioteka Boy’a” na drzwiach mieszkania, jadalny pokój obróciłem na biuro. Pracuje cały dom. Od rana pakuje się, zawija, wysyła, prowadzi się korespondencję. Ekspedycja miejscowa odbywa się pod najekscentryczniejszymi płótnami St. I. Witkiewicza, na które niejedyn klient zerka przez rąbany. Co dzień przychodzi poczta z prowincji. Uwagi, życzenia przyjmuję z wdzięcznością, reklamacje z pokorą; proszę o nie, łaknę ich; pragnę się wciąż ulepszać, doskonalić. Trzeba

przyznać, że to urozmaicenie zwykłych zajęć, mimo iż absorbujące, nie jest bez wdzięku. Ma swój urok ta forma wydawnictwa, oparta na bezpośrednim kontakcie pisarza z czytelnikiem. Zazwyczaj z czytelnikiem styka się księgarnia, a i ta go nie zna; tu, zna się swoich odbiorców po imieniu i nazwisku, ma się ich po alfabecie ułożonych w kartotece, zna się niemal ich charakter, obyczaje, czasem dziwactwa. Rzecz osobliwa i która musi mieć swoje podstawy; ta, zdawałoby się, zamierzchła forma wydawnicza, oparta na prenumeracie, na prospektach, staje się najnowożytniejszą. Dziś, wobec rozszerzenia kręgów czytelnictwa, nie można już, drze miąc, czekać na odbiorcę w księgarni, bo jakże ma do niej przyjść, kiedy mieszka np. w lasach pod Ołyką; dziś szuka się klientów wprost po całej Polsce, wyświetla się ich prospektem niby reflektorem, wabi się ich, pieści, niemal głaszcząc pod brodę. Lubi się ich, ach, jak się ich lubi, nawet nie wiedzą o tym. Lubi się ich za sam ten trud, z jakim przyszło ich zdobyć. Jest na przykład człowiek, którego nazwisko wymawia

się u mnie w domu ze szczególną sympatią, mimo że nikt nie widział go na oczy: dlatego że to był pierwszy abonent, który się zgłosił na nasze prospekty. Nazywa się Paweł Najnis, jest dyrektorem Banku Ziemiańskiego w Rawie Mazowieckiej. Panie dyrektorze, panie Pawle, jak pan będzie w Warszawie, niech pan zajdzie na obiad, bez ceremonii, Smolna II.

Ileż przyjemności można znaleźć w samym takim poszukiwaniu! Technika „prospektu” wprowadza w nazbyt cnotliwe życie zapracowanego literata ożywczy element gry hazardowej. Wysyła się takich świstków tysiąc, dziesięć tysięcy, sto tysięcy, ile wróci jako zamówienie? Ileż, ach, znajdzie się w koszu, nieczytanych, zmiejących w roztargnieniu niecierpliwą ręką? Mimo woli przypomina się stara anegdota o buraczkach. Znacie ją? Buraki sadzi się, okopuje, pie-
li, potem wykopuje się je, ładuje, zwozi, mierzy, sprzedaje, wysyła, odbiera, płucze, skrobie, sieka, przeciera, gotuje, omaszcza, soli i podaje się je w restauracji gościowi, który ich nie je. Coś podobnego z prospektem. Ileż pracy ludz-

kiej weszło w ten świstek papieru! Nie mówię już o sadzeniu drzew, z których robi się papier, ani o trudach zecera, drukarza, fabrykanta kopert, Murzynów zbierających z drzew gumowych gumę do powlekania marek; ale sama praca duchowa! Ileż inteligentnego trudu wsiąkło w układanie skorowidzów z adresami, wedle których prospekty się wysyła! I ot, pisze się adres, przykleja się markę, rzuca się paczkę naładowanych kopert do skrzynki, na poczcie kilku ludzi je sortuje, kolej żelazna je rozwozi, listonosz doręcza i — zgroza pomyśleć — prospekt, nieczytany, dostaje się do kosza. Buraczki! Ileż ja prospektów wyrzuciłem tak bez czytania! Teraz, odkąd je sam wysyłam, nie byłbym zdolny tego uczynić, miałbym uczucie, że dopuszczam się barbarzyństwa, że depcę ogrom ludzkiego trudu... Nie rzucajcie nigdy prospektów na ziemię, czytajcie je uważnie.

Ale choćby nawet miały wędrować do kosza, już samo wysyłanie ich jest przyjemnością, jest sztuką dla sztuki. Ileż poznaje się rzeczy,

o których przedtem człowiek nie miał pojęcia! Czy wiecie na przykład, co to jest *Księga adresowa Polski* Mossego? Rzecz dziwna, prawie wszyscy ci ludzie, którzy mrówczą pracą przyczynili się do poznania spraw i rzeczy polskich, byli obcego pochodzenia lub nosili bodaj obce nazwiska. Linde, Kolberg... obok nich staje dziś Rudolf Mosse. Widzieliście tę księgę, ten olbrzymi tom, liczący parę tysięcy stronnic? Nigdy nie przychodziło mi na myśl, jak taka, najsuchsza na pozór, rzecz jak książka adresowa może być interesująca. Wszystko tam znajdziesz. Chcesz wiedzieć, kto jest starostą w Dubnie? Pan Kański, mój prenumeratorem. Kto aptekarzem w Przedeczu? Pan Tadeusz Gruszczyński, też mój sympatyczny prenumeratorem. Kto bednarzem w Mokrem, kto cieślą w Mokobodach? Znajdziesz tam wszystko. W miarę jak się wgryzać w te karty, książka staje się żywa, mieni się wszystkimi barwami polskiego pejzażu, mówi wielkim głosem o zdobyciach, nędzach i potrzebach kraju. Nie ruszając się od biurka, podróżujesz sobie po Polsce.

W jednym powiecie człowiek czuje się dumny z wspaniałego rozkwitu przemysłu; gdzie indziej znów osmuca go niski stan higieny, brak aptek, lekarzy... Całymi stronicami wędruje oko po małych siołach, zapewne uroczych, ale z punktu widzenia wydawcy mało przedstawiających nadziei. Dowiaduję się mimochodem, że gmina Bebło ma aż trzech kowali: chcecie wiedzieć ich nazwiska? Oto są: Grzybowski, Turchoń i Wiecheć. Bydłem handluje pan Zacierucha, a artykułami spożywczymi panowie J. Kilich i F. Misztal. Czy który z nich pokocha się kiedy w zuchwałym uroku małej Lamiel? Jedźmy dalej. Bęczków... wiatraki... pp. Matuszewski i Sito... Jedźmy dalej. Będkowice... Będusz... Będzin. Będzin! Hurra! Tu będzie połów obfity, lekarze, adwokaci, dyrektorzy, ulice pięknie ponazywane, domy pięknie ponumerowane: dr Barylski (chor. wener.) mieszka przy ulicy Małachowskiego nr 15, dr Dunaj ul. Kołłątaja nr 33, znać wzorowy porządek, czuje się pod nogami suche bruki, słyszy się niemal dźwięki jazzu dochodzące z jasno

oświetlonej kawiarni. Niech żyje Będzin, dwieście prospektów do Będzina, czterysta prospektów do Będzina! I znowu bierz, literacie, kij pielgrzymi i wędruj dalej. *Biała Dolna... Biała Górna... Biała Wielka... Białaczów...* Białaczów, jest apteka p. Kołkiewicza, jeden prospekt. *Białobrzegi...* St. Bobiatyńska, akuszerka...

Oto jest najbardziej nowoczesna technika wydawnicza.

Świeżo tygodnik „Świat” chciał mnie zaprosić do udziału w ankiecie na temat: „Co pan czyta?”. Wymówiłem się; nie mogłem przecież powiedzieć, że czytam... Mossego. A tymczasem Mossego można czytać bez końca i nie nudzić się, trzeba tylko mieć wyobraźnię. Ileż rozkosznych chwil spędziłem od miesiąca nad tą księgą! Duszę wkładam w tę pracę. Wierzę w rozmaitą skuteczność prospektu, zależnie od stopnia sugestii, z jaką się go namagnesuje. Kiedyś wielkie firmy będą trzymały specjalnych

indyjskich jogów do magnesowania prospektów; u nas literat musi to robić sam... Późno w noc, kiedy skończę już inne zajęcia, kiedy miasto całe śpi po trudach dziennych, a powietrze brzemienne jest aromatem nocy majowej, otwieram gruby tom Mossego i adresuję koperty. Najczęściej sam niosę je do skrzynki. I wówczas mam uczucie, że jestem siewcą, rzucając je garścią, z wolna, hieratycznym gestem starego Boryny z epopei Reymonta. Ale nie, to złe porównanie. Boryna, siejąc, ma tę świadomość, że każde ziarno, padłszy na glebę, wejdzie i rozpleni się dziesięciokrotnie i stokrotnie. Gdybyż tak było tutaj: jakże lekki byłby los wydawcy! Ale prospekt nastrocza raczej inne porównanie: przypomina fantastyczną rozrzutność przyrody w akcie zapładniania. Tak jak natura zużywa tysiące plemników, które giną marnie po to, aby jeden z nich stworzył cud życia w małym jajeczku, tak tu rzuca się tysiące tych kartek w paszczę skrzynki pocztowej, aby hen, gdzieś, w Łucku czy w Nalibokach, znaleźć jedną pokrewną duszę. Dlatego

ilekroć, dopełniwszy tej czynności, odchodzę od skrzynki pocztowej, czuję się zawsze cokolwiek uroczysty i cokolwiek wzruszony. Mam uczucie, że spełniłem wielki akt natury. Czyż zapłodnienie inteligencji ludzkiej nie jest cudownym aktem? I czyż, wobec tego wzniesłego celu, wolno narzekać na rozrzutność przyrody? Bierzmy Mossego i obchodźmy dalej Polskę: Nasutów, Nawóz, Nederów, Nieciecz...

TROCHEŃ FILOZOFII I TROCHEŃ MARZENIA

Kłopoty mają to do siebie, że się w nich poznaje przyjaciół. Ledwie skreśliłem parę żartobliwych słów na temat moich „prospektów”, już zgłosiło się kilkanaście osób z gotowością pomagania mi w ich ekspedycji. Niektórzy byli bardzo przejęci tym, że ja mój „drogocenny czas” zużywam na adresowanie kopert. Ach, moje dzieci, gdyby to było takie proste! Przecież ja wiem, nieznanome dziewczynki i kobietki moje, że wy macie dobre i poczciwe ser-

duszką i że wystarczyłoby mi słówko szepnąć, a zaraz znalazłoby się was parę tuzinów, aby mi pisać adresy, przybijać pieczętki, kleić marki, ładować koperty, a ja bym tylko chodził między wami jak pasza i klepał was po białych plecach. Ale nie o to chodzi. Ja nie powiedziałem całej prawdy. Spotkanie moje z *Księgą adresową Polski* nastąpiło w przełomowej chwili. Tak już bywa — i to jest jedna z najbardziej tajemniczych spraw świata — że właśnie w tym, a nie innym momencie spotka się kogoś lub coś, co zaważy na życiu i co musiało przyjść właśnie w tym, a nie w innym momencie. I moje spotkanie z Mossem nastąpiło w takiej krytycznej chwili. Każdy, kto działa, zna te ostre, śmiertelne zakręty, jakie ma wszelka intensywna czynność, artystyczna czy inna. Są okresy, gdzie wszystko idzie gładko, jedzie sobie człowiek jak tramwajem po szynach. Nagle nie wiadomo skąd przychodzi moment wyjścia z siebie, wyważenia z szyn. Z jasnego wszystko staje się problematyczne, z prostego skomplikowane. Każda myśl robi się niby pudełecz-

ko, w którym siedzi drugie pudełeczko, w nim trzecie pudełeczko etc., a w ostatnim ptaszek, który furka w powietrze i ćwierka: „to nie to, to nie to”. I sypże mu soli na ogon! Ale myśli to głupstwo, myśli mają w literaturze mniejsze znaczenie, niżby się przypuszczało. Gorzej ze słowami. Biada artyście, gdy zwątpi w słowo; to tak jakby kapłan zwątpił w swoje powołanie. I takie perypetie zna literatura! Słowa wydają się naraz głupie, fałszywe, zużyte, ach, jak zużyte, wytarte. Zrzucić wszystkie na kupę do kotła, stopić je i zacząć je bić nowym stemplem, takie szalone myśli lęgną się od czasu do czasu i są motorem wszystkich dadaizmów i „futuryzmów”. Na najspokojniejszego człowieka przychodzą takie chwile. Każde słowo szczyrzy wówczas urągliwie zęby, obnaża się zuchwale, rozbiera się do koszuli, błyska na chwilę cyniczną nagością, aby tuż potem, niby prześwietlone promieniem Roentgena, ukazać swój szkielet i rozpaść się w proch nicości. Jakby to zilustrować na przykładzie? Wyobraźcie sobie... Dobrze: po co szukać dalej; weźmy to

pierwsze z brzegu słowo: „wyobrazić”. Co to jest *wyobrazić*? Rozłóżmy je: *wy-obrazić*. Coś jak kopać i wy-kopać, jechać i wy-jechać, pchnąć i wy-pchnąć. „Wy” jest tylko przydatkiem, istotą zatem jest „*obrazić*”. *Obrazić*... Kogo, po co, za co? Dziwne! Ale myśl pracuje dalej. Co to jest: *obrazić*? *Ob-razić*, coś jak skoczyć i ob-skoczyć, wódka i obwódka... nie, nie, głupstwa gadam... coś jak szczekać i obszczekać, lamować i oblamować... (nawiasem mówiąc, czy doznawał kto z was obsesji słowa *zadeklamować*, *zadek-lamować*, *lamować zadek*? — to straszne!). Zatem *ob-razić*, *razić*, jasne jest, że istotą jest tutaj *razić*, a *ob* jest tylko przydatkiem. Otóż co to jest *razić*? Znow jasne jest, że „*ić*” jest przydatkiem, oznaczającym bezokolicznik, a istotą słowa jest „*raz*”. Ale co za raz? Raz. Kto, kogo, co? Diabli wiedzą. Ktoś kogoś raz i to określono słowem „*razić*”: potem to samo *ob*, a potem to samo *wy*. *Wy-ob-razić*. Całe „*wyobrazić*” to jest zwykły sobie „*raz*”, otoczony mnóstwem przydatków, oznaczających dosyt, dookolność, bezokoliczność, ale czego?

Tajemnica. Nonsens. Aby stwierdzić nonsens tego, wystarczy zmienić formę. Weźmy: „wyobraźnia”. Wyobraźnia, obraźnia, raźnia... Co to jest obraźnia, co to jest raźnia? Mówiłem: nonsens, fotomontaż. Co to wszystko razem znaczy? Oto są chwile, w których nawiedza człowieka nostalgia wieczności: wyrwać się z tego świata głupich znaczków, gdzie jedno „ob” i jedno „wy” może zmienić treść wszystkiego; oglądać wreszcie rzeczy w ich istocie, dowiedzieć się co to był, u kaduka, za „raz”, z którego powstało *razić*, *obrazić*, *wyobrazić*... Na szczęście już niedługo.

Oto był stan mojej duszy w chwili, gdy na drodze życia spotkałem księgę Mossego, księgę radosnej wiedzy. I znalazłem ukojenie. Otwieram sobie gdzie bądź i przepisuję. Np. spis blacharzy we Lwowie. Abraham, Backtrog, Bertford, Buczaczer, Chuwes, Cwenarski, Czmiel, Degen, Drilich, Dulberg, Engelbach, Feld, Goldstein, Gratz, Hechler, Heiber... Tu przynajmniej ma się jakąś pewność, coś niemal z absolutu. Blacharz we Lwowie nazywa się Chu-

wes albo Degen i koniec. Nie ma się co zastanawiać, nie ma co analizować; to jest moralny fakt, niezostawiający miejsca na żadne bezdogmatyzmy. I to daje odpoczynek. Czysta radość słowa, niezatruta sensem, a raczej nonsensem pojęciowym. Dlatego, dziewczynki moje, nie odstąpiłbym wam za nic przepisywania Mossego.

Ale taka jest natura człowieka, że nie może żyć długo kontemplacją, nawet zachwyceniem. Dusza łaknie akcji, dramatu. I ten dramat znajduje. Gdzie? W tym samym źródle. Dramat, który zna każdy wysyłający prospekty: „zwroty”. Co rano na dwa zamówienia przychodzi dwadzieścia zwrotów. Umyślnych? Och, nie; choć zdarzają się i takie, ale rzadko. Ledwie parę kopert wróciło z dopiskiem: „do zlewu”, „do kloaki” etc... Domyśliłem się, że ci adresaci, to stali czytelnicy pewnych naszych dzienników programowo... frankofilskich. Ale na ogół zwroty bywają rozmaite. Częścią z winy własnej. Koperta bez marki albo bez adresu, albo bez zawartości. Roztargnienie! Raz zwrócono

mi czystą kopertę, na której jowialny kontroler pocztowy dopisał: „Prosimy o dokładniejszy adres”. Ale są inne zwroty wynikłe z siły wyższej. Dziesiątkami wracają prospekty z dopiskiem: „adresat wyjechał, nie zostawiwszy adresu”. Nie znam go, nic o nim nie wiem, ale już moja wyobraźnia (obraźnia, raźnia???) pracuje. Czemu wyjechał, czemu nie zostawił adresu? Nieszczęśliwa miłość? Może. Albo: „Wyjechał do Niemiec”. Czemu do Niemiec, może szpieg, a tu fundusz przeciwszpiegowski skreślają... To znów — zbyt często — koperta nosi lakoniczny napis: „adresat umarł”. Jest coś mimo woli przejmującego w takim dopisku. Zwłaszcza kiedy się takich zejdzie kilka jednego dnia, wydaje się, że pomór w kraju, siedzę nad tymi kopertami jak Ojciec Zadzumionych, mam uczucie, że połowa abonentów wymarła mi, że tak rzekę, na pniu. („Pniu”... też dziwne słowo. Powtórzcie trzy razy głośno: pniu, pniu, pniu). Ale cóż! Po chwili zadumy wyciąga się dobry jeszcze prospekt z koperty po nieboszczyku i przekłada się go do innej, już zaadre-

sowanej, która leży pod ręką. Tak niegdyś, na wojence, z zabitego żołnierza ściągało się buty, które wzuwał bosy jego kolega. Życie!

Często, o wiele zbyt często, zdarza się napis: „adresat nieznany”. Nieznany... Jakim cudem on może być nieznany w miasteczku, gdzie znają się wszyscy? Rozumiem, że Boy mógł być „nieznany” w poselstwie paryskim, ale jak może być nieznany dentysta w Kole? Któż tam będzie znany? Może on w ogóle jest gdzie indziej, nie w Kole? Może coś Mosse pobałamucił? I Homerowi zdarza się zdrzemnąć, powiada łacińskie przysłowie.

Jeden napis uderzył mnie szczególnie. Kopta adresowana do Mościsk (woj. Lwowski) wróciła z dopiskiem listonosza: „Wyjechał z Mościsk na zawsze”. Nie znałem go, nic o nim nie wiem; ale taka jest wymowa tego słowa „na zawsze”, że mimo woli coś mi się ścisnęło w dołku. *Nevermore* kruka z ballady Poeego...

Poza tym dostaje się listy. Od fotografa z Zambrowa, który pragnie zmienić miejsce pobytu i prosi mnie o informacje co do księgi adre-

sowej, bo chciałby się z niej dowiedzieć o miasteczku, gdzie by nie było fotografa. Sądzę, że najprostsze będzie, jeżeli miasteczka, w których nie ma fotografa, dadzą znać o tym na moje ręce. (Poślę im Dymśkę).

Inny list od pewnego inżyniera, który też sam wydaje książki i też sam rozsyła prospekty, dlatego wzruszył się moim felietonem, współnością naszej doli i rzucił się w moje objęcia. Przysłał mi swoje prospekty i poprosił o moje. Przyrzekł zaabonować moje książki i wyraził nadzieję, że ja zaabonuję jego książki. Zapewne, taka wzajemność, to najzdrowsze rozwiązanie kwestii wydawniczej, ale czy wystarczające?

Widzę, że mimo woli z wyżyn filozofii, osunąłem się w troski handlowe. Sklepik! Ha, trudno, skoro nie może być inaczej, niech będzie i sklepik, byleby pod okapem tego sklepiku uwił sobie gniazdko mały ptaszeczek fantazji, wyobraźni, obraźni, różni, żni. I nie żałujcie ptaszeczka.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/boy-marzenie-i-pysk>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, Marzenie i pysk, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1930.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Paweł Koziół, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Paper (I am Not), bgreenlee@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0095-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,
TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI *Marzenie i pysk* 309
KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę